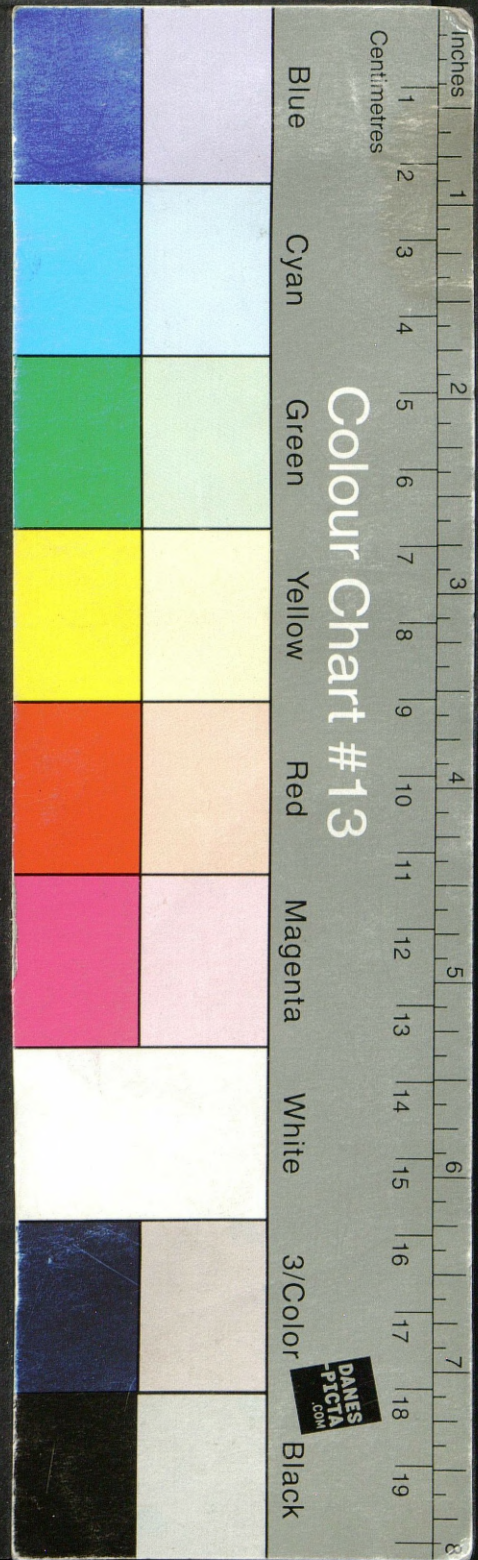


Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



Colour Chart #13

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

Inches 1 2 3 4 5 6 7 8  
Centimetres 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19





IDEAŁY KATOLICKO-SPOŁECZNE

Zinaki biblioteczni  
sławca przed  
Ks. JÓZEF  
LAUBSKI  
Kościół  
do spłaco  
"Dik"



BIBLIOTEKA DZIEŁ CHRZESCIJANSKICH.

---

O. CUTBERT Z. S. O. FR.

---

IDEAŁY

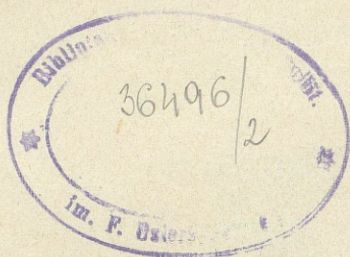
**katolicko - społeczne**



WARSZAWA

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI GEBETHNERA I WOLFFA  
KRAKÓW — G. GEBETHNER I S-KA

—  
1908



# TREŚĆ.

---

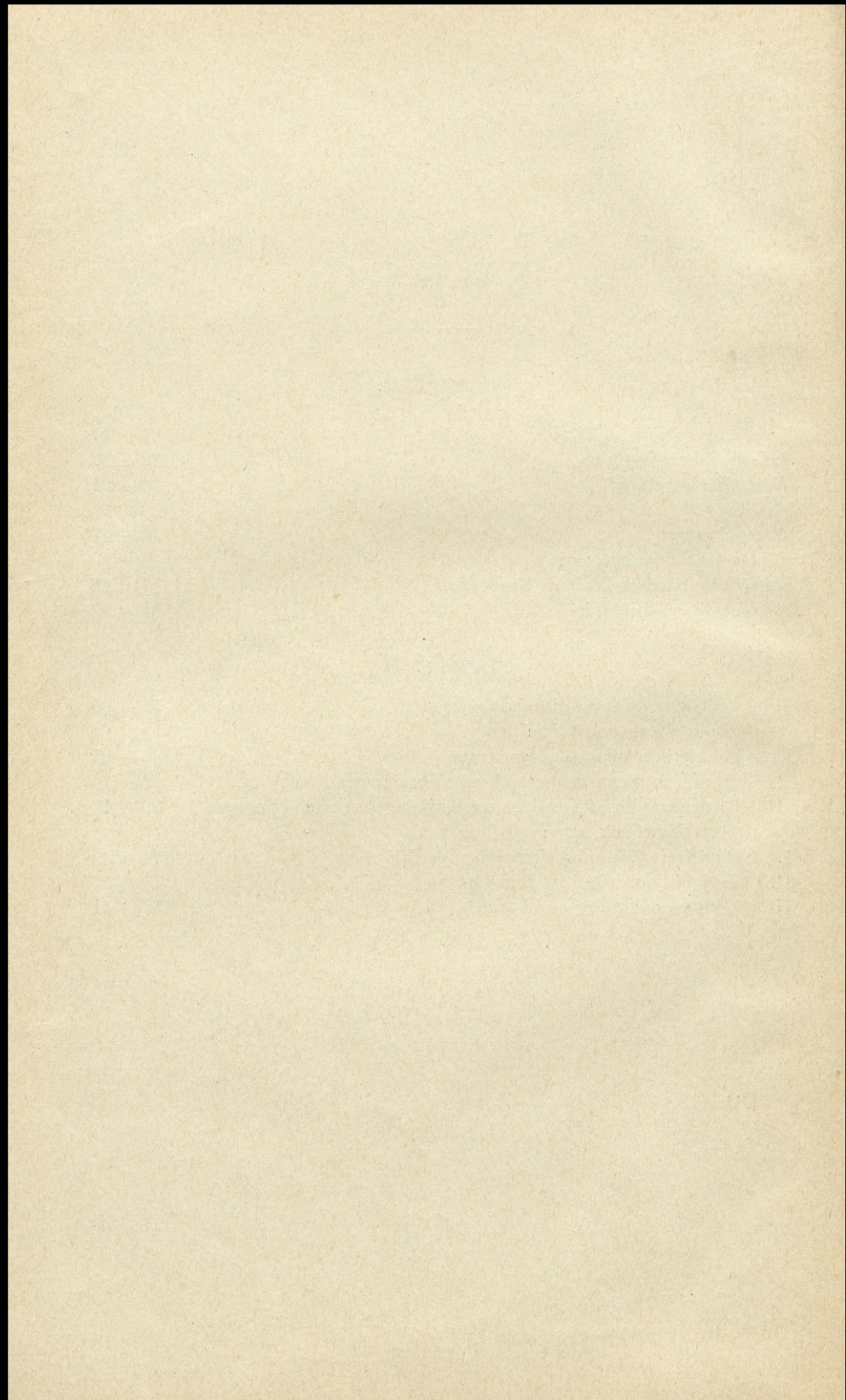
## Część I.

	<i>Str.</i>
Kościół a wolność osobista . . . . .	1— 11
Państwo chrześcijańskie . . . . .	12— 22
Wychowanie kobiety . . . . .	23— 31
Małżeństwo . . . . .	32— 39
Wartość pracy . . . . .	40— 47
Kapłan a reforma społeczna . . . . .	48— 53
Bogactwo i odpowiedzialność bogatych . . . . .	54— 63
Pojęcie odpowiedzialności . . . . .	64— 70

## Część II.

Praca społeczna ze stanowiska religijnego. . . . .	71— 86
Apostolstwo robotnika:	
I. Robotnik katolicki—misyjonarzem . . . . .	87— 91
II. Konieczne warunki apostolstwa robotniczego . . . . .	92— 96
III. Obowiązki chrześcijańskich robotników w czasach obecnych . . . . .	96—110
Św. Franciszek a my:	
1. Powołanie Zakonów Franciszkańskich . . . . .	111—119
II. Trojaki zło dzisiejszych czasów . . . . .	119—132
III. Konieczność usług osobistych . . . . .	132—141

---



## SŁOWO WSTĘPNE AUTORA.

---

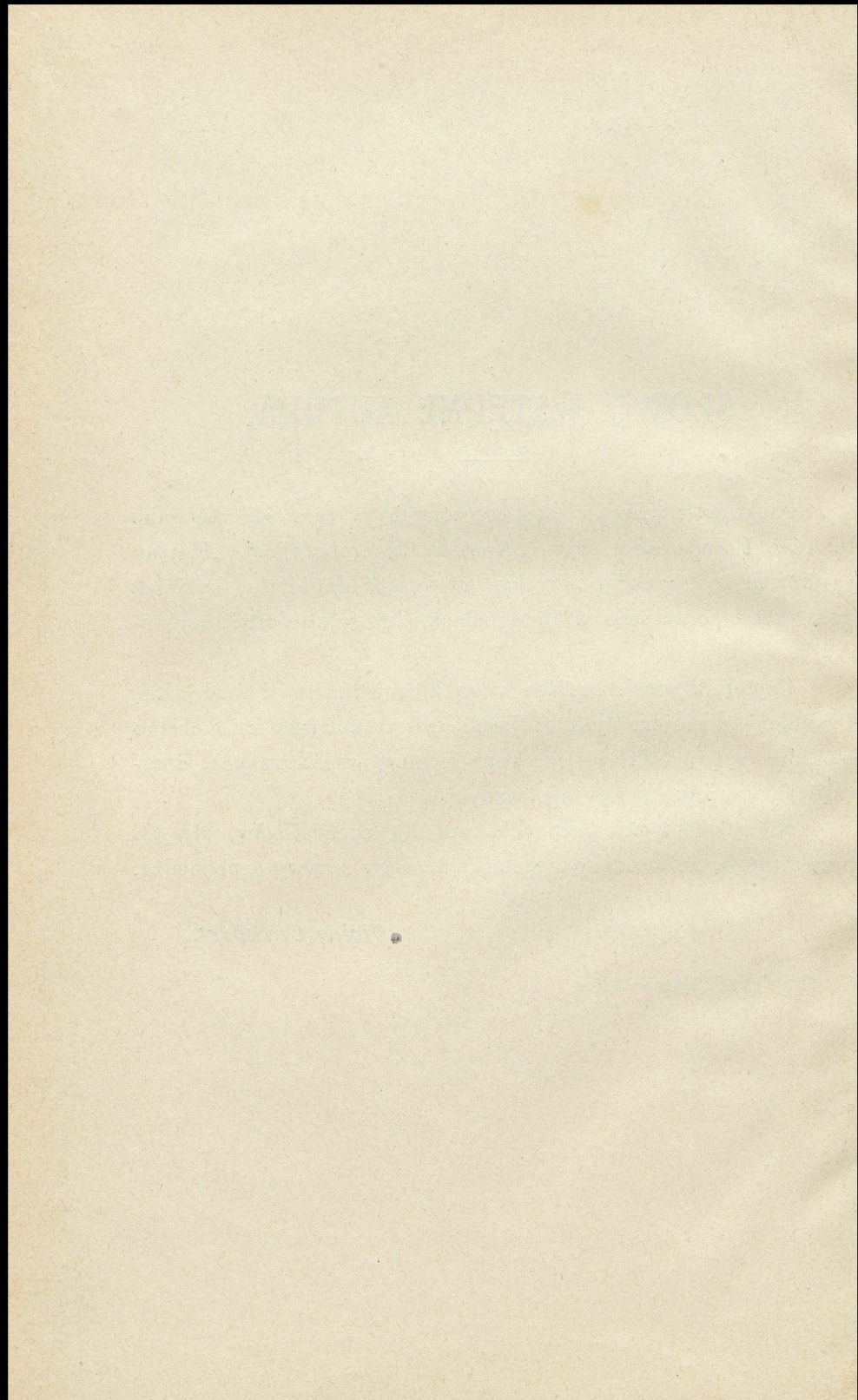
Niektóre z rozpraw zamieszczonych w tym zbiorze, jako to: „św. Franciszek a my“, „Apostolstwo robotnika“, „Kapłan a reforma społeczna“ i „Pojęcie odpowiedzialności“ -- były już drukowane poprzednio w Przeglądach, lub jako oddzielne broszury.

Czytelnik spostrzeże we wszystkich jedną myśl i cel jeden. Pragnieniem mojem było rozjaśnić ze stanowiska katolickiego niektóre z najbardziej pięknących kwestyj współczesnych, dotyczących kierunku spraw społecznych.

Nie pisałem dla uczonych, ani dla specjalistów, ale dla przeciętnego, oświeconego czytelnika, którego sprawy te obchodzą.

*Ojciec Cuthbert.*

Crawley, 12 Marca 1904 r.



## Do Czytelników polskich.

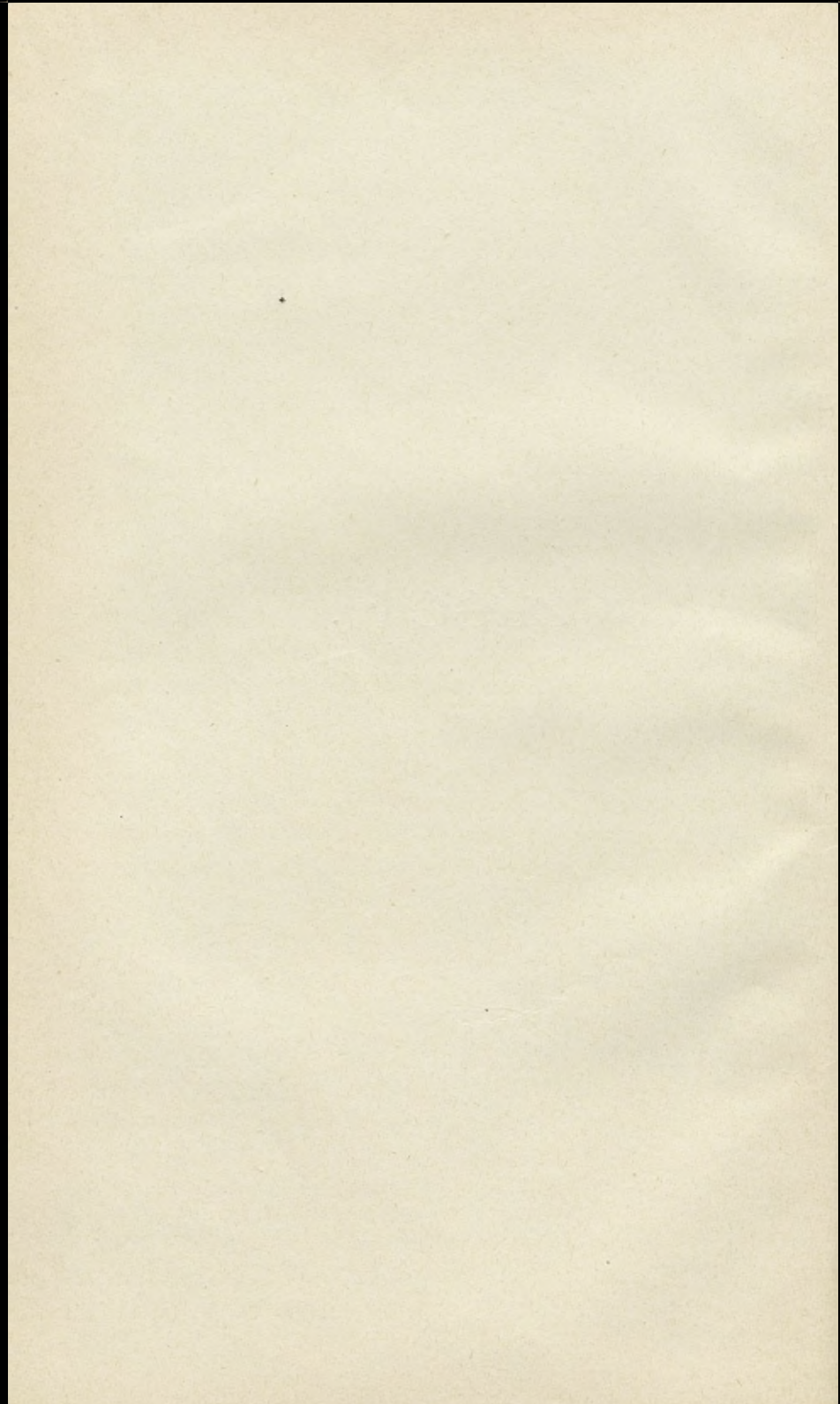
---

Wprawdzie znakomity pisarz i myśliciel angielski, z którym czytelników polskich zapoznać pragniemy, uwzględnił w swych uwagach przede wszystkim stosunki swojego kraju; lecz jego trafne i poważne poglądy poruszają sprawy ogólnoludzkiego znaczenia, wszędzie więc z pożytkiem mogą być czyte i jak najszersze powinny znaleźć rozpowszechnienie. Dla każdego człowieka dobrej woli, pożądaną i użyteczną musi być wskazówka, jak w duchu Chrystusowym, w duchu pokoju i miłości rozwiązane być winny te kwestye, które dzisiaj rozpalają wszystkie umysły, wstrząsają do głębi społecznością wszystkich krajów, a zbyt często pojmowane są fałszywie, rozstrzygane nieroztropnie i lekkomyślnie, a stąd tak opłakane, bolesne i zgubne dla ludzkości wydają owoce.

---

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

CZEŚĆ I<sup>Sza.</sup>





## Kościół a wolność osobista.

**S**tare rzeczy znikają z widowni, a nowe stają na ich miejscu: w każdej chwili naszego bytu, — pominąwszy same jego pierwociny, — fakt ten się sprawdza. Dopóki żyjemy, nie wolno nam nigdy spocząć nad tem cośmy już dokonali, ale każdy krok naprzód jest tylko wskazówką dalszego postępu. „Życie jest ciągłą przemianą, a doskonałość jest owocem wielu przemian“ — zdanie to zastosować można do wszystkich objawów życia: umysłowego, społecznego jak i politycznego. W naszych czasach jednak, przemiana sięgła tak głęboko, że słusznie uważać możemy epokę niniejszą jako jedną z najważniejszych w historii cywilizacji chrześcijańskiej. Przez kilka stuleci przechodziło Chrześcijaństwo proces rozkładu. Gmach, który wieki średnie budowały powolnym, cierpliwym i wytrwałym trudem, został, przez szereg gwałtownych wstrząśnień, niemal do gruntu obalony i mało co z niego się ostało; ale z ruin powstał nowy porządek rzeczy. Dziś możemy jaśniej widzieć ku czemu zmierzamy, niż ci, którzy byli pochłonięci w zamięcie wypadków. Możemy spostrzedz jak z tyloletnich walk i przewrotów wyłaniają się kształty nowego porządku społecznego, który dopomina się u nas uznania i poparcia. Nazwijmy go jak chcemy: demokratycznym, konstytucyjnym, czy inaczej, — ale rzecz sama jest i zostanie i

wszystkie stosunki na nową modłę przekształca. Im szczerzej pogodzimy się z tym faktem, tem lepiej na tem wyjdziemy. Do tego, co było, wrócić już nie możemy; ale, jeżeli będziemy roztropni, możemy ująć w ręce kierunek rzeczy przyszłych. Dziś najwazniejszym obowiązkiem każdego katolika jest, w miarę udzielonych mu zdolności, przykładać rękę do tego dzieła.

Kościół bowiem nie jest związany z żadną poszczególną formą rządów świeckich. Dla niego jest obojętnem czy monarchia będzie górą, czy republika; godzi się zarówno z systemem feudalnym, z wolnem współzawodnictwem w przemyśle, jak z organizacją współdzielczą. Wszystko to są tylko chwilowe formy zewnętrzne dziejowego rozwoju ludzkości; są to kształty powierzchowne, w jakie przyobleka się myśl Boża, działająca w świecie. Działalność Kościoła zaś, zwraca się wprost do tego, co duchowe i wieczne, a jeśli zaprzęta się sprawami świeckimi, to jedynie dla obrony wiecznych prawd, których bezpieczeństwo tak często zawisłe jest od biegu światowych interesów. Na przebieg ich Kościół nie wpływa: one idą swoim porządkiem, który również ma początek boski, bo Bóg jest Twórcą przyrody. Ten porządek Kościół uznaje i do niego się stosuje; przyspieszyć lub powstrzymać jego ruchu niema mocy: może tylko iść z nim równolegle <sup>1)</sup>.

W pośród wszystkich przemian i przewrotów, którym świat podlega, Kościół ma na oku zawsze cel jeden: ukazywać mu Jezusa Chrystusa, jako święte źródło wszelkiego moralnego i duchowego życia, i jakie bądźby były koleje rzeczy, strzedz całości Jego boskiej nauki. Ewangelia jednak, nigdy nie staje w poprzek prawu świeckiego postępu; czuwa tylko, by ten postęp nie sprzeciwiał się owemu wzniosłemu ideałowi życia duchowego, który nam Pan nasz, Jezus Chrystus, w swej Osobie przedstawił. Nad utrzymaniem tej zgodności Kościół bez przestanku pracuje i w tym celu stara się, by świat nie tracił z oczu prawdziwego ducha Chrystusowego, który tradycya kościelna, przez szereg stuleci, nietkniętym nam przechowała.

---

<sup>1)</sup> Wydawało mi się zawsze, że polityka ś. p. papieża Leona XIII względem Rzeczypospolitej Francuskiej była śmiałem stwierdzeniem tej zasady. Jakie bądźby były jej bezpośrednie wyniki, była ona manifestacją niezawisłości Kościoła od jakiej bądź formy rządów świeckich. I stąd jej wszechświatowe znaczenie.

(Przyp. autora).

Ta boska nauka jednak, o ile znajduje swój wyraz w słowach i instytucjach, musiała zapożyczyć form i wyrażen od społeczeństwa świeckiego. Idea władzy kościelnej np., przyjęła z konieczności formy prawne zastosowane przez rządy świeckie; język teologów kształcił się na pismach filozoficznych, a we wszystkich dziełach i pracach społecznych Kościoła brał w rachubę obyczaje świata współczesnego i przystosowywał je do swoich celów. Prawodawstwo kościelne wieków średnich przyjęło system feudalny bez zastrzeżeń, starało się tylko, przez rozumne prawa, poprawiać jego usterki. Poddanie również uznane było przez Kościół, który jednak usiłował zawsze łagodzić dolę poddanych. A zakony i bractwa kościelne, jakże widocznie ukształtowały się na obyczajach społeczeństwa średniowiecznego!

Nie jest jednakowoż misją Kościoła te dawne formy i zwyczaje społeczne na zawsze podtrzymywać: posługiwał się on nimi tylko, aby się lepiej porozumieć z pokoleniem współczesnym. Mimo to, wielu sądzi, że Kościół z temi przestarzałemi formami jest nieodwołalnie związany, dlatego, że je zastosował w swem prawodawstwie i w swych instytucjach w wiekach ubiegłych. Niejednemu katolikowi trudno uwierzyć, że sprawa tej lub owej dynastji nie jest sprawą Kościoła katolickiego, albo, że angielski system parlamentarny da się pogodzić z katolicką ideą władzy, a to jedynie dlatego, że przez kilka stuleci Kościół miał prawie wyłącznie do czynienia z rządami monarchicznymi, a nie widział potrzeby uciekania się do form parlamentarnych. Gdyby życie katolickie ukształtowało się w dzisiejszym demokratycznym duchu, a za parę stuleci, jak to można przypuścić, nastąpiła nowa przemiana ustaw świeckich na mniej liberalne, mogą się znaleźć wtedy katolicy, opierający się temu nowemu kierunkowi, jako zanadto wstecznemu w porównaniu do demokratycznych obyczajów Kościoła katolickiego. Tak trudno jest pospolitym umysłem odłączyć ducha od jego chwilowej powłoki, a tradycya katolicka jest często brana za jedno z formami zewnętrznymi, które w ubiegłych czasach z konieczności przyjęła.

Wielu widzi słusznie w gwałtach partyj radykalnych największego wroga porządku społecznego. W istocie nikt nie ma prawa gwałcić swobody Kościoła i krępować samowolnie działania tych, którzy nim rządzą. Jednakże dobrze jest przypomnieć, że zła wola rządów konserwatywnych krępuje wolność Kościoła nie-

mniej, jak bezprawia rewolucjonistów. W dzisiejszych czasach, więcej jak kiedybądź, strzedz się należy uprzedzeń i ciasnych poglądów na świat.

Najwybitniejszym rysem politycznego i społecznego położenia całego świata cywilizowanego, w chwili terażniejszej, wobec którego stoi dziś Kościół, — jest, szerzący się coraz bardziej duch instytucyj anglo - saskich. Rozumiem przez to ów duch wolności osobistej i inicjatywy indywidualnej, w którym od początku kształciło się i rozwijało życie publiczne narodów rasy anglo - saskiej, ale który, obecnie, coraz bardziej sobie przyswajają narody innych ras. Zrodzone i wychowane w tym duchu i namiętnie do niego przywiązane ludy anglo - saskie uważają go za swą szczególną właściwość; on na nich wycisnął piętno odróżniające je od sąsiadów i ukształcił je, najpierw w silny naród, potem w potężne państwo. Ale teraz duch ten rozlał się szerzej i objął ludy rasy łacińskiej, które dotąd rządziły się ideą i duchem wręcz przeciwnym. Jednakże, w próbach przyswojenia sobie ducha osobistej wolności, ludy łacińskie nie umiały zachować miary, a zarazem zabezpieczyć swego spokoju i swej godności. Niedokładnie zrozumiana, nawet przez swych gorących wielbicieli, ta nowa zasada musiała zwalczać przesady i obyczaje wpojone przez długie wieki absolutyzmu, a walka doprowadziła do objawów niedojrzałych, które bezstronny konserwatysta musi uważać za gorączkę moralną, za chorobę, jaką należy tłumić. Tylko badając życie narodu, który się na niem wychował i wykształcił, można należycie ocenić tego ducha wolności, oraz hart woli, będący główną jego podporą i który potrafi przekształcić także charakter innych ludów, chcących go sobie przyswoić. Wpływ ten nie odbija się wprawdzie na nich tak wybitnie jak na narodzie angielskim, bo ludy charakteru swego rodzinnego w zupełności przeobrazić nie mogą, lecz dla Anglo - sasów przynajmniej, idea wolności osobistej jest kwestyą życia i tak państwo, jak Kościół liczyć się z nią muszą.

Znajdą się, nawet między nami, tacy, którzy tego ducha wolności uważają za rzecz złą samą w sobie, a jakikolwiek związek między nim a Kościołem katolickim za niepodobieństwo. Wszak niektórzy posuwają się tak daleko, iż twierdzą, że Anglicy, chcący przyjąć katolicyzm, powinni się wyprzeć swej narodowości: jak gdyby był w historii choć jeden przy-

kład narodu, wyrzekającego się przy chrzcie swych cech rodzinnych! Podobnych fanatyków jest na szczęście mało, lecz podejrzliwych i wątpiących mamy wielu.

Nieufność taka jest nietylko nad wyraz szkodliwa dla sprawy Kościoła, ale jest wręcz przeciwna duchowi katolicyzmu, który dotąd okazywał się zawsze zdolnym przyswoić sobie charakter i wrodzone usposobienie każdego narodu czy plemienia, kładąc śmiało na wszystkim swoje własne piętno. Nie wynika stąd aby Kościół, uznając obyczaje narodowe, nie był nieraz zmuszony łagodzić ich rasowych wybujałości i poprawiać usterek. Lecz polityką Kościoła, wobec ludów, które wcielał, było zawsze: przyjmować ich ideały i tradycyjne zwyczaje, uzupełniając je większą pełnością własnego życia. To też, w najbliższej przyszłości, możemy śmiało oczekiwać, że Kościół, zetknąwszy się z duchem wolności osobistej, czy to u ludów rasy angielskiej, czy łacińskiej, przejmie go i w tym duchu będzie dalej pracował nad tychże ludów zbawieniem.

Opór przeciw zasadzie wolności osobistej pochodzi, po większej części, ze złego zrozumienia jej celów i natury. Uważają ją zbyt często za wrogą każdej władzy, a to mimo faktu powszechnie uznanego, że z pośród wszystkich narodów Anglicy i Amerykanie najwięcej okazują poszanowania dla władzy i prawa. Zarzucić nam mogą anarchię, w jakiej pogrążony jest Kościół anglikański. Przyczyną tej anarchii jest brak w nim dobrze określonej władzy, której należałaby się uległość. Jest to ciało bez głowy i stąd jego choroba. Lecz ta anarchia religijna jest tylko jednym objawem życia narodu angielskiego. W jego życiu społecznym i politycznym, gdzie władza jest silnie reprezentowana, zasada wolności osobistej idzie ręką w rękę z głęboko w sumieniu każdego tkwiącem poważaniem świętości prawa.

U ludów przywykłych do absolutyzmu, pojęcie wolności jest równoznaczne ze swawolą, a być wolnym, jest to nie znać wędzidła. Ludzie, przyzwyczajeni widzieć w zewnętrznych przepisach prawnych jedyne prawidło moralności publicznej, nie umieją już ocenić, jakim hamulcem wewnętrznym jest przekonanie i uczucie honoru. Ale u ludów wolnych, wolność jest obwarowana poczuciem odpowiedzialności osobistej, która jest najlepszą gwarancją prawa.

Wolność — według tradycyjnego pojęcia ludów anglo-sa-

skich—jest to prawo, które ma każdy człowiek, jako istota rozumna, rozporządzania swoją osobą. Wynika stąd, że prawem przyrodzonym każdego człowieka jest urządzić swoje życie, jak mu się podoba, a prawo to jest prawem natury, niezawisłym od wszelkiej sankcyi ze strony społeczeństwa. Ale, ponieważ człowiek nie może wyosobnić się od swych współobywateli, potrzebą przyrodzoną jest również stan społeczny i państwo. Podstawą bytu państwa zatem, jest prawo każdej jednostki rozumnej do posiadania siebie samej, a pierwszym jego zadaniem, zabezpieczyć każdemu członkowi społeczeństwa wolne wykonywanie tego prawa. W tym celu posiada państwo władzę powściągać swawolę jednostki, a strzedz i popierać dobro ogólne. Musimy tu jednak zauważyć, że według narodowych pojęć o państwie i władzy żaden prawowity anglik nie czuje się obowiązany pozwolić kępować swej swobody przez społeczność, z którą jest w radykalnej niezgodzie, byłoby to bowiem wyrzeczeniem się dobrowolnem tej wolności osobistej, będącej pierwszym artykułem jego wiary politycznej. Lecz, gdy będzie przekonany, że dobro jego jest równoznaczne z dobrem społeczności czy stronnictwa, które się domaga od niego uległości, stanie się najbardziej lojalnym poddanym, gotowym poświęcić chętnie drobne osobiste korzyści dla dobra ogółu. Podstawą jego posłuszeństwa jest przeświadczenie, że społeczność uosabia ogólne wszystkich dobro i korzyść, dopóki to przekonanie trwa, nie nie zdoła zachwiać jego lojalności, gdy się przekonana, że jest inaczej, zrywa solidarność i staje ucziwicie na ubożu. Aby go utrzymać w posłuszeństwie zatem, trzeba go przekonać, że interes wspólny, który go wiąże ze stronnictwem, czy państwem, jest nienaruszony; bo, według niego, władza istnieje tylko na to, by strzedz ogólnego dobra i gdy przestaje spełniać to zadanie przestaje być władzą.

Na tym to punkcie zasada ludów anglo-saskich różni się do gruntu od zasady, którą przez cztery ubiegłe stulecia podtrzymywano wśród narodów łacińskich. System rządu, który tu przeważał, nie uznawał żadnej wspólności między posłuszeństwem a popieraniem ogólnego dobra; władza zaś opierała się nie na rozumnem przyzwoleniu podwładnych, ale na przymusie.

Są wprawdzie okoliczności w których przymus osobisty musi być zastosowany w interesie ogółu. Trafia się to często w czasach wielkiego wzburzenia ludowego i ruchów rewolucyj-

nych, gdy naród traci władzę rozsądnego myślenia. Ale w zwykłym biegu spraw publicznych, przymus jest poniżeniem godności ludzkiego społeczeństwa i nierównie lepiej byłoby, gdyby posłuszeństwo opierało się na zgodnym porozumieniu się między tymi, którzy dzierżą władzę, a tymi, którzy jej słuchają. Taka harmonia jednak możliwa jest tylko wtedy, gdy obie strony mają do siebie wzajemne zaufanie, w tem też okazuje się rozum polityczny rasy angielskiej: podczas gdy w krajach łacińskich rządy opierały się na wojskowej zasadzie ślepego posłuszeństwa, anglosasi przyjęli za zasadę, że obywatele państwa mają prawo mieć udział w budowie gmachu państwowego i powinni być przekonani o potrzebie lub użyteczności prawa, nim to prawo będzie postanowione. Niewątpliwie system ten ma swoje usterki. Niejedno słuszne prawo długo było w zawieszeniu, niejedno dobre dzieło było niespełnione, bo naród nie zrozumiał ich użyteczności. Lecz, ogółem biorąc, system okazał się zbawiennym; dobre prawo, choć opóźnione, gdy raz trafiło do przekonania narodu, miało, tem samem, niewzruszoną podstawę trwałości i wpływu, co nie da się powiedzieć o ustawach i instytucjach narzuconych, wbrew woli ludu, przemocą i gwałtem.

Lecz tu spotyka nas ważny zarzut: że ta zasada wolności ludu nie da się pogodzić z boską powagą władzy, która rządzi Kościołem i nigdy nie może znaleźć zastosowania w stosunku Kościoła do wiernych. Władza Kościoła, powiedzą nam, nie może być zawisła od woli ludu, bo się opiera na powadze i zleceniu samego Jezusa Chrystusa. Ten zarzut, gdyby nie to, że jest przez ludzi innych przekonana tak często podnoszony, nie zasługiwałby wcale na poważne zbijanie. Nie idzie tu bowiem o zasadę władzy, ale o jej działanie. Duch wolności, przeniknięty duchem katolickim, uzna ohotnie, że podstawą władzy Kościoła jest nakaz Chrystusowy; w niczem też zasada wolności osobistej nie ujmuje władzy i przywilejów Stolicy św. oraz biskupów, jako pasterzy Kościoła, natomiast, wpływa ona bardzo na system zastosowany w celu utrzymania karności kościelnej, a jeszcze bardziej—na prywatną działalność katolików w tych tysiącznych sprawach rodzinnych, społecznych i politycznych, które leżą poza sferą prawa kościelnego. Jednym słowem, zasada wolności powinna zmienić do gruntu wyobrażenie o stosunku jednostki do społeczeństwa, do których katolicy nawykli od lat czterystu.

Zauważmy bowiem, że wskutek historycznego obrotu wypadków, życie społeczne i polityczne Kościoła ukształtowało się prawie wyłącznie na systemie rządów przeważającym w państwach łacińskich. Wielkie odszczepieństwo religijne w wieku XVI zbliżyło Kościół do narodów, które zostały mu wiernymi, a dla utrzymania swej powagi wobec zbuntowanej i zrewolucjonizowanej Północy musiał się on uzbroić we wszystkie znamiona swej władzy. Wzór gotowy znalazł w obyczajach i formach politycznych ludów łacińskich i stąd poszło, że Kościół ogłoszony został za wroga ducha wolności. Ale gdy sięgniemy poza epokę burzy i przewrotu, aż do wieków średnich i będziemy badali życie społeczne i polityczne Kościoła w czasach normalnych, uderzy nas szczególne uwzględnienie osobistej wolności jednostki. Przykład znajdziemy tam, gdzie najmniej można go było oczekiwać: w regule, którą św. Benedykt nadał swemu Zgromadzeniu, stanowi on, że w każdej ważnej sprawie, dotyczącej dobra całej społeczności, nie wolno opatowi działać samowolnie, lecz winien zasięgnąć zdania wszystkich zakonników, aż do najmłodszego nowicyusza. Czasy późniejsze byłyby odmówiły zakonnikom wszelkiego głosu w rządzie. Inaczej działał św. Benedykt, w którym wieki średnie uznały wzór katolickiego prawodawcy; stąd w historii zakonu benedyktyńskiego widzimy wszędzie ducha wolności osobistej, złączonego z najdoskonalszym systemem władzy. W wieku XII i XIII ten sam indywidualizm jeszcze silniej się zaznacza. Rozbudzenie życia demokratycznego w tej epoce, którego wybitnym objawem był rozwój miast handlowych, występuje także w ustawach nowo powstających zgromadzeń zakonnych, oraz w odrodzeniu nauk i piśmiennictwa. Gdzież można znaleźć więcej swobody myśli i śmiałej samodzielności rozumowania, jak w początkach epoki scholastycznej? Gdzież więcej polotu ducha, jak w pismach ascetycznych tej epoki? A cóż za prąd inicjatywy osobistej czuć w całym życiu kościelnem onych czasów!

Z ową epoką życia Kościoła współczują głęboko czasy obecne, a gdybyśmy potrzebowali usprawiedliwić dzisiejszy popęd wolnościowy, powołaniem się na przeszłość, dosyć nam wskazać na te „Wieki wiary“: przykład owych czasów wystarczy. Dlatego śmiemy twierdzić, że wolność osobista godzi się daleko lepiej z duchem wrodzonym katolickiego Kościoła, niż obsolutyzm i że powrót do normalnych i organicznych warun-

ków życia, będzie sam z siebie w Kościele odzyciem ducha wolności.

Jednym z najbardziej, wśród katolików, zakorzenionych i najtrudniejszych do wytępienia uprzedzeń, jest przekonanie, że Kościół zagrożony jest nieustannie przez powszechną anarchię i bunt. Każdy nowy krok i postępek w życiu świeckim, uważają za rozmyslny napad na ducha i naukę Kościoła. Natomiast bliższem prawdy jest twierdzenie, że świat zachowuje się wobec praw Kościoła, mniej więcej obojętnie i idzie swoją drogą, nie oglądając się na sprawę katolicką, zajęty jedynie zaspokojeniem swych żądz: sprzeciwia się Kościołowi, gdy ten, przypadkowo, stanie mu na drodze, ale poza tem przywykł uważać go jako stojący poza prądem życia i myśli nowoczesnej. Nie jest antykatolickim z rozmysłu, lecz przywykł widzieć w Kościele zapórę postępu i obrońcę zamarłej przeszłości. Usposobienie społeczeństwa współczesnego względem Kościoła różni się więc całkowicie od tego, jakie przeważało w polityce wszechświatowej, aż do początku XIX stulecia. Postępek nowoczesny jest raczej obojętny wobec Kościoła, niż nieprzyjazny; a jest obojętny, bo się od niego nie spodziewa żadnego współdziałania w swych dążnościach. Bardzo podobne zjawisko uważamy w historyi pierwszych lat wieku trzynastego, przed powstaniem nowych zakonów żebraczych, które stały się łącznikiem między Kościołem a szerzącym się wówczas prądem demokratycznym. Jednakowoż rozłam dzisiaj zdaje się sięgać głębiej niż wówczas. Położenie obecne przedstawia się więc tak, że Kościół przestał być twierdzą obłożoną przez wrogów; oblegający odstąpili i idą swoją drogą, w pogoni za świeckimi zdobyczami, nie oglądając się na Kościół. Ale Kościół, z prawa swego boskiego powołania, nie może pozwolić, aby go zostawiono na uboczu. Powinnością jego jest iść za prądem czasu, a przyswoiwszy sobie zdobycze świeckiej pracy i umiejętności, budować z nich dalej Królestwo Boże. Położenie obecne różni się z gruntu od tego, jakie się wytworzyło w kilku ostatnich stuleciach: wówczas zadaniem Kościoła było walczyć o utrzymanie swej najwyższej władzy zwierzchniczej; obecnie musi odbudowywać gmach swój społeczny i polityczny, naprawiając szczyby, jakie czasy walk pozostawiły po sobie. Ale, by świat dzisiejszy do siebie pociągnąć, a narody skłonić do uległości, trzeba koniecznie, aby kształty tego nowego gmachu odpowiadały dążeniom i potrzebom współ-

czesnym. Pojednanie powinno być dziś hasłem polityki Kościoła, jak poprzedniemi była: obrona.

Zdaje się, że powiedzieliśmy już dosyć, aby usprawiedliwić stanowisko tych, którzy wierzą w ostateczne przymierze katolicyzmu z wolnością i twierdzą, że obecne położenie Kościoła wymaga od każdego szczerego katolika przejęcia się tym duchem wolności osobistej, który, choć przez długie wieki był wyłączną cechą rasy anglo saskiej, teraz owaładnął także młodsze pokolenie ludów łacińskich. Są uparci zwolennicy absolutyzmu, którzy, oczywiście, nigdy przekonać się nie dadzą i dla których określenie: wolność osobista, będzie zawsze równoznacznikiem swawoli. Ale, niech ci, dla których duch wolności jest treścią życia, nie tracą wiary w swój ideał; niech nie ustają w pracy, aby życie zewnętrzne Kościoła tym duchem przeniknąć. Przysłużą się tym sposobem wielce sprawie katolickiej; bo tylko na tej drodze zdoła dziś Kościół pociągnąć znów ku sobie wszystkie narody, a katolicyzm stanie się napowrót, tak jak to było w „Wiekach Wiary“, przodownikiem najwyższego rozwoju ludzkości, tak na polu świeckim jak na religijnem.

W teraźniejszym czasie największym niedostatkiem urzędów katolickich jest jakiś brak zapału i popędu, który jest następstwem nierozsądnego, a przesadnego tłumienia wszelkiej inicjatywy, pod wpływem rządów absolutnych. Przyzwyczajono się wszelką działalność ograniczać pewnemi, z góry narzuconemi formami, a wszystko co za te formy wykraczało — powściągać. Reguła stała się wszystkim i krępowała myśl i pracę ludzką. Wynika stąd, że dzisiaj organizacyom i stowarzyszeniom katolickim brak pełni życia; zeszywniały pod naciskiem systemów i formułek i nie są już w stanie odpowiedzieć nowym zapotrzebowaniom. Zamiast popierać osobiste wysiłki, stawia się im zapory, za czem idzie często zniechęcenie i upadek ducha. Z obawy przed rozprzężeniem, tłumi się wszelki indywidualizm i gasi ten zapał, za którym idzie powodzenie.

Trzeba się spodziewać, że, pod wpływem katolików angielskich, duch inicjatywy osobistej odżyje w Kościele; a za nim pójdzie ten pełny rozwój życia katolickiego, którego świat dzisiejszy tak bardzo potrzebuje, aby naprawić ruiny pozostałe po gwałtownych przewrotach ostatnich czterech stuleci. Ale wprowadzając tego ducha inicjatywy do swego życia i swych instytucyj społecznych, Kościół przeciwstawi mu natychmiast po-

czucie odpowiedzialności osobistej, które jest najpewniejszym hamulcem przeciw zбочeniom ducha wolności. Przy systemie rządów monarchicznych, odpowiedzialność za dobro powszechne składa się zwykle na rządzących i inaczej być nie może. Gdzie niema swobody inicjatywy, nie może być poczucia odpowiedzialności. Ale przy większym rozwoju osobistej wolności, odpowiedzialność każdej jednostki za dobro ogólne narzuca się sama z siebie i w niej leży najpewniejsza gwarancja bezpieczeństwa społeczności ludzkiej, jakibądź zresztą byłby system rządu. Żaden rząd długo ostać się nie może, jeżeli się nie opiera na sumieniu publicznem; żadne społeczeństwo nie może kwitnąć i być owocodajnem, gdy większość obywateli gra tylko rolę pionków na szachownicy. Prawda ta stosuje się do społeczności religijnych, więcej jeszcze jak do świeckich; a nigdy nie była tak na czasie, jak obecnie. Duch wolności rozwinął skrzydła i spętać się już nie da. Ale może stanąć w usługach wiary—tak, jak było ongi—i z wroga stać się przyjacielem.

To jest zadanie, którego Kościół w najbliższym czasie dokona, a spełniając je, ludzkość zbawi i swój urok podniesie.

---

## Państwo chrześcijańskie.

---

**P**omiędzy religijnymi zagadnieniami chwili obecnej, jednym z najbardziej brzemiennych w następstwa, jest ogólna tendencja wśród narodów ku sekularyzacyi państwa. Trudno twierdzić na pewno, czy ta tendencja wypływa z materialistycznego kierunku umysłów, nie chcących już znać nic poza tem, co widoczne i doczesne, czy też powodem jej jest ogólne niezadowolenie i pragnienie poprawy stosunków politycznych i społecznych między Kościołem a państwem. Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że to usposobienie antyklerykalne zwraca się nie tyle przeciw samejże religii, jak przeciw przepisom, na których opierają się dzisiaj prawa i przywileje Kościoła. Rozpowszechnione jest uprzedzenie, jakoby Kościół był przedstawicielem jednej tylko partyi, nie ogółu narodu; jakoby popierał interesy stronnice a nie dobro powszechne. Dopóki to głuche niezadowolenie nie będzie uśmierzone, agitacya antyklerykalna znajdować będzie oparcie, jeśli nie we współczuciu, to w obojętności ogółu. Rzeczywiście, jakiś duch antyklerykalny przenika dzisiaj szerokie masy narodu, tak w Anglii, jak w innych krajach; a usposobienie to będzie się rozwijało i wzrastało, dopóki lud nie nabierze przekonania, że Kościół pracuje dla dobra wszystkich, że jest strażnikiem praw i wolności ludu, i że na korzyść tegoż ludu używa swego wpływu w państwie. „Kościół, powiedział kardynał Manning, nie ma już nic do czynienia z dynastjami, lecz powinien iść z ludem“, a ta prawda sięga głębiej, niż się napozór zdaje. Zgoła niesłusznie, rozpowszechniło się

mniemanie, że interes Kościoła jest odrębny od interesu ogółu społeczności i stąd stracił on czucie z ludem. Dziś zatem, jednym z najpilniejszych zadań Kościoła jest: zaradzić temu niepomysłnemu stanowi rzeczy, odzyskać zaufanie i swobodę stosunków z ludem. W jaki sposób ta sprawa ma być przeprowadzona, to przyszłość sama wskaże. W Anglii i w Ameryce Kościół jest, na szczęście, wolny; dlatego oczekiwać można, że w najbliższej przyszłości główna siła Kościoła spoczywać będzie nie w państwach t. zw. katolickich, lecz wśród ludów Północy. Jest więc rzeczą największej wagi, aby prawa Kościoła w tych krajach zabezpieczone były, nie przez konkordaty, czy inne przymierza z rządem, lecz przez wolną wolę, uprawnionego do tego ludu. Dziś siła Kościoła opiera się na ludach, nie na rządach.

Tem bardziej jest ważnem, by katolicy angielscy i amerykańscy nie pozwolili się krępować żadnymi układami z rządem, które mogłyby osłabić zaufanie ludu do Kościoła, że od uczucia, jakie kraj cały dla Kościoła katolickiego żywić będzie, zawisło niedalekie już rozstrzygnięcie ważnej kwestyi: czy państwo ma być chrześcijańskim, czy świeckiem? Doszliśmy do tej przelomowej chwili, gdy religijna przyszłość ludu złożona jest znowu w ręce katolików. Gwałtowna agitacya, jaką prowadzą w Anglii, w sprawie wychowania publicznego, sekty odszczepieńcze, sprzymierzone z bezwyznaniowcami, przyspieszy chwilę, gdy lud angielski będzie musiał rozstrzygnąć, czy naród ma być jawnie chrześcijańskim, czy bezwyznaniowym. Dziś „nonkonformiści“<sup>1)</sup> domagają się szkoły świeckiej; jeżeli tego celu dopną, jutro ich wolnomyślni sprzymierzeńcy zażądadają zupełnego „odchrześcijanienia“ całego rządu i prawodawstwa. Kościół angielski nie jest mocen powstrzymać tego prądu: jego stanowisko prawne, jako Kościoła urzędowego, krępuje swobodę i działalność więcej jeszcze niż konkordaty, wiążące Kościół katolicki w innych krajach. Prócz tego, anglikanizm jest, jak ów dom ewangeliczny, rozdwójony sam w sobie; ciągle niepewny i wahający; raz nachyla się w kierunku katolickim, to znow w radykalnym. Wytrwałym usiłowaniom spółki nonkon-

---

<sup>1)</sup> Nonkonformistami nazywają w Anglii wszystkie sekty odszczepione, czyli odłączone od Kościoła urzędowego, którym jest Kościół anglikański. (Przyp. tłum.).

formistów z bezwyznaniowcami, tylko jeden Kościół katolicki jest mocen stawić równie stały i stanowczy opór. Między tem dwojgiem waży się przyszłość.

Ale trzeba nam dobrze zrozumieć, że ten rozłam między katolicyzmem a bezwyznaniowością nie jest tylko kwestyą szczegółów i polityki: sięga on głębiej, aż do samych podwalin życia narodowego. Jest to spór najbardziej żywotny, jaki być może i obejmuje cały obszar spraw państwa. Jeżeli się nie przejmujemy dobrze tą prawdą, możemy łatwo dać się podejść, jak się to już nieraz zdarzało —i, po pozornym tryumfie, znaleźć się w położeniu fałszywym. Dla żadnych pozornych korzyści, jakkolwiek ludzających, nie wolno nam odstąpić od tych zasad, które są podstawą życia chrześcijańskiego. Trzeba więc wyłuszczyć jasno i dokładnie, jakie są te zasady, na których opiera się katolickie pojęcie państwa. W tym celu przedstawimy tu szereg punktów:

Pierwszą zasadą jest, że państwo nie jest absolutnym panem jednostki; że, istotnie, nie ma żadnych praw nad jednostką, wyjąwszy tam, gdzie idzie o zabezpieczenie jej dobra osobistego i społecznego. Każdy pojedynczy obywatel ma prawo do bytu, uprzednio od takiegoż prawa państwa, a prawo to traci wtedy dopiero, gdy przestaje działać zgodnie z prawidłami rozumu. Wtenczas dopiero, gdy człowiek nadużywa swej wolności, z krzywdą swych współobywateli, ma państwo prawo ograniczyć jego wolność i swobodę działania; ale dopóki nie czyni żadnej szkody sobie lub drugim, wolno mu robić co chce. A jeśli państwo stawia mu przeszkody, bez koniecznej potrzeby i usiłuje ograniczyć jego wolność, która jest przyrodzonym prawem każdej ludzkiej istoty, obywatel ma zupełne prawo temu się oprzeć. Powiemy więc: nie tylko ma prawo, ale, w wielu wypadkach, ma obowiązek stawić opór, jeżeli, przez uległość dla państwa, miałby odstąpić praw Boskich, lub krzywdę wyrządzić bliźnim.

Według pojęcia katolickiego, zasada powyższa powinna być podstawą konstytucyi państw. Nieraz podnoszono zarzut, że Kościół jest wrogiem wolności; z bólem serca też wyznać trzeba, że książęta i ministrowie katolicy, zapominając o wzniosłych prawidłach swej wiary, aż nazbyt często gwałcili to podstawowe prawo wolności osobistej, które Kościół zawsze podtrzymywał; owszem, ze wstydem widzimy, że gwałcenie tego

świętego prawa było, w t. zw. katolickich krajach, niemal obyczajem.

Ale, nie zapominajmy, że, aczkolwiek mieniły się katoliczkimi, kraje te, przez setki lat, zostawały pod wpływem tej polityki pogańskiej, która, odżywszy w epoce Odrodzenia, pracowała odtąd wytrwale nad ujarzmieniem Kościoła i ludów. W świetle historii jest to łaska, za którą naród angielski winien składać dzięki Bogu, że przez lat 400 blisko, ustrzeżony został od wszelkiego udziału w takiej nieprawości; odnosi stąd tę przynajmniej korzyść, że dzisiaj może się powoływać na swe zasady katolickie, nie rumieniąc się za gwałcenie ich w przeszłości. Daje mu to szczególne prawo stanąć w obronie katolickiej zasady wolności osobistej, jako podstawy wszelkiej chrześcijańskiej polityki, przeciw każdemu, ktoby ją chciał gwałcić, czyby to byli wolnomyśliciele innych krajów, czy nasi własni bezwyznaniowi politycy, czy nawet katolicy, którzy, ze względu na jakąś chwilową korzyść dla Kościoła, gotowiby byli zdradzić tę główną zasadę, która jest jedyną podwaliną państw chrześcijańskich. Nie możemy, bez sprzeniewierzenia się katolickiej zasadzie, zgodzić się na absolutyzm państwowy: powtarzamy, że państwo istnieje dla obywateli, nie obywatele dla państwa. Nie ma to oznaczać, jakoby obywatele, w niektórych okolicznościach, nie mieli obowiązku poświęcić się dla dobra społeczeństwa, ale oznacza, że państwo, jako pojęcie oderwane, i niezależne od ogólnego dobra, nie jest uprawnione do krepowania wolności obywateli.

Drugim punktem naszego rozumowania jest, że: Wszelka władza państwowa jest ograniczona nie tylko przez wolność osobistą jednostki, ale także przez przyrodzone prawa władzy Kościoła i władzy rodziny. Według nauki katolickiej, we wszystkim co dotyczy duchowego i wiecznego dobra człowieka, Kościół ma władzę najwyższą. W tych sprawach państwo nie ma prawa nic określać ani rozrządzać. Kościołowi jednemu wolno rozstrzygać co jest prawowierne, czyli, co się zgadza z nauką chrześcijańską, i jemu jednemu przynależy strzedz świętości życia chrześcijańskiego, jako Sędziemu najwyższemu, którego wyroki są nieodwołalne. W całym tym zakresie życia społecznego, państwo jest poddane Kościołowi i co najwięcej, ma prawo ramieniem świeckim podtrzymywać rządy Kościoła.

Rodzina również ma prawa, których państwu naruszać nie wolno. Jest przyrodzonem prawem rodziców wykonywać władzę nad dzieckiem, dopóki dziecko nie jest w stanie rządzić się samo; wychowanie dziecka należy w pierwszym rzędzie do rodziców, a, gdy się znajdują w potrzebie, mają rodzice zawsze prawo liczyć na pomoc dzieci. Te prawa są nietykalne, a państwo przekracza zakres swej władzy gdy rodzinę chce tych praw pozbawić. Według zasad katolickich zatem, rządy nad społeczeństwem dźwierzają trzy władze: Kościół, państwo i rodzina — każda, w swym zakresie, niezależna od drugich, chociaż często pole ich działalności się krzyżuje. I tak, na przykład, państwo słusznie dopomina się o nadzór nad wychowaniem dzieci, o ile idzie o wykształcenie ich na zdolnych i prawych obywateli. Kościół, z drugiej strony, ma prawo czuwać, aby wychowanie dane dziecku, ukształciło je, nietylko na dobrego obywatela, ale i na godnego syna Kościoła, bo strzeżenie religijnego rozwoju dziecka należy do Kościoła. Ale cały kierunek wychowania jest w pierwszym rzędzie prawem rodziców, a dopóki rodzice starają się zaspokoić słuszne wymagania Kościoła i państwa, mogą prowadzić wychowanie dziecka tak, jak sami uznają najkorzystniejszym dla jego dobra.

Ustawy małżeńskie są nowym przykładem wkraczających wzajemnie w swą dziedzinę praw. Państwu przysługuje prawo ograniczać umowy pewnymi warunkami i naruszanie tych warunków karać utratą praw cywilnych. Ale, ponieważ małżeństwo jest sakramentem, najwyższą jurysdykcyę nad ślubami małżeńskimi dźwierzają Kościół, nie państwo i Kościół tylko ma prawo rozstrzygać o ważności związków małżeńskich.

Obowiązkiem sumienia dla nas, jako katolików, jest strzedz całości praw Kościoła i rodziny i bronić ich przeciw uroszczeniom państwa. Na tym punkcie będziemy zawsze stali w przeciwieństwie do wszystkich, którzy chcieliby widzieć w państwie jedyną najwyższą władzę: — czyby to byli protestanci, z rodzaju tych, którzy uważają Kościół tylko jako jeden z urzędów państwowych; czy socjaliści, którzy zaprzeczają wszelkich niezależnych praw, zarówno rodzinie, jak Kościołowi; czy też obywatele uznający te prawa w teorii, lecz w praktyce kierujący się oportunizmem. Niewątpliwie jest czasem trudno przeprowadzić sprawiedliwą linię graniczną między prawami Kościoła, państwa i rodziny, gdy dotyczą jednego i tego samego przed-

miotu; jest to zadanie godne mądrego i roztropnego męża stanu. Weźmy przykład: w Anglii Kościół dopomina się o prawo rozciągania opieki nad opuszczonymi dziećmi ubogich katolickich rodzin i nad katolickimi sierotami i umieszczania ich w katolickich przytułkach, a równocześnie żąda od państwa fundusów na ich utrzymanie. Oto przykład roztropnego rozwiązania zadania społecznego, które mogłoby się komuś wydać trudnym, bo, gdy rodzice zaniedbują dziecko, lub nie są w stanie go utrzymać, prawa rodzicielskie przechodzą na państwo w tem co dotyczy doczesnych potrzeb dziecka, a na Kościół we wszystkim, co tyczy jego dobra duchowego. Wychowywać dziecko katolickie w zakładzie protestanckim lub bezwyznaniowym, byłoby narażać je na niebezpieczeństwo utracenia naszej wiary, a przynajmniej, utrudniać Kościołowi swobodne wpływanie na jego duchowy rozwój. Aby więc zabezpieczyć swe prawa, Kościół obecnie przejmuje na siebie częściowo ciężar doczesnego utrzymania biednych dzieci: władze duchowne same utrzymują przytułki i szkoły i poprzestają na częściowej tylko pomocy państwa, niedorównywającej kosztom istotnym. Według zasad ścisłej sprawiedliwości, państwo powinno by wszystkie potrzeby biednego dziecka zaopatrywać, zostawiając Kościołowi całkowity kierunek wychowania. Gdyby państwo w niczem nie wkraczało w prawa Kościoła do duszy dziecka, mogłoby wtedy słusznie domagać się dla siebie wyłącznej opieki nad jego sprawami doczesnymi. System obecny opiera się na praktycznym kompromisie: państwo odstępuje Kościołowi część swych praw, a Kościół w zamian przyjmuje część odpowiedzialności państwa, dla zabezpieczenia duchowego, zarówno jak doczesnego dobra wychowanców. Oczywiście jest bowiem rzeczą, że Kościół nie może, dla dobra doczesnego, poświęcać dóbr duchowych, mających nieskończenie większe znaczenie. Dla tego też twierdzimy, że władza Kościoła nad obywatelami jest wyższa od władzy państwa, bo gdziekolwiek wchodzi w grę interesy duchowe, należy je uwzględniać przed interesami czysto doczesnymi.

To zastrzegłszy, przechodzimy do trzeciego punktu w naszym rozmowaniu, który brzmi, że: Pierwszym obowiązkiem państwa jest zabezpieczyć prawo do życia każdemu członkowi społeczeństwa, który tego prawa z własnej winy nie postradał.

Z pozoru, ta prawda zdaje się tak prostą i jasną, że zbytecznie jej dowodzić; ale spojrzymy w przeszłość i obaczmy, czy też państwo spełniło ten prosty i jasny obowiązek? Czy w przeszłości państwo starało się zabezpieczyć każdemu obywatelowi prawo, jakie on ma do życia? Stare, ciasne zaułki i ubogie przedmieścia naszych miast, wygłodzone, skarłowaciałe w nędzy pokolenia ludzkie, które tam wloką lichy żywot, dają na to pytanie niedwuznaczną odpowiedź.

Ta wielka masa wydziedziczonych i skrzywdzonych jest, w znacznej mierze, skutkiem całych stuleci prawodawstwa, którego celem było, nie zabezpieczyć wszystkim zarówno prawo do życia, ale zgniebić jedną klasę społeczną, dla pożytku innych klas: jest następstwem tej polityki państwowej, która trzymała zawsze stronę silnych, przeciw słabym; bogatych, przeciw ubogim. Obecnie wkroczyliśmy już w pomyślniejszą erę życia publicznego; dziś już wszystkie stronnictwa uznają zgodnie niesprawiedliwość tego gospodarstwa, które dzieli ludzkość na klasy. Ale obietnice reform sięgają dalej, niż ich urzeczywistnienie. Dobrze przynajmniej, że naród wszedł na drogę sprawiedliwości i poczuł się do obowiązków względem swych słabszych współobywateli, a najpierwszą naszą powinnością, jako katolików, jest czuwać, z całą energią, aby z tej drogi nie zoczył. Jednakże, gdy mówimy o prawie do życia, mamy na myśli życie godne ludzkiej istoty; każdemu powinna być dana możność rozwinięcia jego władz moralnych i utrzymania godności ludzkiej, a prawodawstwo powinno go w tem popierać, nie krępować. Państwo ma więc obowiązek zapewnić ubogim lepsze mieszkania; powściągać lichwę, która wtrąca nieopatrznych w ruinę i nędzę; ograniczyć nieuczciwą spekulację, która ceny żywności i najpierwszych potrzeb podnosi nad możność ubożego wyrobnika. Katolickie stronnictwa polityczne powinny popierać ustawy, biorące w opiekę tych, których samolubstwo klas możnych i bogatych trzymało dotąd w poniżeniu i upodleniu.

Należy jednak zrobić zastrzeżenie, że, podczas gdy jest obowiązkiem zabezpieczyć prawnie, nawet najuboższemu i naj-słabszemu przyzwoitą egzystencję, byłoby błędem przyzwyczajając biedniejsze klasy do oglądania się zawsze na pomoc państwową dla poprawy swego losu. Podźwignięcie i podniesienie ludu musi być w pewnej mierze, owocem własnych jego wysiłków. Państwo nie jest w możności urobić człowieka: ostatecznie,

człowiek musi sam się wyrabiać. Prawdziwie mądre prawodawstwo zatem, powinno otwierać pole dla inicjatywy i wysiłków osobistych, a nie wytwarzać bierność. Naszym celem ma być kształcić ludzi, a nie pionki, którymi państwo dowolnie porusza.

Byłoby więc bardzo zgubnem wpajać w umysły ubogiego ludu pojęcie, że rząd sam zrobi wszystko co potrzeba. Nawet, gdy rząd wszystkie swe obowiązki wypelni, współdziałanie i praca jednostek są konieczne, aby stworzyć warunki życia takie, jakimi być powinny.

Ale jakże mówić o pracy samodzielnej tym, którzy są skrepowani położeniem bez wyjścia i nie widzą promyka nadziei? Darmo namawiać ludzi, aby swe życie przyzwoiciej urządzili, gdy za lada dach nad głową w najnędrniejszej dziurze płacić muszą wygórowane czynsze; a jest niemal szyderstwem przedstawiać korzyść oszczędności człowiekowi, który nawet tyle zarobić nie jest w możności, aby życie jako tako podtrzymać.

Czy i o ile ustawy państwowe powinny kierować rozwojem spraw społecznych, jest to kwestya otwarta, która nie przestanie zaprzętać praktycznych ekonomistów. Z jednej strony należy dać prawną ochronę słabszym, przeciw wyzyskowi silnych; z drugiej, popierać pracę samodzielną, stosując się w tem do okoliczności danej chwili. Ale zdania w tej sprawie będą prawdopodobnie zawsze podzielone.

Wszyscy jednak zgodnie uznać muszą konieczność inicjatywy i pomocy państwowej, tam, gdzie idzie o poprawę bytu nędzarzy, którzy spadli tak nisko, że niezdolni już są do żadnych wysiłków moralnych; owszem, jak się to niestety trafia, nie czują nawet potrzeby poprawy. Dopiero, gdy w człowieku rozbudziło się pragnienie polepszenia bytu, a zarazem ma do tego celu drogę otwartą,—powstaje kwestya, czy należy go otaczać opieką państwową, czy zostawić mu swobodę własnych wysiłków? W każdym razie, jest już wielkim krokiem na polu sprawiedliwości społecznej, że uznano w zasadzie obowiązek państwa dawania opieki słabszym i wydziedziczonym.

Przechodzimy do czwartego punktu naszych wywodów którym jest, że państwo tylko wtedy zasługuje na nazwę państwa chrześcijańskiego, gdy w prawodawstwie i całym systemie rządów, współpracuje z Kościołem nad podtrzymaniem religii i czystości obyczajów, tak, jak tego żąda sumienie

chrześcijańskie. Pojęcie, jakoby życie mogło być podzielone na dwie całkiem odrębne sfery, świecką i religijną, sprzeciwia się najzupełniej zasadzie katolickiej. Katolicyzm nie uznaje by mogły być jedne sprawy tylko na niedzielę, a inne, wyłącznie na dzień powszedni. Życie jest jedno, a interesy świeckie i religijne są ściśle z sobą związane. Zatem twierdzenie, że państwo niema nic do czynienia ze sprawami religijnymi, a tylko świeckimi zajmować się winno, ze stanowiska katolickiego, podtrzymać się nie da. Państwo, z konieczności, albo popiera cele chrześcijańskie, albo im przeciwdziałą: Ewangelia i bezwyznaniowość stoją na dwóch przeciwnych biegunach; nie można popierać jednego, nie podkopując drugiego. Państwo zatem, neutralnem być nie może; albo jest jego działalność chrześcijańska, albo niechrześcijańska. Chrystyanizm bowiem, nie jest tylko jednym epizodem życia; jest to duch, który całą istotę człowieka ożywia i wszystkim jego sprawom nadaje kierunek.

Więc, chociaż państwo tylko świeckimi sprawami obywateli bezpośrednio zawiaduje, pośrednio wpływ jego odbijać się musi na sprawach religijnych w sposób dodatni, albo ujemny. Jeżeli prawodawstwo jego ożywia duch antykatolicki, jeżeli otwiera wrota dla nowoczesnego pogaństwa, zaprzeczającego Objawienia, traci prawo zwać się państwem chrześcijańskim.

Jeśli teraz zapytamy: czy wolno katolikom tolerować antychrześcijańskie ustawy państwowe i do jakiego stopnia? — odpowiedź może być tylko jedna, że każdy obywatel - katolik obowiązany jest opierać się ze wszystkich sił ustawom antykatolickim. Wpływ państwa, będzie on dobry, czy zły, odbija się bardzo silnie na życiu moralnem i duchowem obywateli. Jeżeli np. prawo ułatwia rozwody, obniża tem samem, w masach narodu, ideał życia małżeńskiego; pod osłoną praw protegujących przywileje klasowe, rozwija się egoizm kast; wytwarza się, jednym słowem, atmosfera moralna oddziaływająca zawsze na charaktery słabsze. Grzeszyłyby zatem obojętnością i zaniedbaniem obowiązku obywatel, nie korzystający z przysługujących mu praw, aby wystąpić śmiało przeciw każdej uchwałę, podkopującej życie chrześcijańskie.

Nie tracimy jednak z uwagi tej ważnej prawdy, że budowa państwa chrześcijańskiego opiera się nie tyle na prawach, ile na sumieniach. Księga praw może być najdoskonalszem za-

stosowaniem nauk zawartych w „Kazaniu na górze“, a obyczaje obywateli najzupełnijszem ich zaprzeczeniem. Zakaz rozwodów nie oznacza jeszcze, że wśród ludności panuje poszanowanie świętości związków małżeńskich; najsurowsze przepisy przeciw pijaństwu, nie są jeszcze rękojmią trzeźwości mieszkańców. W dobrze uorganizowanem społeczeństwie, prawo powinno zawsze znajdować oddźwięk w sumieniach obywateli; a nie jest roztropnem, gdy prawodawstwo zanadto wyprzedza poczucie ludności. Łatwo wtedy może chybić celu i stać się martwą literą; owszem, może działać w kierunku odwrotnym i pogarszać złe, które miało leczyć. Mądrzej więc jest niekiedy usterki prawodawstwa do czasu tolerować, a pracować przede wszystkim nad rozbudzeniem i podniesieniem sumienia publicznego. Państwo bowiem, może poczucie chrześcijańskie popierać tylko o tyle, o ile ono już żyje w sumieniach obywateli. Inaczej byłaby to tylko bezprawna i bezduszna tyrania. Rozbudzenie ducha chrześcijańskiego wśród ludu jest zadaniem Kościoła, nie państwa; stąd spada na katolików ważny obowiązek kształcić i rozwijać moralne poczucie u ludu i stopniowo stawiać mu coraz wyższe wymagania. Gdy to poczucie ożyje już w sumieniach, zadaniem państwa będzie obwarować je przez mądre prawa. Możemy więc przyjąć jako zasadę, że tylko w miarę jak duch chrześcijańskiej moralności budzi się i rozwija w narodzie, powinien tenże duch znaleźć swój wyraz w prawodawstwie.

Oto są zasady, któremi katolicy przejąć się powinni szczerze i głęboko, jeżeli chcą wyjść zwycięzko z walki przeciw napaściom bezwyznaniowców i zachować narodowi swemu cechę narodu chrześcijańskiego. Nadeszła, lub szybko nadchodzi chwila, gdy państwo będzie musiało ogłosić się jawnie chrześcijańskim, lub jawnie bezwyznaniowem. Przymierze zawarte niegdyś między Chrystyanizmem, a nowoczesnem pogaństwem epoki Odrodzenia, rozbiło się. Ale pomnijmy dobrze, że nie istnienie, więcej czy mniej formalnego konkordatu, czyni naród chrześcijańskim, ani wystarcza ku temu zapisanie w kodeksie praw imion Boga i Kościoła. Naród jest chrześcijańskim, gdy system jego rządu opiera się na zasadach katolickich: zasada katolicka zaś, uznaje trojaką władzę: Kościoła, państwa i rodziny, oraz żąda poszanowania nietykalnej zasady wolności osobi-

stej. Tylko w państwie, które powyższe zasady uznaje, może się życie katolickie swobodnie rozwijać.

Gdyby te pojęcia szerzej się rozpowszechniły, bezwyznaniowość postradałaby najsilniejszą swoją broń. Katolicyzm uważany jest pospolicie za duch sekciarski, wyłączny, dobru ogólnemu ludu nie sprzyjający. Trzeba, żeby był poznany czem jest: jako duch wszechludzki, szczytem sięgający wprawdzie nieba, — ale ramionami obejmujący wszystkie dążenia ludzkości ku wyższemu i lepszym celom; — wtedy znajdzie posłuch i odzyska moc zbawiania ciał i dusz.

Obowiązkiem więc naszym jest wspierać zasady katolickie tam, gdzie już są zakorzenione, a rozpowszechniać je, gdzie są jeszcze nieznanne; ku temu celowi winniśmy wyzyskać wszystkie sposobności, jakie nam następuje wykonywanie naszych praw politycznych. Można by zarzucić, że w Anglii i w Ameryce katolicy są dotąd mało znaczną mniejszością: lecz mniejszości skupione i silnie zorganizowane mogą wiele zdziałać. Owszem, widzimy, że zwykle zwycięstwo pozostaje przy energicznej mniejszości. Bądź co bądź, choćbyśmy byli mniejszością, faktem jest, że tylko my jedni mamy bronić chrześcijańskiego charakteru naszego państwa; a gdy fakt stanie się jawnym dla ogółu, wszystko, co tylko w kraju jest jeszcze chrześcijańskim, skupi się koło nas.

Ale, pamiętajmy, że w tym dniu walki, siłą naszą będzie, że jesteśmy przedstawicielami potrzeb całego społeczeństwa; nie stójmy więc na uboczu, jak obcy wśród swoich. Interes narodu, jest naszym interesem; sprawa ludu, jest naszą sprawą. Siłą najrzetelniejszą katolicyzmu jest, że nie staje w obronie jednej czy drugiej sekty, ale całego narodu. Dzisiaj tłum może jeszcze to twierdzenie nazwać uroszczeniem; ale, jeżeli katolicy wierni zostaną swym zasadom, wypadki same przyznają im słusność.

Tymczasem, niech nasi przeciwnicy mówią co chcą: przed nami leży droga prosta i obowiązek jasny.

## Wychowanie kobiety.

---

**P**opęd nadany wykształceniu kobiet, jest jedną z najwybitniejszych zdobyczy ubiegłego stulecia. Dzisiaj, każda kobieta która chce uchodzić za wykształconą, musi być w możności ogarnięcia myślą tego wszystkiego, co zajmuje mężczyznę; nie możemy też przewidzieć, gdzie się zatrzyma ambicya kobiet, szukających wykształcenia uniwersyteckiego. Było w tej sprawie dużo nieodrzecznej gadaniny i niepotrzebnej agitacyi. Ale zdmuchnąwszy z wierzchu pianę, znajdziemy na spodzie zdrowy i silny napój. Dzisiaj uznano już, że rozum kobiety dorównywa mężczyemu; przestano uważać kobietę jako istotę, z prawa natury, niższą od mężczyzny we wszystkich wyższych władzach ducha ludzkiego.

Ta emancypacya niewieścia oznacza, niewątpliwie, znakomity postęp w cywilizacyi ludzkości. Kobieta bowiem, stanowi i zawsze stanowić będzie jeden z najwyższych czynników w moralnej i społecznej budowie życia ludzkiego. W ogólnym sensie powiedzieć możemy, że usamowolnienie kobiety oznacza tryumf prawa nad siłą i siły moralnej nad fizyczną.

A jednak, jak się zawsze dzieje w epokach przewrotu, dopięcie tego celu nie obeszło się bez wielu niemądrych i nierozumnych wybryków. Dawno temu, gdy ruch ten był w samych zaczątkach, Ruskin ostrzegał już, że zrównania kobiety z mężczyzną nie należy brać za identyczność obojga. Kobieta nie jest mężczyzną gatunku niższego, czy też wyższego; ona nie jest wcale mężczyzną. Jest i będzie zawsze kobietą; a jej moc

i godność płyną zarówno z tego czem się od mężczyzny różni, jak z tego, co ją do niego zbliża. Owszem, jej właściwa siła polega na utrzymaniu tej różnicy; bo, gdy traci cechę swej kobiecości, przemienia się na nędzną i nieudaną kopię mężczyzny. Zapoznanie to właśnie tego faktu przez wielu najgłośniejszych agitatorów za „prawami kobiet“, uczyniło ruch feministyczny śmiesznym i nienaturalnym. Niech mówią co chcą zapaleni agitatorzy, prosty rozsądek ludzkości wskazuje jej, że różnica kobiety od mężczyzny polega nie tylko na zewnętrznej budowie i kształtach, ale na cechach umysłowych i moralnych.

Jeżeli zatem chcemy uniknąć sztychów, pod którymi uległo tylu obrońców żeńskiej połowy ludzkiego rodu, musimy sobie dobrze uprzytomnić, czem ma być prawdziwa kobieta, abyśmy z dorastającego pokolenia niewiast nie uczynili czegoś mniej kobiecego, a, mimo to, niższego od mężczyzny, któremu ma dorównać.

Prawdziwa kobieta jest z prawa przyrodzenia, piastunką ludzkości, którą wznosi do ideału: jest równocześnie, sędzią i lekarzem; w niej, w najwyższym pojęciu, sprawiedliwość i miłosierdzie spotykają się; lecz gruntem jej natury, jest cześć dla ideału. Nie przystoi jej zatem wydawać wyroków, lub stawać do szeregu w walkach ludzkości, to są funkcje mężczyzny. Jego udziałem jest stanowić konstytucję, prowadzić politykę i wogóle kierować sprawami, w których zasady idealne spotykać się muszą z rzeczywistością życia. Natura niewieścia mniej jest uzdolniona do takich kompromisów. Mężczyzna, zazwyczaj przystosowuje ideał do rzeczywistego świata, który go otacza i zadowala się, gdy doszedł do tego, że jeden z drugim nie nadto się kłóci. Owszem, naturalnie się skłania do stawiania nad wszystko faktów, a ideały niecierpliwia go. Zawsze jest gotów usunąć ostatnie, dla zrobienia miejsca pierwszym.

Prawdziwa kobieta natomiast, nosi w sercu cześć nieograniczoną dla ideału, a konieczne od niego ustępstwa, z jakich się składa pospolite życie ludzkości, znosi, o tyle tylko, o ile pozwalają do tego ideału się zbliżyć i zostawiają nadzieję coraz bliższego jego urzeczywistnienia. Jeżeli się jej trafi inaczej zapatrywać na świat zewnętrzny, czuje się winną odstępstwa od ideału uwielbionego. Gdy jest rozsądna, widzi niepodobieństwo osiągnięcia go za jednym zamachem i wdzięczną jest każdemu kto, jaką bądź drogą, życie do tego ideału zbliża. Ale, choć roz-

tropność uczy ją być wyrozumiałą, nie przestaje ubolewać nad tą koniecznością i rzadko szczerze się z nią godzi. To uprzedzenie czyni ją niekiedy niesprawiedliwą dla osób, które, uczciwie do idealnej doskonałości dążąc, widzą jednak potrzebę stopniowanego postępu.

Ta bezwarunkowa cześć dla ideału i potępienie wszelkich od niego ustępstw, sprawiają, że kobieta jest ze stanowiska moralnego życia rodzaju ludzkiego, niejako „Speculum justitiae“ „Zwierciadłem sprawiedliwości“, w którym ludzkość przejrzeć się może ze swej strony najwznioslejszej i najszlachetniejszej. Jej rolą jest ukazywać światu najwyższy szczebel doskonałości, który osiągnąć powinien i czynności jego pochwalać, lub potępiać, w miarę, jak odpowiadają temu ideałowi, do którego człowiek ma dążyć. Woła go nieustannie naprzód, ku coraz wyższemu duchowemu wysiłkom i nie da mu spocząć, dopóki nie osiągnie najwyższego, do czego jest zdolnym. Mężczyzna kształtuje świat, kobieta zaś trzyma przed nim wzór szczytny, wedle którego jego dzieło będzie sądzone.

Ale powołaniem kobiety nie jest jedynie rozstrzygać o moralnej wartości prac mężczyzny; ona powinna mu być pomocą w urzeczywistnieniu dzieła doskonałego, którego po nim oczekuje; umacniać go w chwilach słabości, krzepić, gdy się chwieje; wspierać w szlachetnym boju; goić rany odniesione w walce; rada, współczuciem, popierać spełnienie nadziei, jakie w nim pokłada.

Ta działalność wspierająca, kojąca, współczująca, objęta jest już sama przez się powołaniem kobiety, jako przewodniczki ludzkości ku idealnym celom. Nie godziłoby się bowiem, nakładać na drugich obowiązki, a od współdziałania z ich słabością w dopełnieniu tego obowiązku, rękę swą usuwać. W tym to sensie kobieta jest, z prawa natury, piastunką i karmicielką ludzkiego rodu. Jak jej niebiański pierwowzór: Dziewica - Matka ma ona być nietylko: „Speculum justitiae“, „Zwierciadłem sprawiedliwości“, ale także „Uzdrowieniem chorych“, „Ucieczką grzesznych“, „Pocieszycielką strapionych“, a łącząc w sobie wszystkie te przymioty, osiąga królowkie berło nad światem. Spełnianie tej macierzyńskiej pieczy nad ludzkością ułatwia kobiecie delikatna wrażliwość, która jest częścią prawdziwie kobiecej natury, a która, jeżeli kobieta nie zwraca jej wyłącznie ku sobie samej, czyni ją zdolną do odczuwania instynktowo potrzeb cu-

dzych. Nie można więc wyrządzić kobiecie większej krzywdy, jak stępić w niej tę wrażliwość, która jest koniecznym warunkiem jej właściwej działalności. Często tylko zachodzi potrzeba zwracać tę wrażliwość kobiecą ku właściwemu celowi: odczuwania i łagodzenia cierpień bliźnich, a nie pozwalać jej marnować na pielęgnowaniu jedynie swej próżności i miłości własnej.

W każdym planie wychowania kobiecego zatem, powinny być uwzględnione te dwie główne właściwości jej charakteru: idealizm i wrażliwość; bo te dwa przyrodzone przymioty tworzą najwybitniejszą cechę prawdziwej kobiecości.

Jednakże, to nasze proste i szczere przedstawienie prawdy zostawia wiele do życzenia, ze względu na cel jaki sobie założył ruch feministyczny. Faktem jest, któremu nie zaprzeczamy, że na doskonały typ kobiety składa się wiele przymiotów, nie objętych temi dwoma przeważającymi cechami; przymiotów, które, choć mniej wybitne jak jej idealizm i wrażliwość, potrzebne są jednak, dla należytego rozwinięcia tych dwojga. Stwierdzamy tu od razu, że wszystkie przymioty, które się składają na doskonałego mężczyznę, muszą się znaleźć, w pewnej mierze, także w doskonałej kobiecie; zarówno jak najbardziej kobiece zalety znaleźć można, w niejakiem stopniu, w najdzielniejszym męskim charakterze. Różnica bowiem między kobietą a mężczyzną jest więcej względna, jak absolutna: jedno jak drugie, obdarzone jest wszystkimi ludzkimi przymiotami, lecz w każdym przeważają te, które odpowiadają właściwemu jego powołaniu w życiu. I tak, cechą prawdziwej kobiety nie jest brak przymiotów męskich, ale ich podporządkowanie tym, które wyróżniają charakter kobiety. Wogóle, sprawa odpowiedniego wychowania kobiety nie jest kwestyą wyłączenia, ale kwestyą słusznego podporządkowania. Dawni wychowawcy błędzili przez zbytne wyłączenie kobiety, dzisiejsi błędzą również, nie chcąc uznać konieczności pewnego podporządkowania. Nie zamykając wychowania kobiety w ciasnych granicach, któreby ją odłączały od należnego jej udziału w zajęciach jej braci, oczywiście jest jednak, że główną troską jej wychowawców powinno być strzeżenie i rozwijanie jej kobiecych zalet. Stara to prawda, że w tem co tworzy naszą siłę, leży równocześnie nasza słabość. Idealizm i wrażliwość, które stanowią siłę kobiety i tajemnicę jej wpływu na mężczyznę, stać się łatwo mogą dla niej źródłem

słabości, jeżeli jej ogólno-ludzkie przymioty nie będą w zdrowym kierunku ćwiczone i rozwijane. Wybujały idealizm może łatwo spaczyć jej sąd, jeżeli umysł nie jest na wysokości kwestyi, którą ma rozstrzygnąć; zbytnia wrażliwość może jej dać unieść się wzruszeniem, jeżeli się nie nauczyła sztuki panowania nad sobą. Wychowanie kobiet zatem, powinno się opierać na dwóch głównych zasadach: umacniać jej wolę i moc nad sobą, nie tłumiąc kobiecej wrażliwości, — oraz rozszerzać jej pogląd na świat, strzegąc wrodzonego idealizmu. O ile dzisiejszy ruch feministyczny te dwa cele osiągnie, można mu przyklasnąć. Otwierając przed kobietą szersze pole dla jej rozwoju duchowego daje się zarazem możność swobodniejszego niż dotąd, wyzyskania swych praw kobiecych; a większa swoboda działania stanie się dla niej szkołą panowania nad sobą, co dotąd było jej najsłabszą stroną. Obawiać się, aby większa niezależność kobiety nie przyniosła ujmy jej kobiecości, byłoby sądem powierzchownym. Niebezpieczeństwo, oczywiście, istnieje, ale niemniej jest pewnem, że niezależność wyrabia śmiałość w działaniu i moc woli, a nie godzi się odmawiać kobiecie tego, co jest przywilejem każdej ludzkiej istoty. Aby ustrzedz kobietę współczesną przed niebezpieczeństwami, któremi jej grozi nowo nabyta niezależność, niema lepszego środka jak wpoić w nią przekonanie, że ten nowy przywilej nakłada obowiązek panowania nad sobą. Niewątpliwie, kobiecie usamowlonionej potrzebna jest podpora zewnętrzna, którą, dla mężczyzny, jego większa siła fizyczna czyni zbyteczną; temu żadna rozsądna kobieta nie zaprzeczy. Ale pozostaje prawdą, że największe niebezpieczeństwo dla kobiety usamowlonionej stanowi jej własna uczuciowa natura, nie dość hamowana przez władze umysłu i woli.

Uznając niebezpieczeństwo, przed którym ostrzegamy, widzimy jednak, że dla korzystania z pełni należnych jej praw, kobieta musi być usamowloniona, a warunki które jej tę własnowolność zapewnią należy chętnie przyjąć. Nic tak nie tamoowało rozwoju władz kobiety, jak przesadne, a dziś jeszcze szeroko rozpowszechnione pojęcie o jej zależności od mężczyzny. Że, w pewnej mierze, jest od niego zależną, nie podpada kwestyi. Pospolicie mężczyzna ma szerszy pogląd na świat, więcej zrównoważony sąd o rzeczach, większą siłę oporu przeciw nie-

pomyślnym okolicznościom życia; i pod tym względem kobieta musi szukać u niego pomocy. Nie należy jednak mieć przesadnego pojęcia o tej niższości kobiety, jak się to nadto często zdarza. Typ kobiety samodzielnej, pracowitej, wytrwałej, w której okoliczności życia wydobyły na jaw ukrytą energię — nie jest bynajmniej wyjątkiem i świadczy dowodnie, że kobieta nie była stworzona na satelitę mężczyzny, niezdolną żyć inaczej, jak w jego cieniu. Natura ukształciła ją raczej na niezależnego sprzymierzeńca i współpracownika męskiego rodu, a tem nigdy nie będzie, jeżeli w sobie samej nie znajdzie dość oparcia i siły charakteru, aby, w razie potrzeby, stać samotna. Wychowanie kobiety zatem, powinno w niej rozwijać siłę wytrwania i samodzielność, aby była zdolna przebijać się przez świat samotnie a jednak zwycięsko. Gdy tego dokażemy, możemy dopiero powiedzieć żeśmy wykształcili kobietę doskonałą.

Zarzucają nam, że takie wychowanie uczyni kobietę niechętną i niezdolną do wejścia w związki małżeńskie; sama już większa niezależność kobiet — mówią nam — czyni je trudniejszymi w wyborze męża. Żaden zarzut nie może być więcej niedorzeczny jak ten, że wychowanie, którego żądamy dla kobiety uczyni ją niezdolną do za mąż pójścia, albowiem kobieta samodzielna będzie zawsze lepszą żoną i matką, niż kobieta nieodolna i bierna. Zarzut zaś, że kobieta tak wychowana, niechętnie wstąpi w związki małżeńskie, równa się wyznaniu, że wiele kobiet wychodzi za mąż z musu i że, gdyby umiały lepiej sobie radzić, nie chciałyby męża. Nie jestże oczywistem, że taki pogląd poniża pojęcie małżeństwa? Aby małżeństwo odpowiadało szczytnemu ideałowi chrześcijańskiego Sakramentu, musi być całkiem swobodnie zawartą umową dwóch istot, dla ich większego udoskonalenia w życiu; tem zaś może być tylko wtedy, gdy zarówno kobieta, jak mężczyzna mają zupełną wolność przyjąć lub odrzucić związek z przyczyn moralnych, nie będąc krępowani materyalną koniecznością. Sprzeciwia się również zupełnie chrześcijańskiemu pojęciu godności niewiasty, aby jej przeznaczeniem był zawsze stan małżeński. Wprawdzie większość mężczyzn i kobiet znajduje cel życia w małżeństwie, wielu jednak, wolność od małżeńskich związków pozwala żyć życiem pełniejszym i doskonalszym, a ta wolność przysługuje kobiecie, zarówno jak mężczyźnie. Taką była od początku nauka Kościoła, który życie samotne, poświęcone Bogu i dobrym uczynom, stale

błogosławił. A tak, zachowując kobiecie swobodę wstąpienia, lub nie, w związku małżeńskie, Kościół strzegł zarówno wolności duszy ludzkiej, jak świętości małżeńskiego węzła. Jeżeli chrześcijańskie małżeństwo jest rzeczą świętą, unikać go powinni ci, których powołaniem jest szukać uswiętobliwienia w bezżeństwie. Wolność wyboru kobiety zatem, nietylko nie ujmuje słusznym prawom związku małżeńskiego, ale podnosi jego godność i nietykalność.

Z moralnem wychowaniem kobiety wszakże, związane jest ściśle kształcenie jej umysłu. Ciasny pogląd na świat może skrzywić i ubezwładnić najbystrzejsze poczucie moralne. Aby kobieta mogła godnie wypełnić swoje powołanie: szermierki za ideałem i piastunki ludzkości, umysł jej musi sięgać ku najwyższym wyżynom ducha; nauka, filozofia, sztuka, nie powinny być dla niej zamkniętą księgą. Specyjalnego wykształcenia, w jakiejbądź gałęzi wiedzy, dobijać się nie potrzebuje, ale powinna być dość biegłą, by zdobycze naukowe drugich zrozumieć i z nimi sympatyzować; inaczej, stanie się dla mężczyzny zawadą, więcej niż towarzyszką, i nie potrafi zdobyć tego zaufania, od którego zawisł jej wpływ. Każda kobieta zatem, ma prawo domagać się takiego stopnia wykształcenia, któryby z niej uczynił towarzyszkę w tej sferze, w której ją postawiło jej urodzenie lub inteligencya. Kobieta jednakże, powinna zawsze uważać kształcenie umysłu tylko za szczebel do moralnego udoskonalenia; dla niej, więcej jeszcze jak dla mężczyzny, nauka nie ma być celem, sama w sobie, ale raczej środkiem do doskonalszego wypełnienia jej niewieściego powołania. Działając inaczej, wypierałaby się swej kobiecości. Stąd, żadna prawdziwa kobieta nie może się zadowolić czysto naukowemi poszukiwaniami w tym stopniu, jak to jest właściwe u mężczyzny. Trafnie ktoś powiedział, że dla mężczyzny najwyższym celem jest: Prawda—a dla kobiety: Dobro. To też, prawdziwa kobieta mniej ceni wyższość rozumu, jak przymioty charakteru; uwielbia człowieka nie za to, co umie, ale za to, co zdziałał i czem jest. Filozoficzne jej spekulacye, również naturalnym popędem, prowadzą ją zawsze do wiary i Boga. Chciałaby jak najprędzej swoje pojęcie Dobra wcielić w życie; Prawda oderwana, bez związku z moralnem działaniem, nie pociąga jej.

Leży w tem nawet czasem pewne niebezpieczeństwo, gdy kobiecie brak tego wyrobienia umysłu, które jedynie może dać

naszemu działaniu rzetelną wartość; jej moralne i religijne pojęcia opierają się wtedy wyłącznie na uczuciowości i sympatiach; siła woli wyrabia się w niej bez współdziałania rozumu; a stąd nie znajdujemy u niej tej równowagi i swobody ducha, które są udziałem wyższej inteligencji. Jej czułość płynie ciasnym korytem, jej uczuciom religijnym brak szczerzej i silnej podstawy. Ta jest przyczyna, że podczas gdy istnieje na świecie tak dużo pobożnych niewiast, ludzkość, wogóle, jest tak obojętną na wpływy religijne. Byłoby inaczej, gdyby kobiety pobożne umiały zwalczać obojętność swego otoczenia przez rozumne i przekonujące dowody. Jak dziś rzeczy stoją, ich pobożność wydaje się oczom obojętnych tylko umysłowem niedołęstwem. Natomiast kobieta szczerze religijna, a wyższego umysłu, ogarniająca rozumem wszystkie ważne zagadnienia współczesne, zawsze znajdzie słowa, które poruszą i pociągną, choćby całkowicie nie przekonały. Umysłowe jej wykształcenie bowiem, daje jej klucz do cudzych pojęć; a umieć czytać w rozumach, jest niemniej potrzebnem, jak czytać w sercach. Na tym to punkcie zwykle kobiety szwankują.

Z każdego względu zatem, dobrze jest, aby kobieta otrzymała wyższe i szerokie wykształcenie i miała możność zapoznać się ze wszystkimi gałęziami wiedzy, co rozszerzy zakres jej pojęć i wyrobi jej zdrowy sąd. Nie powinna też zamykać się w ciasnym kółku i ograniczać do wiadomości mogących jej przynieść bezpośredni pożytek. Miarą jej wysiłków powinno być jej uzdolnienie; okolicznościom w jakich żyje, musi ulegać, ale cel swój stawiać wyżej. Kobieta zmuszona zarabiać na życie, będzie się najusilniej kształciła w tych gałęziach wiedzy, które jej zapewnią kawałek chleba; nie powinna jednak, wyrzekać się innych umysłowych zajęć, do których ma zdolność i upodobanie. Również, osoba która sobie jakiś szczególny cel do osiągnięcia założy, bardzo słusznie do tego celu, głównie, swe prace kieruje, ale byłaby nierozsądną, gdyby zaniedbywała wszystko, co się wprost do niego nie odnosi. Błędem jest takie ciasne zasklepianie się, które męczy i ubezwładnia umysł; natomiast większa różnorodność i swoboda zajęć, zachowuje mu jego świeżość. Powtarzamy więc, że wykształceniem kobiety nie powinny kierować okoliczności, ale jej własne talenty i dążenia. Ona sama ma być dla siebie celem, w sobie samej czerpać siły, a nigdy się nie poddawać żadnemu naciskowi z zewnątrz.

Nie tracąc więc z oczu rysów, znamionujących prawdziwą kobietę, my, katolicy, witamy z uznaniem jej dążenie ku wyższemu szczeblom nauki. Jest to jej prawo, — prawo, które tradycja katolicka oddawna uświęciła. Kościół to bowiem stworzył ten typ kobiety, któremu ruch społeczny dzisiejszych czasów hołduje. W swem nieomylnem poczuciu tego, czego natura ludzka pożąda, Kościół nie chciał nigdy uznać bezwarunkowej zależności kobiety od mężczyzny, podtrzymując, równocześnie, zasadniczą różnicę funkcji kobiecych od męskich, w społecznym życiu ludzkości. W oczach Kościoła kobieta jest wolną i niezależną towarzyszką mężczyzny; a osłaniając jej słabość przed przemocą silniejszego męskiego rodu, Kościół strzegł jej praw i zabezpieczał jej samodzielność. Przez długie wieki panowania barbarzyńskiej samowoli i nieokiełznanej brutalnej siły, welon zakonny był tarczą kobiecej wolności. W klasztorach to wyrabiała się jednostki niewieście, o silnym, niezależnym duchu wśród których wieki dzisiejsze mogą szukać wzorów doskonałej kobiecości. Nie zamierzam twierdzić, że wszystkie zakonnice były doskonałościami. Odcięte od szerszego świata i życia zamknięte w ciasnym obrębie jednostajnych zajęć, często zaniedbują rozwijanie swych władz umysłowych. Ale to dowodzi tylko, że, nawet w zakonie, natura ludzka rzadko osiąga szczebel doskonałości wymarzony przez mądrych teoretyków. Mimo to, podtrzymujemy twierdzenie, że z jednej strony, welon zakonny był zawsze symbolem wyzwolenia kobiety; z drugiej, węzeł małżeński tem jest szlachetniejszy i świętszy, gdy ona własnowolnie tę drogę życia dla siebie obiera. Ten ideał silnej, samodzielnej, inteligentnej kobiety, ma być naszym celem, do którego wszelkimi środkami dążyć nam trzeba.

---

## Małżeństwo.

---

**W**łaściwym dążeniem Chrystyanizmu jest we wszystkim, co doczesne, szukać zarodku tego, co wieczne. Duch Chrystusowy, przenikając życie człowiecze, niczego nie niszczy, lecz wszystko udoskonala; bierze życie nasze jakim jest, i z tego co zmysłowe i ziemskie wydobywa nadprzyrodzone i niebiańskie. Różni się w tem do gruntu z sekciarskim duchem Manichejskim, dla którego widome jest zaprzeczeniem niewidomego, a wszystko co ziemskie, samem złem. Według pojęcia chrześcijańskiego, świat na którym żyjemy, jego przyrodzone zjawiska i ludzkie stosunki i uczucia są, same w sobie, dobre. O ile ziemskie — są przemijające; a jednak coś z nich zostanie, bo wszystko co doczesne sięga jedną stroną ku wieczności i przesłania nam tylko jakąś wiekuiłą istność. Powiemy więcej: życie doczesne należycie zrozumiane i pojęte, prowadzi nas samo do poznania i ukochania życia niewidomego i wiecznego; jest nam łącznikiem z tem co duchowe. Tak, duch chrześcijański umie odkryć boski pierwiastek we wszystkich dziełach natury, a osobliwie w naturze ludzkiej. Zatem, każde nadużywanie darów i uciech przyrodzonych jest tem większym grzechem, ile, że jest odwróceniem ku złym i bydlęcym celom, tego co nam było dane, aby nas podnieść ku duchowym i wiecznym dziedzinom. Różnicę między człowiekiem a bydlęciem stanowi przedewszystkiem to, że człowiek, za tem co ziemskie, odczuwa i widzi wiekuiście; a Kościół starał się zawsze to poczuć, we wszystkich stosunkach ludzkich, rozwijać i pielęgnować. Kiedy s. Augustyn nawracał

Anglię, papież Grzegorz Wielki zabronił mu burzyć pogańskie świątynie i znosić pogańskie igrzyska, lecz przykazał świątynie oczyszczać i dla katolickiego nabożeństwa poświęcać, a igrzyska na chrześcijańskie uroczystości przemienić. Jest to przykład tej zasady, którą Kościół zawsze i wszędzie stosował. Zło, bowiem, nie leży w naturze, ale w nadużywaniu przez nas naturalnych darów; w zaślepieniu, które nie chce widzieć co jest w naturze boskiego.

Prawda ta najgłębiej objawia się w katolickim pojęciu małżeństwa. Mamy tu jedną z pierwotnych instytucyj społeczności ludzkiej, którą Kościół przyjął jako czynnik w życiu chrześcijańskim, błogosławieństwem swoim uświęcił i uczynił jednym z siedmiu Sakramentów, na których oparł swoją budowę. Małżeństwo chrześcijańskie nie jest więc przypadkowym zbiegiem okoliczności; nie jest złem nieuniknionem, które trzeba znosić; jest to powołanie święte, bez którego Kościół na ziemi ostać się nie może, objęte boskim planem Odkupienia. Małżonkowie powinni brać udział w życiu Kościoła i w pracy około budowania Królestwa Bożego na ziemi, zarówno jak kapłani i święte dziewice poświęcone Bogu; a ta właśnie rola, jaką w życiu Kościoła odgrywa małżeństwo chrześcijańskie, czyni je uprawionem i świętem. Według ducha Ewangelii, chrześcijanie wchodzą w związek małżeński aby sobie dopomóc do urzeczywistnienia planów Bożych nad społeczeństwem ludzkim i nie tylko przedłużyć życie ludzkiego rodu, ale stworzyć spółkę rodzinną, niejako pierwotną komórkę, z której, jak z zawiązku, ma się rozwinąć życie całej wielkiej, chrześcijańskiej społeczności. Na tej to podstawie, którą daje rodzina chrześcijańska, opiera się społeczna budowa Kościoła. Rodzina, jest, że tak powiemy, domową kaplicą, z której wyrastają kształty wielkiej bazyliki, o ile jest chrześcijańska jedna, o tyle będzie nią druga. Pojęcie chrześcijańskiego małżeństwa zatem, nie może być odłączone od pojęcia życia rodzinnego, które jest pierwszym gruntem i podwaliną całego życia chrześcijańskiego. Celem małżeństwa jest rodzina, a rodziny Kościół Boży.

Oto jest katolicka zasada małżeństwa i zarazem odpowiedź na teorię związków wolnych, która tak zgubnie podkopuje moralność rodzinną narodów współczesnych. Teorya ta dowodzi, że małżeństwo jest rzeczą osobistej dogodności i upodobania; zapoznaje prawdę, że jednostka odpowiedzialna jest za swoje

życie wobec społeczeństwa; prawdy, tak boleśnie nieraz w następstwach swoich odczuwanej, zdaje się nie pojmować, że chwilowy pociąg i przyjemność nie mogą kierować naszym życiem moralnem. Doprowadzona do dalszych konsekwencji, teoria wolnych związków, jest zupełnem zaprzeczeniem jakichkolwiek obowiązków społecznych; w każdym razie, jest wyparciem się zasad chrześcijańskich. Czy się na nie zapatrujemy z chrześcijańskiego, czy z niechrześcijańskiego stanowiska, małżeństwo jest ujęciem w karby porządku i prawa przyrodzonych instynktów człowieka, w celu utrzymania ładu społecznego. Jak w pierwszym, tak w drugim wypadku, osobisty interes i zadowolenie, muszą być podporządkowane mniej samolubnym celom. Ale, podczas gdy ze świeckiego punktu zapatrywania, społeczny cel małżeńskiego związku wymaga tylko pewnej powściągliwości, — w chrześcijańskim społeczeństwie, przyrodzone instynkta człowieka podciągnięte są pod ścisłe przepisy prawa, ogarniające całe jego życie, wobec których, samo tylko zadowolenie swych chuci, byłoby grzeszmem. Chrześcijańskie prawo kościelne zezwala na związek dwóch płci w jednym i wyłącznym celu stworzenia rodziny chrześcijańskiej. Poza tem, każdy stosunek samowolny jest grzechem, bo jest stawaniem w poprzek bożym zamiarom względem ludzkości.

Według nauki Kościoła zatem, małżeństwo wymaga podania naszych naturalnych skłonności pod jedyny cel, którym jest budowanie społeczności chrześcijańskiej, przez pielęgnowanie życia rodzinnego: gdy się to rozumie, uznaje się, że przepisy Kościoła, tyżące się małżeństwa, są słuszne i uzasadnione. Widzi się jasno, że Kościół, uważając rodzinę za związek chrześcijańskiej społeczności i wzór chrześcijańskiego życia, nie może się zgodzić z teorią miłości, ani poddawać świętych węzłów małżeńskich pod samowolę jednostki lub państwa. Nienaruszalność i trwałość rodzinnego gniazda, jest koniecznym warunkiem utrzymania chrześcijańskiego życia społecznego i dlatego Kościół nigdy się nie zrzeknie swej najwyższej jurysdykcji w sprawach, dotyczących nierozzerwalności małżeństwa.

Widzimy teraz, jaką musi Kościół dać odpowiedź na wszelkie argumenta popierające rozwody. Przeznaczeniem małżeństwa, mówią obrońcy rozwodów, jest uszczęśliwienie małżonków; powinno ono zabezpieczyć obu stronom szczęśliwe pożycie. Zatem jeżeli w swym związku, zamiast szczęścia, znajdują niedo-

lę, słusznem jest, aby byli od niego zwolnieni. Zmuszać, mówią dalej, mężczyznę i kobietę do wspólnego pożycia, gdy się okazuje, że ich usposobienia są niezgodne, jest to narażać ich na pokusę szukania, poza domem, zakazanych rozkoszy, ze wzgardą i poniewierką uświęconego związku. Na to Kościół może tylko odpowiedzieć, że wprawdzie, wspólne szczęście małżonków jest jednym z celów małżeństwa, jednakże nie jego celem ostatecznym; jest nim, o tyle tylko, o ile człowiek znajduje swe szczęście w wypełnieniu swego powołania. Mąż i żona zawierają związek w nadziei, że we wzajemnem pożyciu i w kółku rodzinnem znajdą szczęście; ale celem ich małżeństwa jest samo stworzenie tego rodzinnego gniazda, jako zawiązku społeczności chrześcijańskiej. Temu celowi mąż i żona poświęcić się winni w chwili składania ślubów i tylko ten cel jest ich ślubów uprawnieniem. Małżeństwo chrześcijańskie zatem wymaga ofiary z tych osobistych zachcianek, które mają być usprawiedliwieniem rozwodu, i Kościół nie może podobnych zachcianek przyjąć później za wystarczający powód do rozerwania świętego małżeńskiego węzła. Śluby małżeńskie są, ze strony ślubujących, aktem zaparcia się siebie, dla wyższego, ogólnego dobra, a kto w małżeństwie szuka swego powołania, znajdzie, w tem zaparciu siebie, uszlachetnienie swej moralnej istoty, które zawsze towarzyszy każdej ofierze spełnionej dla Boga i obowiązku.

Kościół więc żąda od męża i żony, z chwilą gdy są połączeni świętym ślubem, oddalania każdej skłonności osobistej, któraby ich odrywała od tego, co jest teraz celem ich życia; jedno i drugie, bowiem, nie należy do siebie; poświęcili się dla wyższego i nieosobistego celu; a odwracać swe myśli ku osobistym uciechom i interesom, z ujmą dla przyjętego na siebie obowiązku, byłoby zgwałceniem swych ślubów i świętokradztwem. Kościół nie uzna też nigdy żadnego prawa czy instytucyi, któreby podkopywały związek małżeński w osobistych widokach jednostki, a z zapoznaniem jedyne go celu, dla którego chrześcijański Sakrament małżeństwa był ustanowiony; nie uzna żadnej nowej zasady, sprzeciwiającej się zasadzie Ewangelii. Uznanie uprawnień rozwodów, byłoby zaprzeczeniem jedynej słusznej podstawy małżeństwa.

To jedno ustępstwo może Kościół uczynić, przez wzgląd na ludzką słabość i ułomność, że w pewnych warunkach, po-

zwala mężowi i żonie się rozłączyć. Ale i w tym wypadku, nie traci z uwagi nierozzerwalności domowego ogniska, ani ogólnego dobra społecznego. Pozwolenie rozłączenia się otrzymują małżonkowie tylko wtedy, gdy jest oczywistem, że dłuższe wspólne pożycie nie zabezpieczałoby świętości i jedności rodziny. Pozwolenie takie, jest, w każdym razie, wyjątkiem prawnym, w celu ulżenia niepotrzebnym cierpieniom, ale nie narusza w niczem zasady nietykalności małżeństwa. Trafic się może, nawet najbardziej sumiennemu i rozważnemu z małżonków, wybrać towarzysza czy towarzyszkę z którymi, w następstwie, wspólne pożycie jest moralnie niepodobne, którego złe obyczaje, lub całkowita niezgodność usposobień, czynią życie drugiej strony zbyt uciążliwym. Wtedy Kościół, drogą dyspensy, uprawnia separację; ale, robiąc to ustępstwo dla ludzkiej słabości, podtrzymuje zasadę: małżonkowie, bądź co bądź, pozostają mężem i żoną. Nawet w razie legalnej separacji, Sakrament Kościoła pozostaje nienaruszonym: — żadne z małżonków nie może wejść w powrotny związek.

Mógłby kto powiedzieć: „Ta doktryna jest zbyt twardą; to zanadto górny ideał,—a natura ludzka jest ułomną“. Podobną odpowiedź dali pierwsi uczniowie, gdy nasz boski Zbawiciel poraz pierwszy to prawo ogłosił. Odpowiedzieli: „Jeśli tak jest sprawa człowieka z żoną, niepożytecznie się żenić“<sup>1)</sup>. Ale Zbawiciel, mimo ich braku ufności, nie cofnął swego nakazu. On większą wiarę pokładał w człowieku, niż oni. Odpowiedział im że zaprawdę, dla niektórych lepiej nie żenić się, bądź z przyczyn fizycznych, bądź dlatego, że są powołani do innej pracy w Królestwie Bożem, która się z powołaniem małżeńskim nie godzi. Ale praw, jakie nałożył małżonkom, nie odwołał. Od tych zaś, którzy pozostają w bezżeństwie, żądał powściągliwości, większej nawet niż ta, do której obowiązuje ślub małżeński. Przykazanie bowiem: „Kto tylko spojrzy na niewiastę, aby jej pożądał, już ją zczudzołczył w sercu swoim“, — stosuje się zarówno do małżonków jak do bezżennych. Istotnie, we wszystkim, co dotyczy małżeństwa i czystości obyczajów, prawo Ewangelii jest bardzo surowe; ale gdy weźmiemy pod uwagę jego dążność i cel, możemyż się temu dziwić? Chrystus zstąpił na świat, aby świat z upadku podźwignąć; aby wyzwolić ludzkość z jarzma

<sup>1)</sup> Mat. XIX. 10.

zmysłowych rozkoszy, które ją ciągną w dół, do poziomu bezrozumnych stworzeń, a podnieść człowieka napowrót, do tej doskonałości duchowej, która jest jego przyrodzonym stanem. Stąd odwołuje się zawsze do wyższej części ludzkiej; od człowieka zmysłowego, do człowieka duchowego. Prawo małżeńskie, jakie ogłosił, jest twardem, tylko o tyle, o ile ludzie się rządzą niskimi pożądlivościami swej zepsutej natury; podczas, gdy Chrystus, jako prawidło życia ludzkiego, uznaje tylko instynkta wyższe, duchowe. Przed przyjściem Chrystusa, uznanym celem małżeństwa było zaspokojenie żądzy, ograniczone tylko pewnymi warunkami, koniecznymi dla dobra społeczeństwa. Ale małżeństwo chrześcijańskie stanęło odrazu na gruncie duchowym. Związek, łączący Chrystusa z ludzkością, stał się prawidłem związku, łączącego męża z żoną, a miłość Chrystusa dla Jego Kościoła, stała się pierwowzorem miłości małżeńskiej. Jak Chrystus ukochał swój Kościół, miłością czystą, ofiarną, a celem tej miłości jest utrwalenie Królestwa Bożego wśród ludzi, przez zjednoczenie Jego Boskiej Osoby z ludzką naturą,—tak powinni małżonkowie ukochać się wzajemnie i najwyższego szczęścia swego szukać w urzeczywistnieniu, wspólnymi siłami, Królestwa Bożego na ziemi. Ta miłość prawdziwa, godząca się zarówno z wolą Bożą, jak z człowieka własnem wyższem pożądaniem, miała, w planie Bożym, zastąpić pospolitą, zmysłową namietność i stać się podstawą, na której sakramentalna budowa małżeństwa miała się rozwijać. Tylko taka miłość może być doskonałym wcieleniem chrześcijańskiego ideału. Takiej miłości Kościół żąda od męża i żony, gdy ślubują sobie wzajemnie nie opuścić się w złej czy dobrej doli „aż do śmierci“. Ale, gdy ślub ten składają, powinni rzeczywiście nosić w sercu miłość, którą przyrzekają sobie na całe życie:—gdzie tego uczucia brakuje, tam małżeństwo jest świętokradztwem i nieledwo krzywo-przysięstwem wobec Boga.

I czyż może przynieść co innego, jak nieszczęście, małżeństwo, któremu brak najistotniejszego warunku, na jakim opiera się związek sakramentalny? Jest to, zaprawdę, ów dom zbudowany na piasku i sprawdza się na nim, zbyt łatwo, przestroga ewangeliczna, gdy wichry i burze życia na niego uderzą.

Walka Kościoła przeciw prawu o rozwodach toczy się głównie około tego punktu: czy życie społeczne ma się opierać na miłości prawdziwej, jakieśmy ją przedstawili, czy na samo-

lubnej swawoli? Prawdziwa miłość jest, z natury swojej, stałą i wytrwałą: „Fortis est ut mors dilectio“ „Mocna jest, jako śmierć, miłość“: bo nie na przyjemności własnej polega. Może przynieść radość, może przynieść ból. Ale opiera się przede wszystkim na tej zasadzie, że gdy człowiek jest wierny drugiemu, jest wierny sobie samemu; a dochowując wierności drugiemu, uszlachetnia siebie samego. W tem różni się miłość od pospolitej namiętności, której celem tylko przyjemność własna i osobista rozkosz. Małżeństwo chrześcijańskie znajduje doskonałe warunki rozwoju tylko w miłości prawdziwej,—w miłości „mocnej jak śmierć“.

Możemyż się dziwić, że tyle jest małżeństw nieudanych, gdy zważymy, ile z nich miało na celu jedynie interes osobisty, pozycję społeczną, albo prostą chwilową chuć? Nigdy nie pozbędziemy się rozwodów, dopóki nie pouczymy młodszego pokolenia o odpowiedzialności, jaką zaciąga, wchodząc w stan małżeński, oraz, o zdrożności małżeństwa nie opartego na uczciwej miłości. Największa wina i najcięższa odpowiedzialność, za szerzące się coraz bardziej lekceważenie świętości małżeńskich węzłów, spada na tych, którzy, mimo, że stają w obronie nierozzerwalności małżeństwa, jednakże sami się przyczynili do odarcia go ze wszystkiego wyższego, duchowego i moralnego znaczenia. Chcą, aby małżeństwa były trwałe, ale równocześnie uczą swe dzieci widzieć w nich raczej umowę społeczną, niż instytucję religijną; raczej szczebel do światowej pomyślności i znaczenia, niż święte powołanie w życiu. Możemyż się dziwić, że słuchając od najmłodszych lat podobnych zdań i nauk, te dzieci, gdy doszły do wieku dojrzałego i zawarły „świetne“ małżeństwo, buntują się potem przeciw więzom i przeciw odpowiedzialności, jakie one na nich wkładają, bo o wyższych celach małżeństwa żadnego, nigdy, nie miały pojęcia?

W teraźniejszych czasach, większa, jak kiedykolwiek, jest potrzeba przedstawić światu jasno prawdziwy cel i warunki małżeńskiego związku. Żyjemy w epoce głębokich przewrotów. Wiek ubiegły był świadkiem rozbicia się porządku społecznego, w którym wyrosli nasi dziadowie i który dla nich stał się być drugą naturą; ale daleko jeszcze do zupełnego ukształtowania się nowych form społecznych. Duch współczesny szuka wszędy niespokojnie kształtów nowych, w których mógłby się wypowiedzieć. Jedna rzecz jest widoczna: młodzież obojga płci

dobija się większej osobistej niezawisłości i sama chce mieć pierwszy głos w rozstrzygnięciu swego powołania. Zrzec się tej wolności nie ma chęci; a gdyby ją miała, nie wiem czy świat lepiejby na tem wyszedł. W tej chwili, kierunek spraw świata jest wybitnie materyalistyczny, a w takiej atmosferze wzrosła, świeżo wyzwolona młodzież nie będzie szukała duchowego udoskonalenia, ale raczej powodzeń doczesnych, tego, co Pismo św zowie: „światem“. Jeżeli chcemy walczyć z tem złem, z jakąś nadzieją powodzenia, musimy uznać, że osłabienie zmysłu moralnego i obojętność religijna naszych czasów, jest, w istocie, nie tyle buntem przeciw religii i moralności chrześcijańskiej, jak następstwem braku szczerości i stanowczości w wykładzie nauki Kościoła i w jej popieraniu. I tak, w obecnej kwestyi małżeństwa, podczas gdy kładziono wielki nacisk na jego nierozzerwalność, równocześnie stawiano związkom małżeńskim cele i pobudki całkiem niechrześcijańskie. Gdyby małżeństwo nie miało na celu innych widoków, tylko te, które wpajali swym dzieciom światowi rodzice, wtedy prawo o jego nierozzerwalności byłoby istotnie twardem i niesłusznem. Jeżeli ludzie żenią się wyłącznie z pobudek światowych, to małżeństwo, będąc tylko świecką umową, nie ma prawa do większej trwałości, jak każdy inny cywilny kontrakt. Jest nierozzerwalnem tylko dlatego, że jest więcej jak cywilnym kontraktem i podpada pod boskie rządy Kościoła. Jeżeli chcemy przekonać ludzi o słuszności prawa, które stanowi małżeństwo nierozzerwalnem, musimy się starać, by zrozumieli jego prawdziwy charakter i cel; a jeśli chcemy, żeby tym celom wiernie służyli,—musimy zwalczać małżeństwo światowe, na szczerzej miłości nie oparte. Tylko w ten sposób możemy stawić czoło zgubnemu prawu rozwodów i uratować świętość chrześcijańskiego małżeńskiego związku.

---

## Wartość pracy.

---

**D**la większości ludzi nie masz nic gorszego w życiu, jak nie mieć żadnego określonego zajęcia, żadnego szczególnego interesu, czy zawodu. Określone zajęcie jest, samo przez się, moralną regułą. Gdy człowiek jest zmuszony być na nogach i przy pracy o pewnym oznaczonym czasie, gdy ma przed sobą jakiś inny cel, prócz swoich osobistych potrzeb i swoich marnych zachcianek, jest to, samo przez się, dla większości ludzi, niemal zbawieniem. Mniejsza o to, jaki będzie rodzaj pracy, byleby to była praca uczciwa; znaczenie jej nietylę leży w jej bezpośredniej użyteczności i w jej własnej wartości, jak we wpływie, jaki wywiera na pracownika. W ten sposób, nawet najniższa i najbardziej służebna praca, może mieć wysoką wartość moralną. Ale praca i stałe zajęcie, jakiego bądź rodzaju, są konieczne dla zdrowia duszy.

Prawdę tę stwierdzili prawie wszyscy reformatorowie. W zakonach praca odgrywa najważniejszą rolę w życiu codziennym. Wszystkie reguły zakonne uważają próżniactwo za grzech główny i pierwsze źródło pokus. Gdy nie był zajęty modlitwą, zakonnik miał sobie wyznaczoną pracę innego rodzaju, czy to ręczną, czy umysłową; a, i jak na wielu innych polach, tak i w dziejach pracy ludzkiej, rola zakonów nie była małoszacującą. Trafiali się oczywiście zakonnicy oddani próżniactwu: zakony nie składają się z aniołów. Ale zakonnik próżnujący sprzeniewierzał się swemu powołaniu i zatracił w sobie ducha zakonnego; reformatorowie zakonów zaś, zawsze największy kładli nacisk na obowiązek ciągłej, użytecznej pracy.

Ale nie same tylko zakony nastają na konieczny obowiązek pracy: reformatoremie społeczni, wszelkiego rodzaju, w tym samym odzywali się duchu. W Ameryce społeczność nazwana: „Brook Farm“, w Rosyi zaś kolonie Tołstoja, są najnowszemi próbami reform, w tym rodzaju. A trzeba zauważyć, że zakony to mają wspólnego z socyalistycznymi marzycielami, o których wyżej wspominaliśmy, że żądają pracy ręcznej. Praca umysłowa doznawała w klasztorach zachęty i pomocy, ale z nauką musiał iść w parze jakiś rodzaj pracy fizycznej; tak było, przynajmniej, w pierwotnych zgromadzeniach. W późniejszych czasach, gdy stosunki społeczne wyszły z pierwotnej prostoty, a dla zakonów otwarło się więcej różnorodne pole działania, miejsce pracy ręcznej, zajęła praca misyonarska lub społeczna. Ale, nawet wtedy, praca ręczna pozostała w poszanowaniu i zachowała swoje właściwe miejsce w urządzeniu wewnętrznego życia i karności zakonnej. Nie trzeba wszakże tracić z uwagi różnicy stanowiska zajętego w tej kwestyi, przez założycieli zakonów, a przez socyalistycznych utopistów; jest to cała różnica ducha Kościoła, od ducha świeckiego,

Dla zakonników modlitwa była najważniejszym obowiązkiem, a zewnętrzne zajęcia tylko czasową i warunkową powinnością. W wyjątkowych wypadkach zakonnik mógł nawet być uwolniony od pracy zewnętrznej, aby się oddał całkowicie modlitwie i rozmyślaniu. Więc, w klasztorach, moralna konieczność pracy ręcznej i zajęć zewnętrznych była uważaną za rzecz tylko względną, nie bezwarunkową. Była potrzebną, bądź dla zapełnienia użytecznie przerw między godzinami modlitwy, bądź jako zwykły środek dla utrzymania duchowego, fizycznego zdrowia, bądź dla zachowania w zgromadzeniu ducha ubóstwa zakonnego. Jednem słowem, zajęcia zewnętrzne uznane było jako niewątpliwie potrzebne ćwiczenie, dla utrzymania karności i ducha przeciętnej jednostki, ale nie jako bezwarunkowe prawo moralne. Niektórzy mogli i bez niego dostąpić wysokiej doskonałości ducha. Zamiar narzucenia wszystkim, bez wyjątku, przymusowego obowiązku pracy fizycznej, byłby uważany przez prawodawców zakonnych, za naruszenie tej swobody duszy, która powinna przysługiwać człowiekowi w jego stosunku z Bogiem. I tu spoczywa jedna z najgłębszych różnic między zasadą katolicką, a zasadą bezwyznaniowców.

Porządek zatem, przyjęty w zakonach daje nam najlepszy

klucz do zrozumienia ogólnej katolickiej zasady w tej sprawie. Życie zakonne bowiem, w swych pierwszych podstawach, jest tylko wyższem ukształtowaniem zwykłego życia prawego chrześcijanina. Chociaż nie trzymamy ze świeckim „działaczem“, że zajęcie fizyczne jest koniecznem prawem moralności społecznej, twierdzimy jednak stanowczo, że życie próżniacze, życie nie przynoszące społeczeństwu żadnego materialnego czy duchowego pożytku, jest zawsze złem, jest występkiem przeciw społeczności, zarówno jak przeciw swojej własnej duszy. A występki ten człowiek popełnia nie wtenczas dopiero, gdy się staje ciężarem dla prywatnej, czy publicznej, dobroczynności. Może mieć majątek dostateczny, aby swobodnie próżniacze pędzić życie, a jednak, być winnym niesprawiedliwości społecznej. Bo każdy człowiek, ubogi czy bogaty, obowiązany jest, wobec przyrodzonych praw, rządzących społecznością ludzką, przyczyniać się do ogólnego dobra. Bezczylny milioner zatem, grzeszy przeciw społeczeństwu, zarówno jak leniwy żebrak, owszem, więcej, o ile, że bogactwo i lepsze wychowanie dają mu więcej możliwości stania się użytecznym. Prawdziwem źródłem głębokiej nieprawości społecznej, jaką jest życie spędzone w próżniactwie, jest ścisła solidarność, wiążąca wszystkich ludzi. Żaden człowiek nie należy całkowicie do siebie samego: nad każdym społeczeństwo ma niezaprzeczone prawa. Dziś prawda ta rozpowszechniła się i przeniknęła do pojęcia ogółu; stąd, też czerpie swoją siłę propaganda socjalistyczna. Socjaliści, rozszerzając gwałtownie ideę solidarności społecznej, stali się, w oczach wielkiej liczby ludzi, rzekomo rzecznikami nowej, a ważnej prawdy. Tymczasem, jest to zasada, którą Kościół katolicki od początku i przez długie wieki swego istnienia przyjął za swoją; ale, dzisiaj, socjaliści krzykliwie i natarczywie ją rozgłaszając, wyrosli, w oczach spospółstwa, na jej głównych twórców i obrońców. Przy zwalczaniu socjalistycznej propagandy katolicy nie dosć może uwzględnieli, wśród mnóstwa bałamuctw i fałszów, to ziarno szczerej katolickiej prawdy, a stąd ściągnęli na siebie podejrzenie, że mu zaprzeczają. Socjaliści błędzą w tem, że w praktycznem zastosowaniu tego prawidła społecznego uciekają się do przymusu, gwałcąc przez to swobodę sumienia ludzkiego. Pozbawiają bezprawnie jednostkę moralnego prawa rozporządzania swoim życiem i chcą z niej uczynić proste tylko narzędzie w ręku państwa czy gminy. Katolicyzm natomiast, pojmuje moralną soli-

darność ludzi między sobą w ten sposób, że każdy osobnik winien strzedz dobra ogólnego i odpowiadać za nie, najpierw przed Bogiem, a dopiero w drugim rzędzie, przed państwem. Tak Kościół zachowuje nienaruszoną wolność ducha ludzkiego. Socjalista chce zmusić człowieka do pracy groźbą kary<sup>1)</sup>; Kościół odwołuje się do jego wewnętrznego poczucia sprawiedliwości. Nie mówimy, że Kościół bezwarunkowo potępia pracę przymusową, często konieczną dla wytepienia próżniactwa, ale w normalnym życiu pragnie, by człowiek światło i kierunek moralny czerpał w swym własnym sumieniu, nie czekając na przymus; tendencją socjalistyczną zaś jest, stawić, na miejscu sumienia, przepis prawny.

W tem więc, co się tyczy obowiązku pracy, nie trzeba sobie wyobrażać, że Kościół nie nakłada tego obowiązku na wszystkich, dla tego, iż twierdzi, że jest to sprawa sumienia, więcej niż państwowego kodeksu, i że chce zachować każdej jednostce, obdarzonej odpowiedzialnością moralną, prawo wolnego wyboru swego zawodu, czy pola działania. Kościół podtrzymuje ogólny, wszystkich ludzi obejmujący obowiązek, by wieść życie uczciwe i użyteczne; ten obowiązek zaś opiera się na dwojakiej zasadzie: na tem, co człowiek winien wprost Bogu, — używać dobrze otrzymanych od Niego darów, i na tem, co winien społeczeństwu — przyczyniać się do jego dobra.

Według zasady katolickiej zatem, obowiązek pracy istniałby, choćby społeczeństwo nie istniało: jest to, ciężący na każdej jednostce ludzkiej z osobna, obowiązek wdzięczności względem Boga, Twórcy życia; a obowiązek ten, jak był pierwszy, tak nim pozostał jest ważniejszy niż nasz obowiązek względem społeczeństwa i niż wszelkie prawa, jakie społeczeństwo mogłoby sobie rościć do nas. Zasada katolicka nie przyzna nigdy społeczeństwu bezwarunkowego prawa naznaczania człowiekowi zakresu jego pracy. Z prawem zachowania życia, idzie w parze prawo dalszego kształcenia się i rozwoju; a jedno, jak drugie, jest jednym z najgłówniejszych naszych obowiązków wobec Boga; zatem, wyjąwszy wyjątkowych okoliczności, które wymagają od

---

<sup>1)</sup> Mówiąc o socjalizmie, powołuję się zawsze na opinie partyj krańcowych. Pojmuję bowiem dobrze, że socjalizm, za swym jawnym i głównym programem, ukrywa daleko sięgające tendencje. Tendencje zaś najjaśniej się wypowiadają w krańcowych opiniach. (Prz. autora).

człowieka ofiary z życia, prawo zachowania i rozwoju swej istoty należy się każdemu i społeczeństwu nie wolno tego prawa naruszać. Zauważmy jeszcze, że rozwój naszej istoty moralnej, zależy od pewnych popędów wewnętrznych, których żadna zewnętrzna władza, nie jest w stanie opanować i niemi rządzić. Są wrodzone kierunki myśli i ducha, których człowiek trzymać się musi, aby swoje zdolności rozwinąć i życia nie zmarnować; nigdy zaś, nie znajdują się dwie jednostki zupełnie tego samego usposobienia. Każdy więc nacisk zewnętrzny, wytrącający człowieka z jego właściwej kolei, jest naruszeniem wolności osobistej, które tylko całkiem wyjątkowe okoliczności, albo ratowanie samegoż bytu społeczeństwa, mogą usprawiedliwić. Bywają wprawdzie wypadki, gdy tylko przez poświęcenie siebie samego człowiek osiąga najwyższy szczybel doskonałości i gdy najwyższym celem życia, jest tegoż życia ofiara. Nie może być nawet żadnego prawdziwego postępu duchowego bez pewnej ofiary z siebie samego. Drogą ofiary jedynie, osiągamy najwyższy rozwój istoty naszej moralnej i duchowej i dochodzimy do najwyższej ludzkiej doskonałości, do jakiej jesteśmy zdolni. Najczęściej jednak ten rozwój odbywa się na drodze zwykłych, codziennych zajęć i powinności; więc, jeżeli ma iść zdrowo i swobodnie, trzeba żeby człowiek miał wolny wybór rodzaju i sposobu pracy. Tego Kościół dla niego żąda.

Są wszakże słuszne prawa społeczeństwa, których lekceważyć nie wolno, a do których życie i praca człowieka winny się przystosowywać. Nie wolno człowiekowi pracować wyłącznie i jedynie dla swojej przyjemności, nie oglądając się na potrzeby ogółu. Chociaż każdy człowiek dźwiga swój własny ciężar, winien także dźwigać część ciężaru społeczności, do której należy; a gdy ma swobodę rozwijania swych zdolności, winien tak kierować swem życiem, aby je uczynić użytecznem dla bliźnich. Gdyby postępował inaczej, uczynki jego byłyby zaprzeczeniem prawa braterstwa, które się zamyka w ewangelicznym przepisie miłości bliźniego. Jezus Chrystus postawił nam prawo życia, gdy rzekł: „Jeden drugiego brzemiona noście“. Nikt nie należy wyłącznie do siebie samego, ale w części do swych bliźnich i winien pracować dla ich, zarówno jak dla własnego dobra: to jest, w dwóch słowach, prawo, które nami rządzi. Jednakże, rozstrzygnięcie pytania: co właściwie będzie dobrodziejstwem dla naszych bliźnich, jest sprawą deli-

katną, którą każdy sam, w swem sumieniu musi rozstrzygnąć. Społeczeństwo częstokroć nie uznaje swego własnego dobra i nie widzi przyszłego pożytku, który jasnym jest dla oczu jednego, dzielnego człowieka. Zwykłą dolą dobroczyńców ludzkości jest, że muszą pracować wśród szyderstw i ciągłego sprzeciwiania się świata. Dla większości ludzi lepiej jest podjąć pracę, uznaną ogólnie za pożyteczną, bo przeciętny człowiek nie jest udarowany osobliwą przenikliwością i wyższym, nad ogół, sądem. Ale znajdują się zawsze jednostki, które widzą dalej, niż większość ludzi i często zwycięstwo staje po ich stronie. Życie takich, choć zapoznane, ma największą dla ogółu wartość. Dlatego twierdzą, że rozstrzygnięcie o pożyteczności podjętej pracy, bywa niekiedy sprawą delikatną, którą własnemu rozeznaniu człowieka trzeba pozostawić. Tutaj chcemy tylko postawić ogólną moralną zasadę, opartą na chrześcijańskim sumieniu, że każdy człowiek ma obowiązek pracować dla dobra ogółu, zarówno jak dla własnego. Może to być czysto duchowy wpływ, odciętego od świata zakonnika, może być zasługa męża stanu, lub pospolity trud zwykłego obywatela; ale tak — czy owak, każdy człowiek musi dźwigać swoją część ogólnego ciężaru. Próźniak, choćby miał leżące kapitały, dyletant, wypełniający życie nikomu na nic nie przydatnymi błahostkami, obaj, zarówno grzeszą przeciw społeczeństwu, mającemu prawo uznać ich za wyrzutków.

Jest jednak kwestya, którą nieraz podnosili nowożytni myśliciele: czy i o ile jest człowiek obowiązany zarabiać własną pracą na swoje utrzymanie? Czy wogóle istnieje ścisły obowiązek pracy zarobkowej? Tołstoj, oraz większość bezwyznaniowych reformatorów, stawiają, jako jeden z punktów swego programu, że każdy człowiek winien w pocie czoła zarabiać na kawałek chleba; jest to wynikiem zasady, która uważa wszelką własność prywatną za nadużycie. Lecz katolicki pogląd, zawsze szerszy i szlachetniejszy, potępia taką zasadę, jako naruszenie tego prawa wolności osobistej, która jest gruntem chrześcijańskiej moralności społecznej. Każdy winien wieść życie pracowite, uczeiwe, dla dobra społeczeństwa pożyteczne i w tym sensie, nikomu nie wolno darmo chleba pożywać. Ale zniweczyłoby swobodę stosunków ludzkich, a zarazem krępowałoby władzę duszy, gdyby każdy musiał, w ścisłym znaczeniu słowa, zarabiać na chleb. Najcenniejsze owoce pracy ludzkiej zazwyczaj

na monetę oszacować się nie dają, a częstokroć pracowników nawet wystarczającego utrzymania nie przynoszą. Zresztą katolicka zasada uznawała zawsze prawo dziedzictwa, jako naturalny i historyczny przywilej każdej jednostki.

Katolik zatem, nie może ze słusnością utrzymywać, jako zasadę ogólną, że każdy człowiek jest moralnie obowiązany zarabiać na chleb, w tym sensie jak rzemieślnik, lub przekupień zarabiają na swoje utrzymanie,—natomiast w praktycznym zastosowaniu do poszczególnych osób i zawodów, zasada ta spotyka się w katolickiem prawodawstwie z największem uznaniem.

Nie ulega bowiem wątpliwości, że, dla bardzo znacznej większości ludzi, konieczność pracy zarobkowej jest dobrodziejstwem nieskończenie cennem. Większość ludzi, gdyby nie była zmuszoną wykonać pewnego wymiaru pracy, pod groźbą głodu, nie pracowałyby wcale. Jest w naturze ludzkiej wrodzona skłonność do lenistwa, którą tylko bezwarunkowa konieczność przemoże. Co więcej, nawet ludzie energiczni i czynni, nie umieją często użyć właściwie swych zdolności, jeżeli jakies zarobkowe zajęcie nie wytknie im przymusowej drogi. Uwzględniając więc tę moralną ułomność człowieka, możemy zaprzeczyć, że byłoby lepiej dla społeczeństwa, gdyby znaczna część tych, co się urodzili w zbytkach, zubożawszy, znalazła się w konieczności pracowania na chleb? Nie wielka jest liczba takich, na których niezależność i bogactwo nie oddziaływałyby zgubnie. Na większą część ludzi swoboda majątkowa działa, jak narkotyk i wyradza cześć moralną i umysłową; przeslizgują się oni po powierzchni życia, nie zaglądając wcale do jego głębin. Uczciwy rzemieślnik więcej kosztuje prawdziwej godności i wartości życia w jednym dniu, niż rozpróżniaczony utracysz w całym swoim życiu. Kościół ukazuje nam w żywotach swoich Świętych, mnóstwo przykładów uczciwie pracującego ubóstwa, jako piękny wzór do naśladowania, jako tę „lepszą drogę“, którą większość ludzi winna postępować. Chociaż nie czyni z pracy zarobkowej ogólnego i bezwarunkowego obowiązku, uważa ją jednak za przepis moralny, dla wszystkich dobry, dla wielu konieczny, do zbawienia. Dobrze byłoby zaprawdę, gdyby w naszych czasach powstał taki ruch umiłowania pracy zarobkowej, jak ów prąd, który w XIII stuleciu tysiące ludzi pociągał do miłowania i przyjęcia dobrowolnego ubóstwa. Bo dzisiaj, na-

wet wśród klasy pracującej, praca przestaje być uważaną za zajęcie uszlachetniające, ale przyjęta jest raczej, jako przykra i wstrętna konieczność; a to, nietylko z powodu ciężkich warunków w jakich robotnicy dotąd zmuszeni byli pracować—(choć i te nie były bez wpływu), jāk raczej z powodu szerzącego się coraz bardziej ducha próżniactwa i żądy używania, ogarniającej całą ludzkość. Jest to najbardziej złowróżbny symptomat moralno - społeczny naszych czasów. Jakże można nie czuć, jak nędznem i politowania godnem jest życie tylu ludzi, nie potrzebujących zarabiać na chleb;—życie, które mogło być być użytecznem, gdyby wrodzone zdolności byli rozwinęli, a zmarnowane zostało z powodu braku tego moralnego bodźca, jakim jest konieczność pracy? Jakimże szczęściem byłoby, gdyby się zjawił drugi św. Franciszek, któryby nauczył ludzi pracować! A, w największej liczbie wypadków, tą użyteczną pracą byłby jakiś rodzaj pracy ręcznej, pracy rąk i nóg, zarówno jak mózgów.

Nie darmo zakony wysoko zawsze ceniły zbawienny wpływ każdej fizycznej pracy. Z jednej strony, był to dla nich zdrowy rodzaj wypoczynku, zastępujący szkodliwe i podniecające rozrywki, w jakich bogaci tego świata szukają zapomnienia. Z drugiej strony, było to zajęcie użyteczne, a jako takie, miało, samo z siebie, wartość moralną; bo użyteczne zajęcie, nawet najniższego rodzaju, utrzymuje w człowieku męskość ducha i szacunek dla siebie samego, byle tylko było przyjęte ochotnie, bez szemrania i uczucia krzywdy. Tę naukę przynajmniej, świat powinienby przyjąć od mnichów.

## Kapłan a reforma społeczna.

**N**aturalną jest rzeczą, że ekonomista i kapłan zapatrują się na sprawy społeczne z odmiennego stanowiska. W oczach ekonomisty, warunki społecznego bytu są wynikiem czysto politycznych i handlowych konjunktur; nie przyjdzie mu wcale na myśl szukać głębiej, śledzić za moralnymi pobudkami indywidualnych czynów, od których tak wiele szczęścia i niedoli ludzkiej zawisło. Życie duchowe, wogóle, nie zaprzęta go. Celem jego naukowych prac jest obecny pożytek i powodzenie; zadowala się tem, gdy większości ludzi zapewni szczęście i pomyślność doczesną. Stara się stworzyć takie warunki ekonomiczne, aby społeczność była silną, a większość ludzi zadowoloną.

Kapłan, natomiast, jest przedstawicielem zasad religijnych i jako taki, ma na oku nie tyle doczesną pomyślność, jak dobro duchowe. Dla niego życie ziemskie jest tylko tajemniczą zapowiedzią życia zaświatowego; próbą, która ma człowieka doprowadzić do wiekuistej, duchowej istności. Zapatruje się on więc na kwestyę społeczną, jak na wszystkie inne kwestye, w odniesieniu do tego przyszłego życia. W warunkach obecnego społecznego bytu upatruje on, nie tyle powodzenie, czy niepowodzenie pewnych spraw ekonomicznych, jak zniszczenie lub zaprzeczenie tych moralnych i religijnych zasad, które jedynie mogą człowieka uczynić godnym szczęścia wiecznego.

Nie wynika stąd bynajmniej, jak to niektórzy twierdzili, jakoby zapatrywanie kapłana nie dało się pogodzić z zapatrywaniem ekonomisty. Może się, oczywiście znaleźć ekonomista,

kóry będzie twierdził, że życie przyszłe wcale nie istnieje; że prawdziwa reforma społeczna nie może mieć innego celu, jak doczesne dobro ludu i że księża, którzy zawracają ludziom głowy rozważaniem prawd duchowych, odciągają ich od szukania szczęścia, będącego jedynym rzeczywistym celem życia. Ale, w tym wypadku, przemawia nie ekonomista, tylko ateusz; a nie ma żadnego powodu, aby ekonomiści mieli koniecznie być ateuszami. Wprawdzie usilne i wyłączone zagłębianie się w badaniach ekonomicznych, jak i w jakiejby innej gałęzi nauk, zacieśnia umysł i pozbawia go tolerancyi; przyrodnicy np. często nie widzą nic poza materyalną stroną życia; malarz, lub muzyk straci poczucie duchowe, uwielbiając jedynie zmysłowe piękno. Umysł ludzki, jeżeli nie trzymany w karbach, skłonny jest wogóle do naginania się w jednym szczególnym kierunku. Stąd uczeni ekonomiści zdobyli sobie smutną sławę bezwyznaniowości, z powodu braku zasad religijnych u niektórych z nich.

Z drugiej strony, znaleźli się kościelni pisarze i teologowie, którzy naukę ekonomii politycznej wyklinają i chcą w niej widzieć główne narzędzie złego ducha w dzisiejszych czasach; dzieje się to szczególnie wtedy, gdy uczonego ekonomistę należy do jednej z nowszych liberalnych szkół. Nie wiedząc często nic więcej o autorze, prócz tego, że zapatruje się na zagadnienia społeczne z innego stanowiska, niż to, na którym stoją kaznodzieje, teologowie ci śpieszą się zanadto z oskarżaniem i potępieniem. Jest to nowy przykład skłonności umysłu ludzkiego do widzenia zawsze tylko jednej strony każdej sprawy.

W rzeczywistości, w dzisiejszych czasach, pole działania jest dość obszerne dla ekonomisty, zarówno jak dla kapłana. Wiek dzisiejszy — zbyt często przypominać nam to trzeba, — jest wiekiem przejściowym. Nowe prądy, — nowe, a uprawnione potrzeby, rozszerzenie praw politycznych, coraz zawziętsze współzawodnictwo w handlu, organizacya pracy, — wszystko to spowodowało przełom społeczny, któremu jeszcze daleko do końca. Idziemy naprzód, a nie wiemy dokąd nas ten ruch zaprowadzi: — jest to najważniejsza chwila dla politycznych teoretyków. Jedna rzecz jest pewna: samolubna polityka wieków przeszłych, potępiona jest bezpowrotnie. Cokolwiek przyszłość przyniesie, społeczni prorocy i ekonomiści nie darmo głos podnosili. Jest trochę prawdy w zdaniu: „Dzisiaj wszyscy jesteśmy socyalistami“. Prawodawstwo opiera się już na zasadzie, że państwo

musi bronić słabszego przeciw silniejszemu; a to, ze stanowiska chrześcijańskiego, jest ogromnym odskokiem od samolubnej tyranii wieków przeszłych. Wobec tych nowych społecznych stosunków, rola kapłana nie jest mało znacząca. Jego to przede wszystkim jest zadaniem, wśród jęczących serca walk i nieustannych przewrotów, czuwać nad zachowaniem świętości obyczajów; a tego nie może dopełnić inaczej, jak przez ciągle przypomnianie i objaśnianie ludziom przepisów ewangelicznych, które, w odmęcie życia, tak łatwo tracą się z oczu. Tworzenie nowych systemów ekonomicznych do niego nie należy; on się ma przyczynić do dzieła społecznej reformy, pouczając ludzi o ich wzajemnych dla siebie obowiązkach moralnych. Ma uczyć każdą jednostkę stosować przykazania Ewangelii najpierw do siebie, do swego własnego życia, jednym słowem, ma kształcić i wyrabiać sumienie chrześcijańskie. Gdy to czyni — prawdziwie przebudowuje społeczeństwo; a reforma, jaką przeprowadza, będzie tem trwalszą i rzetelniejszą, iż się opiera na przekonaniu i sumieniu.

Kiedy nam mówią, że Ewangelia może być prawidłem dla jednostki, ale nie dla ogólnego życia politycznego i społecznego, oburza nas takie twierdzenie. Prosty rozsądek nie może się zgodzić na taki rozdział między życiem prywatnem a publicznem. Tyle tylko jest prawdy na dnie tego twierdzenia, że dotąd prawo Ewangelii nie opanuje życia publicznego danego narodu, dopóki każdy z osobna tem prawem się nie przejmie i za prawo swego własnego życia go nie weźmie. Prawdziwą warunknią życia chrześcijańskiego jest dusza ludzka. Jedynym skutecznym sposobem, aby społeczeństwo pociągnąć do Chrystusa, aby warunki bytu społecznego z pogańskich przemienić na chrześcijańskie, jest przeniknąć dusze zasadami ewangelicznymi i duchem Chrystusowym. W prawidłowym stanie społeczeństwa, duch społeczny jest odbiciem ducha każdej jednostki; jeżeli jednostka będzie chrześcijańska, nietylko z imienia, ale z ducha, wtedy i społeczeństwo będzie szczerze chrześcijańskie: lecz jeśli jednostka w głębi serca hołduje zasadom pogańskim, wtenczas, choćby ogólne działanie było z pozoru chrześcijańskie, będzie ono w gruncie tylko wielkim fałszem. Na tym to punkcie wielu reformatorów błądzi. Zaczynają od życia zewnętrznego, zamiast od wewnętrznego; rzucają się do poprawiania społeczeństwa, kiedy należało zacząć od jednostki. Mysłą przez uchwałę

parlamentu zreformować moralne życie narodu, a przez międzynarodowe traktaty wytepić występki. Chcieliby położyć koniec wojnom, nim w sercach zakróluje sprawiedliwość; chcieliby ogłosić zasadę ogólnego braterstwa, nie troszcząc się o to, czy sami, zarówno jak ich bliźni, rozumieją czem prawdziwe braterstwo być winno i czy są gotowi uczynkami swymi je stwierdzić. Nie w ten sposób działa duch ewangeliczny. Ewangelia przemawia przedewszystkiem do człowieka; stawia prawidło i wzór jego wewnętrznego życia: buduje społeczeństwo przez człowieka. Nasz Boski Zbawiciel nie ogłosił nakazu zaprzestania wojen; On kazał ludziom szukać przedewszystkiem prawdy i sprawiedliwości. Wiedział, że w miarę, jak ludzie umiłują prawdę i sprawiedliwość, wojny, same z siebie, ustaną. Nie zabronił swym uczniom trzymać niewolników: — przykazał im tylko miłować wszystkich ludzi jak braci; bo, byle miłość braterska zakrólowała w sercach, niewola stanie się moralnem niepodobieństwem. Nie potępił gonięcia za kupieckim zyskiem: zabronił tylko skąpstwa i chciwości, tych dwóch głównych przywar związanych z kupieckim zawodem. Może kiedyś nadejść dzień, gdy współzawodnictwo między ludźmi ustąpi miejsca chętnemu współdziałaniu: obaczymy wtedy, czy społeczność ludzka będzie więcej chrześcijańską, czy też tylko mniej inteligentną i mniej energiczną. — Te przykłady wystarczą, by objaśnić działanie ducha Ewangelii. Nie zaprzęta się on systemami społecznymi, ale w pierwszym rzędzie działa na pojedynczego człowieka; zajmuje się jego czynami, które są wynikiem jego wolnej woli, a nie systemu społecznego, pod którym mu żyć przyszło. Stąd Kościół jest bardzo wyrozumiały na usterki w budowie społecznej, ale nie przepuszcza tego, co jest osobistą winą jednostki.

Weźmy wybitny przykład: wiadomo, że silne współzawodnictwo w przemyśle i handlu, pociąga za sobą niejedną niesprawiedliwość, a system wyzysku robotników zdaje się być koniecznym jego następstwem. Otóż, każdy prawy chrześcijanin powinien sobie uważać za grzech popieranie, w jakibądź sposób tego, co jest krzywdą biedaków, a zatem winien unikać stosunków z firmą znaną z wyzysku i krzywdzenia robotników w zapłacie. Tego żąda prosta logika ewangelicznej miłości bliźniego. Oczywiście zaś jest, że gdyby większa liczba osób trzymała się takiej zasady, przedsiębiorstwa, oparte na wyzysku, upadłyby same z siebie. Ale, potępić, jak to niektórzy czynią,

samo współzawonictwo, jako rzekomo sprzeciwiające się przepisom ewangelicznym, jest zbyt zuchwałym wnioskiem. Każdy system na ziemi ma swoje niedoskonałości i może doprowadzić do nadużyć; każdy przedstawia moralne korzyści, oraz moralne niebezpieczeństwa. Tak i współzawodnictwo rozwija energię i samodzielność, choć, w zapędzie swoim, może zdeptać słabszych, stojących mu na drodze. Prawo ewangeliczne zabrania bezwzględnego ucisku słabszych, w osobistych celach; w ten sposób łągodzi szkodliwe dla nich następstwa systemu, ludzi dobrej woli zaś skłania do obmyślenia sposobów, aby stosunki wzajemne, między pracodawcą a robotnikiem, urządzić zgodniej z wymaganiami chrześcijańskiego życia. Na takiej drodze Ewangelia dokonywa reformy ekonomicznej.

Prawo Ewangelii zatem, jest to nasienie zasiane w sercu człowieka, które zwolna kiełkuje, rozrasta się, i obejmuje wszystkie dziedziny ludzkiego życia; ale korzeniem i podstawą jego, jest zawsze wolne sumienie i niekrępowane działanie ludzkiej jednostki: „Królestwo Boże jest w nas samych“, mówi pismo św. Siłę swoją czerpie z wnętrza człowieka, z głębi jego przekonania, które go poucza o tem, co jest prawdą i sprawiedliwością, a nie z żadnych przepisów i ustaw. Stąd słusznie je nazwano: prawem wolności. Dane było ludziom jako najdoskonalsze prawidło życia, które każdy własnowolnie może przyjąć za swoje i w czynach swoich starać się urzeczywistnić, o ile temu słabość ludzka podola.

Tem to wytrwałem usiłowaniem, by prawo Ewangelii wcielić w swem własnem życiu, prawy chrześcijanin rozszerza na świat cały jego potęgę; a wpływ ten wzmacnia się, w miarę siły jego charakteru i wyższości jego stanowiska. Nie da się zaprzeczyć, że jednostka ludzka jest sercem społeczeństwa. Stąd wynika, że jeden, doskonale święty chrześcijanin, więcej jest wart dla ludzkości, niż całe księgi najmędrszych pisanych praw. Siła żywego przykładu, nawraca świat: potęga żywych czynów człowieka rozbudza nowe życie w ciele społecznem, dopóki z czasem, w całym organizmie, świeża krew nie zapulsuje.

Systemy ekonomiczne jednakże, mają także swoją wartość, bo wpływają na poprawę moralnych praw, rządzących społeczeństwem; łatwiej bowiem osiągnąć wyższą moralną doskonałość, gdy warunki życia są mniej poniżające i mniej krępujące. Jest zaś prawem natury, że zasady wewnętrzne, kierujące przy-

watnem życiem człowieka, znajdują odbicie w jego teoryach i systemach społecznych. Zły i niemoralny system ekonomiczny, jest dowodem, że u tych, którzy stanowią przeważny żywioł w danem społeczeństwie, brak zdrowego moralnego poczucia społecznej sprawiedliwości i społecznych obowiązków. Powtarzamy więc, że zasada katolicka różni się do gruntu od teorii socjalistycznej, zaprzeczającej jednostce prawa wolnego rozporządzania swą osobą i tem samem, niweczącej pojęcie odpowiedzialności osobistej, które jest podstawą etyki katolickiej.

Widzimy z tego wszystkiego, że między prawami ekonomicznymi, a prawidłami religii, między stanowiskiem politycznego ekonomisty, a stanowiskiem kapłana, istnieją tysiączne punkta styczne i że, prędzej czy później, jedno muszą oddziaływać na drugie. Najlepszym więc byłoby rozumne współpracownictwo obydwóch.

Lecz, gdy idzie o reformy społeczne, musimy przedewszystkiem mieć zawsze na myśli, że wprowadzić potrzebne są mądre ustawy, lecz więcej jest potrzebnem rozbudzenie sumień. Społeczeństwa nie odrodzimy przez uchwały sejmowe, lub jaki niebądź akt prawodawstwa świeckiego czy kościelnego, — ale tylko dając ludziom poznać i umiłować prawdę. Prawodawca może w swych ustawach tę prawdę głosić, ale dopóki ona do przekonania i sumień nie trafi — pozostanie martwą literą. W XII i XIII wieku kilku papieży ogłosiło prawa potępiające zbytki, które się rozpanoszyły w Kościele; ale dopiero św. Franciszek z Assyżu pouczył ludzi o wysokiej cnocie ewangelicznego ubóstwa i ocalił społeczność chrześcijańską. I tak będzie zawsze. Aby leczyć społeczeństwo, trzeba najpierw uleczyć duszę ludzką; trzeba, żeby człowiek zrozumiał prawdę życia i jego obowiązki.

---

## Bogactwo i odpowiedzialność bogatych.

---

**K**westya bogactw i ich używania jest jedną z tych, które od początku zaprzętały chrześcijańskich myślicieli i do dziś dnia są przedmiotem pilnych rozstrząsań.

Są tacy, którzy w Piśmie św. chcą wyczytać potępienie wszelkiej prywatnej własności: „Jakoż trudno ci, którzy pieniądze mają wniknąć do Królestwa Bożego!... Łatwiej jest wielbłądowi wyniść przez ucho igielne, niż bogaczowi wniknąć do Królestwa Bożego“<sup>1)</sup>. I dalej: „Nie możecie Bogu służyć i mamonie“<sup>2)</sup>. „Nie skarbcie sobie skarbów na ziemi... ale skarbcie sobie skarby w niebie“<sup>3)</sup>. Te ustępy Ewangelii często bywają przytaczane, jako dowód, że posiadanie bogactw sprzeciwia się życiu chrześcijańskiemu i duchowi naszego Boskiego Zbawiciela. Szczególny nacisk zwykle kładą na nakaz, który dał Chrystus pytającemu go młodzieńcowi: „Sprzedaj wszystko, co masz, a rozdaj ubogim... a wróciwszy się, chodź za mną“<sup>4)</sup>.

Z drugiej strony, widzimy, że Zbawiciel nasz był przyjacielem bogatych; a nie możemy przypuścić, żeby ich obdarzał swą przyjaźnią, gdyby samo posiadanie bogactw było, w Jego oczach, grzechem, Łazarz z Betanii i Józef z Arymatei nie byli

---

<sup>1)</sup> Marek X, 23, 25.

<sup>2)</sup> Mat. VI, 24.

<sup>3)</sup> Mat. VI, 19.

<sup>4)</sup> Łuk. XVIII, 22

biednymi. Uważmy też, że Pan Jezus nie rozkazał Zacheuszowi sprzedać wszystkiego co miał, ale pochwalił jego hojność, gdy połowę swych majątności dał ubogim. W przypowieściach ewangelicznych, bogaci częstokroć nie spotykają się z przyganą; owszem ich położenie uznane jest, jako zupełnie uprawnione. Tak np. człowiek, który pojechał w daleką krainę i zostawił majątność swoją pod zarządem sług, nie jest zganiony; potępiony jest natomiast leniwy sługa, który nie dbał o dobro swego pana. To też próby szukania w Ewangelii kodeksu socjalistycznego, nie mogą się ostać, wobec stanowiska zajętego przez Pana naszego Jezusa Chrystusa, względem bogaczy.

W rzeczywistości Pan Jezus nie zaprzętał się wcale kwestyą bogactw, jako czynnika ekonomicznego. Ewangelia nie jest programem politycznym i nigdy nim być nie miała. Ma na oku wyłącznie udoskonalenie człowieka moralne i w odniesieniu do niego, zapatruje się na wszystkie sprawy światowe zarówno, jak na posiadanie bogactw. Dla Pana Jezusa obojętnem było, czy człowiek był bogaty, czy ubogi, byle dbał o sprawę Bożą na ziemi i o zbawienie swej duszy. Bogactwo, w pojęciu chrześcijańskim, jest sprawą wyłącznie doczesną; może być użytem źle, lub dobrze; może służyć spełnieniu sprawy ewangelicznej na ziemi, lub jej przeciwdziałać. Jeżeli bogactwo stawało się człowiekowi przeszkodą w dopełnieniu jego duchowego powołania, jak to miało miejsce z wyżej wspomnianym, bogatym młodzieńcem<sup>1)</sup>, wtedy było złem i jako takie, podlegało potępieniu. Również ubolewał Pan Jezus nad przyszłym losem tych, którzy, wśród troski o gromadzenie bogactw, zapominali o wiecznym dobru swej duszy. Lepiej na tym świecie być ubogim, a żyć na wieki, niż opływać w doczesne dostatki: „bo cóż pomoże człowiekowi, jeśliby wszystek świat zyskał, a zagubiłby duszę swą?”<sup>2)</sup>

Niezależnie więc, od osobistych okoliczności, stanowisko Pana Jezusa wobec bogactw, było raczej obojętne, jak nieprzychylnie. Nie zapomniał jednak przestrzedz swych uczniów o pokusach, towarzyszących bogactwu: „Jakoż trudno ci, którzy pieniądze mają wniknąć do Królestwa Bożego!” Tak wielką moc ma ta pokusa nad sercem ludzkim, że według słów Zbawiciela,

<sup>1)</sup> Marek X, 22.

<sup>2)</sup> Mat. XVI, 26.

bogaci potrzebują szczególnej łaski boskiej, aby zbawienia dostąpić: „U ludzi to niepodobno, ale nie u Boga: albowiem u Boga wszystko jest podobno“ <sup>1)</sup>. Za łaską Boską więc, bogaty może osiąść to Królestwo Niebieskie, obiecane, jako nagroda, tym, co są „ubodzy duchem“—jeżeli, będąc bogatym, nie przywiązuje serca swego do bogactw i gotów wyrzec się ich każdej chwili, gdy sumienie tej ofiary od niego zażąda. I oto mamy główny przepis ewangeliczny, dotyczący bogactwa: człowiek powinien być gotów wyrzec się go dla obowiązku, i gdyby Bóg żądał, przyjąć ochotnie ubóstwo, ze wszystkimi jego przykreml następstwami, — „porzucić wszystko, aby iść za Chrystusem“, inaczej nie może dostąpić Królestwa Niebieskiego. Pod tym warunkiem chrześcijanin może spokojnie używać bogactw i, będąc bogatym, być równie doskonałym uczniem Chrystusowym, jak ten, który dla Chrystusa wyrzekł się wszystkiego.

Jest jawnem wszelakoż, że posiadanie bogactw musi być poddane ogólnemu prawu Ewangelii; mianowicie, musi służyć moralnemu udoskonaleniu człowieka, oraz dopomagać do rozszerzenia chrześcijańskiego braterstwa wśród ludzi. To przyjąwszy, bogactwo może być narzędziem utrwalenia Królestwa Bożego na ziemi, zarówno jak rozum człowieka, chociaż w niższej sferze. Wiemy dobrze, że najmędrsze roztrząsanie prawd wiecznych mało nas zbliża do prawdziwej znajomości Boga; mało, w porównaniu z owem oglądaniem Boga twarzą w twarz, które dopiero w wieczności osiągniemy. A jednak, ta znajomość Boga, do której dochodzimy przez proste ćwiczenie rozumu, ma swoją wartość, bo nas pobudza do urzędzenia swego życia według praw boskich i, w znacznej mierze, przyczynia się do naszego postępu w enocie. W podobny sposób, bogactwo może pośrednio przynajmniej być nam pomocą do udoskonalenia duchowego. Jałmużny, które rozdajemy ubogim, zasługi, które wypłacamy podwładnym, nawet podarunki robione przyjaciom, jeżeli wszystkie pochodzą z pobudek godziwych, oddziałują zbawiennie na nasze własne życie, wpływają na oczyszczenie i uszlachetnienie naszych dusz, oraz zadzierżgują węzeł chrześcijańskiej, bratniej miłości. To też, w oczach naszego Boskiego Mistrza, bogactwa tę jedną miały wartość, że podczas, gdy z jednej strony były pokusą, z drugiej, mogły być także środkiem prowadzącym nas ku moralnemu udoskonaleniu.

<sup>1)</sup> Marek X. 23—27.

Dostatki doczesne zatem, powinniśmy uważać, jako zakład złożony w ręce bogacza, nie dla dogodzenia osobistej jego przyjemności, nie dla popierania celów światowych, a tem mniej, jako środek do gwałcenia praw Boskich — ale dla tem większego dobra duchowego. Ten był powód, iż Pan Jezus nie wziął za złe Zacheuszowi, że zatrzymał część swych bogactw, bo poświęcenie połowy, było już objawem troskliwości o potrzeby ubogich bliźnich, a dla niego samego szkołą moralną, uszlachetniającą jego charakter i życie. W podobny sposób, wskazał Pan Jezus moralną wartość, która może być związana z pieniędzmi, gdy przyjął wdzięcznie kosztowny olejek spikanardowy od Magdaleny, jako objaw jej miłości i skruchy.

Jest więc gruntowna różnica w poglądzie na kwestyę bogactw ze stanowiska Ewangelii, a teoryj socyalistycznych; różnica bardzo widoczna, mimo niektórych pozornych punktów stycznych. Socyalista zapatruje się na bogactwo, jako na źródło doczesnej pomysłności i dobrobytu; dla niego jest ono symbolem tego dążenia do opanowania ziemi, które socyalizm wszystkim ludziom zaleca, choć nigdy dopuścić nie chce, żeby jedna jednostka miała je dla siebie posiadać. Używanie dóbr tego świata jest, w oczach socyalisty, dobrem najwyższym, i dlatego tylko potępia własność osobistą, żeby mógł tem używaniem wszystkich obdzielić. Dla socyalisty zatem, bogactwo ma bezpośrednią, pierwszorzędną wartość, jest ono kamieniem węgielnym socyalistycznej budowy.

Całkiem inaczej nauczał nasz Zbawiciel: jak powiedziano wyżej, samo posiadanie własności osobistej było, w Jego oczach, rzeczą obojętną, o ile nie dotykało dobra duszy. Natomiast, nie był obojętnym na użytek, jaki ludzie czynili ze swych bogactw i na moralny wpływ tychże: a już ubiegania się o bogactwo i o dobra ziemskie, nigdy nie zalecał. On bo nie przyszedł zakładać tutaj ziemskiego królestwa, ani stwarzać nowe ekonomiczne systemy. Zajmował się tylko życiem wyższym, duchowym, i ku temuż myśli i serca ludzi starał się zwrócić. Porządek rzeczy, jaki zastał, przyjął; tak samo, jak przyjął na siebie słabe ciało ludzkie. Wszystko to są rzeczy tego świata, które należy znosić cierpliwie i obracać ku dobremu, aż nastanie to Królestwo, gdzie cierpienia nie będzie i gdzie wszystkie systemy staną się zbyteczne. Nie trzeba stąd jednakowoż wnosić, aby Ewangelia broniła próżniactwa i niedołęztwa i chwaliła

tych, którzy pod ciężarem życia siedzą beczynnie, pozwalając, by troski i przeciwności wyczerpywały ich siły i energię. Z nauki Zbawiciela wynika tylko, że złe doczesne da się cierpliwością przewyciężyć, jeżeli ludzie rządzić się będą wiekuistemi zasadami, które On objawił. Ale, w ogólności, naprawa doczesnych rządów tego świata, nie była celem Jego misji i pośrednio tylko nauki Jego mogły na nią wpływać. I tak,—biorąc jeden przykład — wykorzeńmy samolubstwo z serc ludzkich, a ustanie ta niepokonana gonitwa za zyskiem, która tyle egzystencyi złamała i na którą socjalizm słusznie się oburza. Jednakże, w oczach naszego Boskiego Mistrza, cel, który sobie założyli socjaliści, jest tak samo wyuzdaną miłością dóbr ziemskich i marnej światowej mamony, jak chciwość skąpego kapitalisty. Zarówno socjalista, jak kapitalista gonią za posiadaniem bogactw, wygod i uciech doczesnych; obydwaj więc stoją w przeciwieństwie do ducha Ewangelii. Pan nasz zalecał, jako drogę doskonałości, wyrzeczenie się zupełne dóbr ziemskich, dla swobodnego oddania się służbie Bożej; gdyby zaś to było niepodobnem, przykazywał nie przywiązywać serca do dóbr posiadanych, co się wcale pogodzić nie da z socjalistyczną żądzą używania.

O ile jednak człowiekowi dostało się w udziale bogactwo, winien on, jeżeli jest posłuszny prawu Bożemu, uważać je za dar Boży, za który jest przed Bogiem odpowiedzialny. Żaden człowiek nie jest, właściwie mówiąc, bezwarunkowym właścicielem dóbr, które posiada, ani mu wolno niemi rozporządzać, nie oglądając się na cel, w jakim mu były dane. Wszystko, co mamy, jest najpierw Boże, potem dopiero nasze, i ze wszystkiego przed Bogiem rachunek nam zdać trzeba.

Widzieliśmy, że Ewangelia przedstawia nam wiele przykładów dobrego użycia bogactw. Najwięcej nas tu uderza obowiązek, nałożony bogatym, dzielenia się swem dobrem z biedniejszymi. Bogacz jest, przedewszystkiem, Bożym szafarzem, który ma rozdawać potrzebującym należną im miarę pszenicy. Gdy socjalista powołuje się na pierwsze społeczności chrześcijańskie dla usprawiedliwienia swej teorii wspólnego posiadania, przyobleka prawdę w szatę fałszu. Niema wątpliwości, że pierwsi chrześcijanie uważali majątki bogatych, jako własność wspólną całego zgromadzenia wiernych, w tym sensie, że ci, którzy mieli, obowiązani byli udzielić swych dóbr nie mającym.

Ale socjaliści przekręcają historię kościelną, gdy twierdzą, że pierwsi chrześcijanie nie posiadali osobistej własności. Nie wątpliwie, niektórzy z nich przelewali swój osobisty majątek do wspólnej skarbnicy Kościoła; lecz takich było, zdaje się, nie wielu. W każdym razie, była to ofiara dobrowolna, bynajmniej przez Kościół nie nakazana <sup>1)</sup>. Ogół chrześcijan zatrzymywał swoje majątki; ale, równocześnie, przyznawał się do obowiązku zaopatrywania potrzeb uboższych braci. Wobec Boga, ta pamięć na biednych obowiązywała pod utratą zbawienia, zaniedbanie bowiem tego obowiązku byłoby wykoszlawieniem zleconego sobie dobra.

To dzielenie bogactwa swego z biednymi, nie jest jednak jeszcze wszystkiem; ponad tem istnieje ważniejszy i rozleglejszy obowiązek, któremu podpadają wszyscy — zarówno ubodzy, jak bogaci — oddawania siebie samego swym bliźnim; służenia im swoją miłością, współczuciem, pamięcią na ich potrzeby. Obowiązek jałmużny, w chrześcijańskim pojęciu, nie jest spełniony, jeżeli mu nie towarzyszy rozważna troskliwość, oraz zrozumienie potrzeb tych, z którymi dzielimy się naszym groszem. Stąd, lekkomyślne podanie jałmużny, aby się pozbyć żebraka i zrzucić z siebie wszelką dalszą odpowiedzialność, nie może się zwać chrześcijańskim miłosierdziem, i dla tego często, to co mienimy jałmużną, nie jest wcale jałmużną w chrześcijańskim pojęciu słowa. W chrześcijańskim braterstwie, jakie nam zaleca Ewangelia, jałmużna pieniężna najniższą odgrywa rolę; a jeśli jej nie towarzyszy ludzkie współczucie, poniżej raczej biedaka, niż łagodzi jego nędzę.

Zatem obowiązki bogatego względem ubogich sięgają wiele dalej, niż proste rozdawanie pieniędzy; powinien on troskliwie obmyśleć warunki polepszenia ich doli i ku temu pomoc swą kierować. Obowiązkiem jego jest, tak swym majątkiem zarządzać, aby dostarczyć zarobku chcącym pracować. Dopomóż człowiekowi do utrzymywania się własną pracą, jest daleko większą zasługą, niż rozdawaniem jałmużny, utrzymywać go w próżniactwie, bo praca podtrzymuje godność człowieka, a próżniactwo ją poniża. Przedsiębiorca, który uczciwie i ludzko postępuje z robotnikami, wypełnia obowiązek miłości bliźniego w daleko szlachetniejszy sposób, niż bogacz, który garściami

<sup>1)</sup> Dz. Ap. V. 4.

rozrzuca złoto między motłoch; bo taki przedsiębiorca oddaje bliźnim nietylko pieniądze, ale swój rozum, energię i pracę. Rozdawać pieniądze w taki sposób, że sprowadzić mogą moralny upadek bliźniego, jest nie mniejszem złem, jak roztrwonić je po prostu na osobiste uciechy. Takie lekkomyślne rozrzucanie pieniędzy, bez myśli o następstwach, jest raczej grzechem względem bliźniego, niż dopełnieniem obowiązku miłosierdzia.

Prawo Ewangelii obowiązuje bogatego do wspierania bliźnich w taki sposób, aby ich uszlachetnić i podnieść, aby im dopomódz żyć po ludzku i po chrześcijańsku, bo jak mówi Pismo: „nie samym chlebem człowiek żyje“. Wobec materialnej nędzy, którą mają przed oczami, filantropi skłonni są ograniczyć dobroczynność na samem karmieniu ciała, zapominając o duchowej stronie człowieka, o jego umyśle i sercu. Jest to ciasny pogląd, który nie uznaje, że duch potrzebuje być krzepionym, zarówno jak ciało.

Wyposażać instytucje naukowe, lub popierać rozwój sztuki, t. j. karmić ducha ludzkiego, jest często więcej naglącym obowiązkiem, niż rozdawanie chleba głodnym. A jeszcze bardziej naglącą potrzebą bywa częstokroć dawać duszom pokarm religijny. Potrzeby człowieka są rozlicznego rodzaju, a bogacze powinni swych dóbr tak używać, by te rozliczne potrzeby zaspokoić, o ile pieniędzmi da się to uczynić. Ciasna filantropia, która ogranicza obowiązek dobroczynności do dostarczania pokarmu i ciepła dla ciała, czyni życie ludzkie nikczemnem, czczem i zmysłowem, i ostatecznie, gorszą jest może w swych skutkach, niż byłoby rozrzucanie pieniędzy, jak to czynią niektórzy, wyłącznie na dzieła sztuki.

Jest jednak jeszcze jedna strona tej sprawy, której nie można bogatemu nigdy dosyć uprzytomniać: — że odpowiedzialność jego za użytek jaki czyni ze swych bogactw, jest czysto osobistą. Nie może tego ciężaru nigdy całkowicie zrzucić na cudze ramiona. A gdyby, w dniu, gdy przyjdzie mu przed Najwyższym Sędzią zdać rachunek z zarządu powierzonymi sobie dobrami, odpowiedział, że nazначzył zastępców do tego dzieła, — odpowiedź taka nie byłaby przyjętą, jeżeli zaniedbał osobiście nad ich pracą czuwać. Obowiązek na niego samego był włożony i za spełnienie jego on sam jest odpowiedzialny. To też bogactwo czyni człowieka prawdziwie sługą swych bliźnich, „aby im w czasie dał miarę pszenicy“.

Takie są tedy ważne obowiązki, które, według prawa Ewangelii, wiążą się z posiadaniem bogactw. Niewątpliwie znajdą się tacy, którzy gotowi odpowiedzieć, jak uczniowie, gdy im Pan nasz wykladał Swe prawo małżeńskie: — „jeżeli tak się rzecz ma z posiadaniem bogactw, to lepiej człowiekowi nie być bogatym“. I nie masz wątpliwości, że dla wielu ludzi lepiejby było, gdyby nie posiadali bogactw. Gdy myślimy o zobowiązaniach łączących się z posiadaniem dóbr doczesnych, widzimy, że człowiek potrzebuje szczególnego wyrzeczenia się siebie i zaparcia, aby tym obowiązkom w niczem nie uchybić. A jednak, sam fakt odpowiedzialności, nie upoważnia jeszcze człowieka do zrzucenia z siebie, własnowolnie, ciężaru bogactw. Wyrzeczenie się dóbr doczesnych jest przeszkodą w dopełnieniu jego właściwego obowiązku, lub staje w drodze jego właściwemu powołaniu. W przeciwnym razie, człowiek czyni lepiej, gdy ciężar bogactw dźwiga do ostatka, wypełniając wiernie przywiązane do niego obowiązki. Św. Hieronim powiada, że apostołowie nie dla tego zostali święci, że porzucili wszystko, ale, że porzucili wszystko „aby iść za Chrystusem“. Takie jest prawo Chrystusowe; a z niego wynika, że ci, których Bóg powołał nie do wyrzeczenia się wszystkiego, ale do dźwigania ciężaru bogactw, mają tę powinność spełniać wiernie, w duchu Chrystusowym.

Chrześcijanin powinien jednak mieć ciągle na pamięci pokusy szczególniej związane z bogactwem. Przed bogactwem wszystkie rozkosze świata widomego stoją otworem w takiej mierze, o jakiej mniej bogatemu nie wolno marzyć. Dobra doczesne zaś, jak słusznie uważa kardynał Newman: „mogą łatwo opanować całkowicie serce człowieka i wyrugować z niego pamięć na to, co powinno być prawdziwym celem życia. Są one obecne; Bóg zaś jest niewidzialny. Dają nam łatwy środek zaspokojenia wszystkich naszych pożądań: czy zaś Bóg naszych próśb wysłucha, wiedzieć nie możemy; owszem, często możemy przewidywać, że wysłuchani nie będziemy. Stąd bogactwo przemawia silnie do złych skłonności naszej zepsutej natury; jest to bożyszcze, które obiecuje wiele, a służby żadnej nie żąda, ale, jak martwy bałwan upaja swych czcicieli poczuciem wyższości, siły i bezpieczeństwa. I dlatego jest wpływ jego tak zgubny i głęboko sięgający <sup>1)</sup>. Tak, — to jest najgroźniejsza pokusa,

<sup>1)</sup> Kard. Newman. Kazanie „O niebezpieczeństwie bogactw“.

na którą jest wystawiony człowiek bogaty: że majątności jego są mu środkiem do zaspokojenia chuci zmysłowych i zadowolenia pychy i próżności. W upojeniu wyobraźni, łatwo może się mieć za wyższego od drugich i sądzić, że cały świat winien służyć jego dobru i przyjemności. Wskutek tego, traci poczucie swego stosunku do Boga i do bliźnich; staje się sam dla siebie bożyszczem i przestaje się czuć między ludźmi, jak równy wśród równych.

Ale tu nawet należy się strzedz przesady. Niewątpliwie, bogacz, więcej niż nędzny żebrak, potrzebuje czuwać na sobą; powściągać się od uciech, które tak łatwo mu jest osiąść i pierw myśleć o swych obowiązkach dla drugich, niż o własnem zadowoleniu. Tylko w ten sposób uniknie zasadzek, jakimi mu grozi bogactwo. Jest jednak fałszywy ascetyzm, równie szkodliwy, jak rozkosze. Zbytne ograniczanie się w osobistych wydatkach jest często moralnie nagannem; hojność zaś bywa dobrą i piękną. Przykładem takiej hojności jest kosztowny olejek, który Magdalena wylała na nogi Jezusowe, w dowód czci i wdzięczności. Gdyby Magdalena była ubogą kobietą, całym jej darem byłyby łyzy skruchy; ale, będąc bogatą, domieszała do łyż drogi olejek spikanardowy; a Pan nie zganił tej hojności, choć ją zganił jeden z uczniów. W osobistem używaniu swego majątku, jedyną słuszną miarą, jaką się człowiek winien rządzić, jest jego własna istotna potrzeba: potrzeby zaś różnią się zależnie od powołania, stanowiska i usposobienia człowieka. Na tej podstawie mogą być wydatki mniejsze lub większe. I tak,—jeżeli jesteśmy uprawnieni do składania ludziom darów, w dowód miłości czy szacunku, odpowiednio do środków, jakie posiadamy. Również wolno człowiekowi otoczyć się przedmiotami kosztownymi, w których się wypowiada jego poczucie piękna; jednym słowem, nic z tego, co służy potrzebom naszej duchowej, nie tylko fizycznej natury, nie jest wzbronione. Różne instynkty rządzą człowiekiem; życie jego obejmuje rozliczne zakresy; goni za tem, co piękne, nie tylko za tem co użyteczne; styka się z martwą naturą, zarówno jak z ludźmi. Zaspokojenie wszystkich tych potrzeb, które pozwala człowiekowi rozwinąć siły i władze w jakie jest uposażony, jest całkiem uprawnionem użyciem posiadanej majątku. I w istocie, człowiek najlepiej służy bliźnim, gdy swoją własną istotę, swoje życie, do pełnego rozwoju doprowadzi; bo najlepszą usługą, jaką człowiek może wyświad-

czyć ludziom, jest stawić im przykład doskonałego ludzkiego żywota: doskonałego, nietylko przez swą pełność i rozległość podjętych zadań, ale także przez doskonałą zgodność z myślą Bożą. Człowiek, który sam tak żyje, nikomu w szacunku mu należnym nie uchybi, ale będzie służył wszystkim tem lepiej, im sam jest lepszym i doskonalszym człowiekiem; majątkiem swym zaś, popierać będzie każdą myśl szlachetną; każdą wielką a godziwą miłość, gdziekolwiek rękę swą przyłoży. W ten sposób zaspokojoną zostanie najwyższa odpowiedzialność, ciężąca na bogactwie.

---

## Pojęcie odpowiedzialności.

**G**dyby kto szukał godła, w którym najlepiejby się wypowiedział kierunek moralny, przeważający w dzisiejszem społeczeństwie, nie mógłby znaleźć nic trafniejszego od tej, niemal ostatniej, przedśmiertnej prośby naszego Boskiego Zbawiciela za uczniami: „Ut sint omnes unum“, „aby byli wszyscy jedno“. Zarówno w religijnej, jak w politycznej i społecznej sferze życia, sumienie ludów woła głośno, owszem coraz i coraz bardziej błagalnie, o zgodę i jedność. W życiu religijnem chrześcijańskiej społeczności, żadna potrzeba nie daje się tak żywo uczuć, jak potrzeba jedności zasad: w polityce, mimo, że każdy naród zachowuje swe indywidualne cechy, głębsi myśliciele nie przestają szukać środków zbliżenia się i sposobów wspólnego działania; w społecznem prawodawstwie nareszcie, metoda pozostawiania każdego jego własnemu losowi, ustępuje przed bardziej katolicką zasadą odpowiedzialności każdego za wszystkich. Wszędzie objawia się poczucie wzajemnej zależności ludzi od siebie; czynią ją uznawać, że zarówno w religijnej, w politycznej, jak w społecznej dziedzinie, człowiek nie może żyć sam dla siebie, ale, w ten czy inny sposób, życie jednostki wiąże się z życiem innych jednostek i jest jego uzupełnieniem. Wracamy więc do katolickiego poglądu na życie; do tego ducha, który ożywił pierwszych chrześcijan w katakumbach, a jeszcze jaśniej się objawił w organizacji kościelnej wieków średnich. Nie powinniśmy jednak wyobrażać sobie, że epoka odszczepieństwa i rozdziału Kościoła, stworzyła tylko chwilowy wyłom w dziejach

kościelnych. Do warunków politycznych i społecznych wieków średnich bezwarunkowo wrócić się już nie możemy; tak samo, jak dla człowieka dojrzałego niemożliwym jest odzyskać rysy i ducha swych lat młodych. Ubolewać nam trzeba nad gwałtami i bezprawiem, jakimi się zaznaczyła rewolucya kościelna w wieku XVI i nad jej dalszemi następstwami; ale nie trzeba zapominać, że miała ona głęboką przyczynę i niejakię usprawiedliwienie, będąc protestem ducha ludzkiego przeciw despotyzmowi epoki feodalnej. Despota, szczególnie dobroczynny despota, może być bardzo użytecznym dla danego narodu, w pierwszej epoce jego rozwoju; ale forma rządu despotyczna, jest, bądź co bądź, formą niedoskonałą, a jej naturalnem oddziaływaniem jest bezprawie. Rewolucya francuska była wprost następstwem świetnej, lecz despotycznej epoki rządów Ludwika XIV. W każdej doskonałej społecznej budowie, odpowiedzialność osobista jest czynnikiem nieodzownym. Człowiek potrzebuje pola działania dla swej wrodzonej energii, pola dla swej osobistej działalności i swej osobistej inicjatywy. Tłumić inicjatywę i dławić energię jednostki, jest to: zabić chwałę i pomysłność narodu.

Katolicy, rozprawiając o kwestyi społecznej powołują się ze sprawiedliwą dumą na te czasy, gdy miłosierdzie chrześcijańskie odgrywało tak wpływową rolę w życiu społecznem ludzkości. Ale czasami zdają się zapominać, że dzisiejszy system społeczny i polityczny różni się od tego, pod którym żyli nasi ojcowie; a jeżeli to uznają, żałują „dawnych, dobrych czasów“ i pragną ich powrotu. „Dawne, dobre czasy“ jednakowoż nigdy się nie wracają i wrócić się nie mogą. Musimy się pogodzić z tym oczywistym faktem, że przeszłość już minęła i że trzeba się nam zwrócić do terażniejszości i przyszłości. Możemy w średnich wiekach czerpać wiele wzniosłych natchnień, ale wrócić się do systemu politycznego i społecznego, jaki stworzyły, nie możemy nigdy. System ten upadł sam z siebie, z chwilą obudzenia się nowego ducha samodzielności i odbudowanym być nie może. Duch wolności osobistej żyje dziś w naszej krwi; wyrównywa dawne różnice społeczne i stwarza nowe stosunki; przynosi ludziom nowe całkiem poczucie osobistej równości wszystkich, a przynajmniej wstręt do każdej nierówności osobistej. Stwarza nowe pole rywalizacji pracy i stopniowo rozsze-

rza zakres swobód, aż dojdzie do tego, że każdy człowiek będzie miał głos i udział w rządzie kraju. Oto są niektóre owoce ruchu wolnościowego: jest - że ktokolwiek, kto by chciał się ich wyrzec?

Nie,—nasz najnowszy ruch społeczny nie wypiera się źródła, z którego płynie i nie myśli się wyrzec tej wolności osobistej, zdobytej kosztem tyłu cierpień. Ci, którzy chcą uważać najnowszy kierunek społeczny — tak, jak to czynią niektórzy z przewodców socjalistycznych — za całkowite unieważnienie wszystkich przywilejów jednostki, albo sobie sami zaprzeczają, albo są dziwnie krótkowidzący. System socjalistyczny, według którego gmina byłaby wszystkim, a jednostka niczem, byłby prostym powrotem do despotyzmu i bez jednego despotycznego władcy, osobiście rządu dzierżącego, nie można go sobie wyobrazić. Czemże więc jest w istocie ten nowo rozbudzony duch społeczny, który się ucieka pod skrzydła wiary i szuka błogosławieństwa Kościoła? Jest on, w pierwszym rzędzie, reakcją przeciw nadużywaniu praw jednostki i ich wyłączności. Uznaje prawa indywidualne i inicjatywę osobistą, jako konieczną zasadę w każdym zdrowym ludzkim społeczeństwie, ale idzie dalej i twierdzi, że z prawem związana jest odpowiedzialność; owszem, że odpowiedzialność, czyli poczucie obowiązku, jest ważniejszą podstawą społeczeństw, niż samo prawo. Prawa są fundamentem gmachu społecznego; obowiązki, jakie z tych praw wypływają, są jego obwarowaniem. Dotychczasowi liberalni politycy usiłowali za podstawę społeczeństw przyjąć poprostu uznanie przywilejów osobistych każdego obywatela; najnowszy kierunek opiera się raczej na obowiązkach, jakie te przywileje nakładają. Prawodawstwo, które zajmowałoby się wyłącznie prawami obywateli, nie dałoby nigdy wszystkim dostatecznej ochrony; są tacy, którzy faktycznie znaleźliby się zawsze poza prawem, — a mianowicie: słabi, opuszczeni, nieoświeceni, nędzarze. Prawodawstwo, opierające się wyłącznie na uznaniu praw, rzuciłoby tych biedaków tem łatwiej na łup silnym i inteligentnym. Aby wszystkich skutecznie wziąć w opiekę, prawodawstwo musi mieć za pierwszą podstawę obowiązki silnych względem słabych, a oświeconych względem ciemnych.

W organizacyi społecznej takiej, jak ją pojmujemy, jednostka nie będzie już królowała samotnie, odgraniczona od dru-

gich jednostek, ale każdy człowiek będzie tylko jednym z wielu,—wolnym, między wolnymi, lecz zawsze związanym ze społecznością, wśród której żyć mu dano. Jednem słowem, prawodawstwo musi wszędzie, obok praw, stawić odpowiedzialność. A tak, z samejże budowy praw osobistych powstanie nowa jedność społeczna, która zastąpi dawną, wieków średnich. Ta feudalna społeczność runęła, jak wspomnieliśmy wyżej, w chwili rozbudzenia się ducha wolności osobistej, a runęła bezpowrotnie; ale na samym gruncie osobistej wolności może powstać jedność nowa. Duch wolności stworzył już jedność polityczną, teraz winien stworzyć jedność społeczną. Jedność polityczna uważana była dotąd za ostoję praw osobistych jednostki; zaczynamy jednak przekonywać się, że ona nie wystarcza, że lepszą jest jedność społeczna, czyli złączenie wszystkich członków społeczeństwa wspólnym węzłem ludzkiego braterstwa; owszem, że bez tej ostatniej, społeczność żadna trwać, ani kwitnąć nie może.

Jeżeli to uznanie odpowiedzialności, jako koniecznego równoważnika praw, daje się żywo uczuć w dzisiejszem społeczeństwie, odzywa się ono jeszcze silniej we współczesnem prawodawstwie. Prawa państwowe są, bądź co bądź, tylko odbiciem sumienia danego narodu. Jak długo moralnym kodeksem ludu była wolność osobista, prawodawstwo głosiło prawa jednostki i strzegło przywilejów silniejszego. Ale, w miarę powstawania nowego ideału moralnego, charakter prawodawstwa nowoczesnego zmienia się również; coraz mocniej przebija się w niem poczucie, że nie masz prawa bez odpowiedzialności. Gdybyśmy jednak odpowiedzialność naszą składali wyłącznie na barki państwa, — wyjąwszy w tych szczególnych wypadkach, gdzie osobista działalność nie starczy i wdanie się państwa jest koniecznem, — podkopywalibyśmy w samych podstawach moralność publiczną i powagę sumienia ludzkiego. Otóż to jest największe niebezpieczeństwo, którem nam grożą teorye socyalistów. Na miejsce osobistego sumienia, stawiają oni prawo publiczne, kiedy, właściwie, prawodawstwo powinno stać się tylko podporą sumienia osobistego, być na jego usługach. Moralność opiera się na sumieniu, nie na prostych przepisach prawnych. Niewola nie jest posłuszeństwem; przymus nie jest cnotą. Państwo, którego budowa nie jest oparta na sumieniu narodowem, nie może kwitnąć

i rozwijać się. Sumienie może czasem pobłądzić, ale jego stałością stoją państwa. Stan polityczny Anglii, za rządów republikańskich, w wieku XVII, był świetny, bo się opierał na sile przekonań purytańskich sekciarzy, przekonań niewzruszonych, choć ciasnych i błędnych. Cesarstwo rzymskie rozpadło się w gruzy, bo w niem wymarło sumienie publiczne. Postawić prawo na miejscu sumienia, czyli, co wychodzi na jedno, ograniczyć obowiązek do przestrzegania pewnych przepisów prawnych, jest to samo, co zniweczyć moralność publiczną i w ostatecznym wyniku doprowadzić państwo do ruiny. Pierwszorzędną tę prawdę powinien zawsze mieć na pamięci ten, kto się zajmuje sprawą społeczną.

Wynika stąd, że główną troską każdego reformatora powinno być rozbudzenie w sumieniach ludu poczucia wzajemnych dla siebie obowiązków. Prawodawstwo może być bardzo skuteczną ku temu pomocą; może wzmocnić w sumieniu ludu poczucie słuszności i przestrzegać dopełnienia tego, czego to poczucie żąda. Opierajmy się więc na prawie, gdy zachodzi tego potrzeba; ale nie dopuścimy, by jego ustawy stawały w poprzek głosowi sumienia.

Poza sferą prawa zostanie zawsze szerokie pole dla odpowiedzialności prywatnej, czy to zbiorowej narodu, jako takiego, czy osobistej, każdej jednostki. I tak być powinno: bo, gdy władza wykonawcza obejmuje całą odpowiedzialność publiczną, poczucie obywatelskie w narodzie obniża się. Gdyby np. w Anglii dobroczynność publiczna ciążyła na skarbie, zamiast być podtrzymywana prywatną ofiarnością, odbiłoby się to niekorzystnie na moralnym rozwoju ludu angielskiego. Im bardziej bowiem ciężar odpowiedzialności spada osobiście na każdą jednostkę, tem bardziej się podnosi ogólna moralność państwowa: bo moralność publiczna opiera się ostatecznie, bądź co bądź, na wolnem sumieniu każdego obywatela.

Twierdzenie, że odpowiedzialność jednostki za dobro wspólne ogranicza się na spełnieniu tego, co jest wskazane przepisem prawnym, jest sofizmatem, który prowadzi prosto do podkopania swobód publicznych, a w dalszem następstwie do rządów despotycznych, despotyzm zaś, jest najniższą formą rządu, właściwą tylko dla narodów będących bądź w niemowlęctwie, bądź w upadku.

Im bardziej więc narody uznają pojęcie odpowiedzialności za podstawę swego bytu narodowego, tem lepiej zabezpieczone są ich swobody publiczne. Wolność zrodziła się z poczucia praw osobistych, ale kwitnie i rozwija się tylko poczuciem osobistych obowiązków.

My, katolicy, to szerzenie się poczucia wzajemnej wszystkich odpowiedzialności i pragnienie skuteczniejszego między ludźmi zbratania, powinniśmy witać, jako jedno z najlepiej na przyszłość wróżących znamion czasu. Protestantyzm kwitnął i rozrastał się w atmosferze osobistej niezawisłości. Nowy duch, który się dziś budzi, garnie się do katolicyzmu. Dążeniem protestantyzmu było zawsze rozluźniać węzły społeczne; katolicyzm dąży do zacieśnienia ich; pierwszy szerzył samolubstwo, drugi szerzy chrześcijańską miłość.

A jakże my, katolicy angielscy, korzystamy z tej sposobności, jaka się nam następuje do rozszerzenia wpływu Kościoła? Czy jesteśmy, na równi z całym narodem, przejęci koniecznością odpowiedzialności społecznej? Nie chciałbym temu zaprzeczać. — Jednakże nie sądzę, abyśmy czynili wszystko, co jest w naszej mocy, aby nadać właściwy bieg życiu narodowemu.

Do ostatnich czasów trzymaliśmy się zanadto na uboczu nie całkiem z naszej własnej winy. Długie lata gnębiących praw i wykluczenia od politycznej i społecznej działalności, onieśmieliły nas; a kiedy znów zaczęliśmy brać udział w życiu publicznem, uczucie osamotnienia krępowało nas i gnębiło. Ale, na szczęście, przestajemy się już czuć wyrzutkami i zaczynamy zajmować należne nam, wśród narodu, miejsce. Dotąd konieczność samo-obrony zmuszała nas zajmować się zanadto wyłącznie własnymi naszymi sprawami, oddzielnie od spraw narodowych. I teraz jeszcze trzeba się nam mieć na baczności wobec wrogów Kościoła katolickiego. Jednakże przyszedł już czas, gdy możemy śmiało brać udział w życiu publicznem i wpływać bezpośrednio na jego bieg, współdziałając, w miarę naszych sił, ze wszystkimi, którzy pracują około dobra powszechnego, czy to katolikami, czy innowiercami. Na tem rozszerzeniu pola naszej działalności zyskają i nasze bliższe interesy, bo ożywienie energii rozwinie siły.

Minął już czas, gdy nasze usuwanie się od życia publicznego, mogło znaleźć usprawiedliwienie. Dzisiaj wolno nam już

być tem, czem być powinniśmy: siłą narodową. Od naszej własnej energii zawisło czy się tą siłą staniemy. Jawnym obowiązkiem katolików angielskich, w dzisiejszych czasach, jest, czy to w życiu prywatnem, czy w stowarzyszeniach, przykładać rękę do ruchu politycznego i społecznego swego kraju, a uznając historyczny rozwój wypadków, dawać przy każdej sposobności świadectwo katolickiej zasadzie odpowiedzialności społecznej.

---

CZEŚĆ II<sup>ga</sup>.

1885



## Praca społeczna ze stanowiska religijnego<sup>1)</sup>.

---

**M**ieć oczy otwarte na to, co życie współczesne nam przynosi, jest niejako początkiem mądrości. Nie możemy bez niebezpieczeństwa zamykać oczu na fakta. Być może, iż dane fakta nie będą się zgadzały z tem, czem, według pojęć jakie sobie utworzyliśmy, życie byćby powinno. W tym wypadku jest prawdopodobne, że właśnie nasze pojęcie o życiu było błędne; za ciasne może, albo na fałszywym założeniu oparte. I tak, jeżeli nam mówią — a dziś jeszcze mówią to często — że właściwym miejscem dla księdza jest tylko zakrystya, albo, że ludzie świeccy nie mają prawa zajmować się katolicką propagandą, obejrawszy się dokoła siebie, widzimy, że te twierdzenia nie zgadzają się z faktami. Jeżeli dzisiaj wpływ kapłanów się wzmacnia, to właśnie dlatego, że swej duchowej działalności nie zamykają w obrębie murów zakrystyi, ale, wzorem Chrystusa Pana, idą między wzburzony tłum, podając dłoń pomocną, ilekroć się trafi sposobność. Z drugiej strony, jeżeli Kościół katolicki w Anglii mógł uratować tysiące opuszczonych dzieci od

---

<sup>1)</sup> Rozprawa czytana na katolickiej konferencji w Newcastle on Tyne w r. 1901.

zguby moralnej i jeżeli jego działalność jest dziś lepiej oceniana i szanowana, niż temu lat pięćdziesiąt, nie jest-że to w znacznej mierze zasługą świeckich katolików? W ostatnich latach wpływ ludzi świeckich na sprawy religijne wzmógł się ogromnie, tak w Kościele katolickim, jak poza nim. Katolicy świeccy zasłużyli się wielce, starając się rozwinąć i objaśnić dogmaty naszego Kościoła wobec innowierców, nieobeznanych z terminologią katolicką. Więcej jeszcze pracowali w interesie religii na polu społecznym i przyznać trzeba, że w tym względzie współpracownicy tylko z akatolikami.

Praca około przeprowadzenia reformy społecznej jest, w ogóle, jednym z wybitnych znamion chwili obecnej. W połowie ubiegłego stulecia, kiedy Disraeli pisał swoją powieść „Sybil“, w której przeciwstawiał nędzę klas roboczych bezmyślnej obojętności bogatych, nie było, rzecz można, w Anglii żadnej organizacji społecznej. Były różne społeczne klasy nie znające się nawzajem, nie inaczej chyba, jak jeden obcy przechodzień zna drugiego. Bogaci nie mieli żadnego pojęcia o trybie życia biedaków, biedni zaś, sądzeni bogatych z równą niewiadomością, jak goryczą. Był wprawdzie jakiś stosunek ekonomiczny, wiążący jedną klasę z drugą; ale ze stanowiska moralnego i ludzkiego, bogaci i ubodzy tworzyli dwie społeczności zupełnie sobie obce obyczajami i wzajemnie nie pragnące zbliżenia. Była to ciemna noc przed brzaskiem. Niebawem sumienie narodowe ocknęło się i uznało, że taka przepaść moralna między dziećmi jednej ziemi, jest występkiem. Zaczynano pojmować, że jedna klasa społeczna ma obowiązki względem drugiej, i że nie masz człowieka, któryby nie był ze wszystkimi innymi ludźmi związany jakąś wspólną odpowiedzialnością. Życie takich ludzi, jak był kardynał Manning i lord Shaftesbury, nie mogło przejść bez wpływu. Dzisiaj poczucie ogólnej odpowiedzialności społecznej przenika wszystko; wszyscy czują, że bogatsi i silniejsi mają obowiązki względem uboższych i słabszych; że szukać osobistej korzyści, bez względu na dobro bardziej upośledzonych, jest grzechem wobec Boga, a zbrodnią wobec państwa. Przekonanie to znajduje swój wyraz częścią w prawodawstwie, częścią w dobrowolnych, osobistych usiłowaniach poprawienia losu ubogich i nieszczęśliwych. Ale, w jaki bądź sposób ono się wypowiada, zaznaczyć trzeba, że to przeświadczenie o wzajemnej odpowiedzialności ludzi za siebie, idzie w parze z widocznym,

od lat pięćdziesięciu w Anglii wzrostem ducha religijnego i katolickiego. Jest to fakt, na który nie można nie zwrócić uwagi.

Praca społeczna wszelkiego rodzaju jest jedną z oznak przebudzenia się ducha religijnego w naszych czasach. Pływie ona z religijnego uczucia i wiąże się ściśle z odrodzeniem wiary. Są wprawdzie niekatolicy, którzy zaprzeczają, aby ich żywe zainteresowanie się losem bliźnich wypływało z przekonań religijnych. „Kochamy naszych biednych braci, mówią, dla nich samych, nie dla miłości Boga. Idzie nam o dobro ludzkości; nie wierzymy w życie przyszłe, ani w nauki księży. Chcemy, żeby nasi bliźni byli szczęśliwi tu na ziemi; poza tem nic innego nas nie obchodzi“. Takie twierdzenia jednakowoż nie powinny być brane dosłownie. Ci, którzy tak mówią, nie rozumieją często sami siebie; starają się robić to dobre, które leży wprost przed nimi, niecierpliwiąc się teoryami, jakich jeszcze nie rozumieją. Mimo ich zaprzeczeń, miłość bliźniego prowadzi ich niepostrzeżenie do Boga; stają się mniej samolubni, mniej zajęci własną wygodą, więcej współczujący z drugimi; a czemu?—Bo zostają pod wpływem Ducha Bożego, który działa na nich zrazu nieznanie, dopóki ich oczu nie otworzy na prawdy wiary. Znajdują się wprawdzie ekonomiści, którzy w swych pismach szerzą wprost bezbożne zasady; którzy wielbią tylko materię i życie obecne, a sprzeciwiają się temu, co jest w człowieku cząstką duchową i wieczną, ale takich jest niewielu i są to przeważnie tylko teoretycy. O tych, którzy zajmują się praktycznie sprawą odrodzenia społecznego, których ludzie obchodzą więcej, niż własne ich teorie, można powiedzieć stanowczo, że ich interes dla spraw społecznych jest oznaką budzącego się sumienia i odżywającej wiary. Św. Jan powiedział, że „Kto Boga miłuje, miłuje też brata swego“. Dlatego twierdzimy, że gdziekolwiek jest czysta miłość bliźniego, tam jest Duch Boży. Ludzie mogą sami o sobie sądzić, że pracują wyłącznie z ludzkich pobudek; ale jeżeli praca ich natchniona jest szczerem współczuciem, nie chęcią podkopania istniejącego porządku rzeczy, niezaprzeczenie, mimo ich wiedzy, Duch Boży w nich żyje.

Zwracam tu uwagę na charakter religijny, który znamionuje dzisiejszy ruch społeczny, dlatego, że coraz bardziej jawneń się staje, iż Kościół, przez zastosowanie zasad religijnych do dzisiejszych zagadnień społecznych, może pociągnąć masy ku

sobie. Kościół nigdy dotąd nie nawracał tłumów przez rozprawy teologiczne, ale tylko przez zbawienny wpływ swych nauk na warunki ich codziennego bytu. Gdy lud spostrzeże, że gdziekolwiek sięgnie wpływ Kościoła, tam życie jego się uszczęśliwia i rozjaśnia; gdy ujrzy, że Chrześcijaństwo w praktyce, jest to samo, co sprawiedliwość i uczucie odpowiedzialności możnych i bogatych względem biednych i słabych, wtedy i wtedy tylko pójdzie za głosem Kościoła. Ludzie sądzą o nauce wedle owoców, jakie na polu ich życia wydała. Dobrze to, że Kościół obiecuje im szczęście i wybawienie od złego w życiu przyszłym; ale potrzebny im już tutaj jakiś przedsmak przyszłego dobra. Kościół wszelkiego cierpienia i nędzy uleczyć nie jest mocen; ale oni żądają, by nauka Chrystusowa uczyniła ich życie znosijszym. I bądź co bądź, żądanie to jest słuszne. Jeżeli Chrześcijaństwo jest tem, czem się być mieni: zakonem miłości, czyż nie powinien zwalczyć w świecie samolubstwa i niesprawiedliwości? Czyż nie powinien stopniowo usuwać krzywdy i łagodzić niedoli w społeczeństwie, w którym ma panować? Jeżeli tego nie czyni, to albo sam nie ma siły żywotnej, albo jego rzekomi wyznawcy sprzeniewierzają się jego nauce. My, wierzący, wiemy dobrze, że ilekroć panowanie Ewangelii zdaje się chwiać, jest to skutkiem przენiewierstwa tych, którzy się mieniają jej uczniami. Ale tłum tak nie rozumuje; on naukę Chrystusa bierze za jedno z jej wyznawcami; jeżeli oni, czy one zawiodą, sama nauka Chrystusa zdaje się mu być zwodniczą. Możemy się tedy dziwić, gdy wspomnimy bezgraniczny egoizm, który tak długo panował w społeczeństwie angielskiem, szczególnie w miastach i centrach handlowych, że masy ludowe odnosiły się do spraw wiary, jeżeli nie ze wzdargą, to z obojętnością? Kościoły zapełniały się w niedzielę ludźmi, którzy, w ciągu tygodnia żyli z wyzysku biedaków, pozwalając im marnieć w nędznych norach. Filarami religii byli ci, którzy biednych, chorych, ginących w nędzy, zostawiali bez ratunku i słowa pociechy. Chrześcijanami—że zapożyczymy trafnego określenia, — byli ci, którzy stawiali Chrystusowi wspaniałe kamienne świątynie, ale zapominali o „najmniejszych braciach“ Chrystusowych, nie chcąc nawet wiedzieć o ich istnieniu. Jakże, w takich warunkach, mógł lud być pociągnięty do Kościoła i jego nauki? Dzisiaj, jednak, nie da się już uzasadnić oskarżenia, które temu lat pięćdziesiąt tak gwałtownie miotano na chrześcijańską wiarę.

Dziś religia idzie w parze ze współczuciem dla bliźniego. Biedni nie są już, jak niegdyś, lekceważeni przez bogatych, a maulucy przez możnych.

Mimo to, tkwi jeszcze w masach jakaś niechęć do religii i jej obrządków; niechęć podniecana przez agitatorów socjalistycznych. Jedynym środkiem zwalczenia tej niechęci jest przekonać ogół, że Ewangelia Chrystusowa jest Ewangelią mas, ich społecznego odrodzenia i ich udoskonalenia; wtedy lud uzna, że religia jest dobrodziejstwem dla niego już w tem życiu, nietylko w przyszłym. I rzeczywiście, gdy głos religii odezwie się żywo w sumieniu któregośkolwiek z nas, czy nie to nam mówi? Żywa wiara prowadzi za sobą zawsze przeobrażenie naszego życia ziemskiego, które utwierdza w nas ufność w doskonalsze życie przyszłe. Nie usuwa wprawdzie cierpienia, ale przynosi już tutaj pociechy, które są przedsmakiem pociech wiecznych. Wpływ zbawienny jaki Chrystyanizm wywiera na los biedaków, opuszczonych i cierpiących, powinien już tu na ziemi być obrazem Królestwa Bożego, jakie będzie w wieczności. To jest najsilniejszy argument, jakim Kościół może przemówić do mas. Twierdzą, iż socjalizm pociąga lud dlatego, że jest nietylko systemem społecznym, ale kodeksem moralnym i religijnym i że to tłumaczy ten, niemal religijny, zapał jaki wzbudzać umie. Ubogiego robotnika nie to nęci, że mu socjaliści malują obraz społeczności, jaką ma być za lat tysiąc, gdy wszyscy ludzie będą zrównani, i gdy nie będzie już biedaków; daleko silniej przemawia do niego instykt słuszności i poczucie sprawiedliwości społecznej, które tkwią głęboko w każdym prawem sumieniu. Nie zasada ekonomiczna, lecz zasada moralna zdobywa jego uznanie. A jeżeli niewątpliwie tak jest, czemużby Kościół nie potrafił rozbudzić takiegoż zapału religijnego w tłumach? Powiedział ktoś, że „socjalizm, w swoim najprostszym i bezwzględnym założeniu, ma wielki pociąg dla mas, wskutek tego, co w nim jest pokrewnem z Ewangelią“... „Stąd ci, którzy wyznają i rozszerzają zasady socjalistyczne, łudzą się, że są apostołami, a w słuchaczach swych rozbudzają zapał dochodzący do fanatyzmu“.

Ale, jeżeli socjalista skutkiem tego współczucia dla nędzy ludzkiej, które, jak twierdzą, jest mu wspólne z Ewangelią, przemawia tak silnie do mas ludowych, czemużby Kościół nie dokazał tego samego? Dotychczas sprawy religijne, — zwłaszcza

w krajach niekatolickich,—za mało miały styczności z codziennym życiem ludu i stąd uboga ludność przywykła widzieć w Chryścjanizmie tylko martwe obrządki, które nic do niej nie przemawiały. A jednak, gdy sięgniemy wzrokiem za siebie, w dawne dzieje Kościoła, widzimy, iż jedną z jego największych zasług było, że ubóstwo otoczył urokiem dostojności; zbliżył ku sobie wszystkie klasy społeczne, łącząc je węzłami sprawiedliwości i chrześcijańskiej miłości; wpływ jego dźwigał zgnębiionych i pocieszał smutnych, jednoczył bogatych i ubogich, uczonych i prostaczków bratniem współczuciem. Zwracamy wzrok ku pierwszemu wiekom Chrześcijaństwa, tak żywo odmalowanym np. w „Fabioli“; — wspominamy prace takich biskupów, jak sławny z miłosierdzia św. Marcin z Tours, społeczne dzieła mnichów św. Benedykta; potem stają nam na myśli „Fioretti“, wiek św. Franciszka, gdy, jak to napisał Jakób z Vitry, zdawać się mogło, że pierwsze czasy Kościoła odżyły i ludzie znowu mówili: „patrzcie, jak ci chrześcijanie wzajemnie się miłują“. Myślmy o św. Wincentym à Paulo i jego Siostrach Miłosierdzia. — A, gdy taki widzimy obraz życia Kościoła w przeszłości, czemuż, — mówi nam głos wewnętrzny, — ta sama wiara nie mogłaby naszych stosunków społecznych przemienić, tak, jak to uczyniła w dawnych czasach? Niema z pewnością, żadnej ku temu przeszkody; a jeżeli potrzeba nam nakazu, nie możemy mieć lepszej zachęty do zajęcia się sprawą społeczną, jak odzywający się, raz po raz, głos Najwyższego naszego pasterza <sup>1)</sup>. Zaprawdę, my katolicy, przed wszystkimi innymi powinniśmy dać światu przykład spełnienia tej społecznej powinności.

W pierwszym rzędzie wskazuje nam ją jasno tradycya ubiegłych wieków Kościoła. Żadnej prawdy nie uczy nas dobitniej historia kościelna, jak wzajemnego braterstwa chrześcijańskiego ludu; jak obowiązków sprawiedliwości i miłości jednej klasy społecznej względem drugiej, każdego człowieka dla drugiego. Dogmat o obcowaniu świętych, tak blizki i drogi każdemu katolickiemu sercu, opiera się na tej właśnie wierze, że jesteśmy wszyscy jedną rodziną bożą i mamy, jedni dla drugich, rodzinne obowiązki. Te obowiązki rodzinne obejmują także nasze stosunki doczesne i materyalne, nietylko wieczne i duchowe. Nie możemy życia swego przepołować; nie możemy

<sup>1)</sup> Leona. XIII.

szczerze mówić o pomocy duchowej dla tych, którym pozwalamy ginąć z nędzy i głodu. Bywają okoliczności, kiedy nie modlitwa, ale kawał chleba jest właściwym objawem chrześcijańskiego miłosierdzia i braterstwa. Powinniśmy zawsze pamiętać, że uczynki miłosierdzia względem ducha, nie mogą zastąpić uczynków miłosierdzia względem ciała. Módlmy się jedni za drugich, ale nie zapominajmy, iż chrześcijańska miłość żąda także, by bratu podać pomocną rękę. Będąc katolikami pomnijmy, że nasza żywa wiara w Jezusa Chrystusa i Jego Kościół nakłada na każdego z nas, w miarę potrzeb chwili, ścisły, osobisty obowiązek czynnej miłości bliźniego, która powinna być podstawą całego naszego życia i działania. „Jeśli by kto rzekł, iż miłuje Boga, a brataby swego nienawidził, kłamcą jest“, uczy św. Jan, apostoł. Jakże możecie mienić się katolikami, zapoznając obowiązki chrześcijańskiego braterstwa?

My, katolicy angielscy, mamy, oprócz powinności chrześcijańskiej, inną jeszcze pobudkę do pracy na polu społecznym. Pragnieniem wspólnem nas wszystkich jest, aby wybiła godzina, gdy nasza ojczyzna odzyska całą pełność wiary katolickiej i włączona będzie napowrót do owczarni Chrystusowej. Ale nie łudźmy się, by ten cel mógł być osiągnięty za pomocą samych teologicznych argumentów. Dowodem, najsilniej do przekonania przemawiającym, nie będą oderwane rozumowania, lecz żywy przykład czynnego katolickiego życia. Odpowiedzmy więc sami sobie, co my, katolicy robimy, aby zasady naszej wiary narodowi w uczynkach naszych okazać? Czy nas zajmują żywo kwestye, mające związek z podniesieniem moralnego poziomu społeczeństwa? Czy popieramy, przy każdej sposobności, tak w prywatnych, jak w publicznych stosunkach, sprawę religijnego wychowania młodzieży, szerzenia trzeźwości, zdrowych mieszkań dla ubogich, uregulowania płac i godzin pracy robotników? Czy przyjmujemy chętnie naszą część obywatelskiej i narodowej odpowiedzialności za szerzenie sprawiedliwości społecznej i publicznego miłosierdzia? A dalej, czy chętnie bierzemy udział w pracy osobistej, tak jednostek, jak stowarzyszeń nad wydzwignięciem najbiedniejszych nędzarzy z przepaści ciemnoty i moralnego upadku? Działalność taka jest przecież konieczną częścią pracy apostołskiej, która ma kraj nasz pociągnąć do katolickiej wiary. Potrzebni nam są teologowie dla objaśniania dogmatów katolickich; ale potrzebni nam są też społeczni pra-

cownicy, aby pokazać jaką rolę odgrywa Kościół w sprawie, która lud cały tak blisko obchodzi. Socyolog na równi z teologiem apostołuje; bez jednego zarówno jak bez drugiego obejść się nie można; ale na masy ludowe wpływ pierwszego jest może nawet bliższy i skuteczniejszy.

Wyrażenia „socyolog“ używam tu, oczywiście w najszerszym znaczeniu; obejmuję niem wszystkich, którzy się szczerze interesują zagadnieniami społecznymi w ich najrozmaitszych moralnych objawach i usiłują przekonania swoje czynami stwierdzić. Rozumie się, że każdy musi wybrać sobie odpowiednie pole działania; jedni samodzielnie, inni jako członkowie stowarzyszeń: niektórzy znów, wypełnią swe obowiązki społeczne, biorąc udział w życiu obywatelskiem i publicznem, podczas, gdy drudzy, działając prywatnie. Ale każdy powinien korzystać ze sposobności, jaka mu się nadarza aby szerzyć społeczny wpływ katolicyzmu.

Przedewszystkiem na jedną formę działania społecznego szczególniejszą zwrócić muszę uwagę. Jest to to, co pospolicie mamy na myśli, kiedy mówimy o „pracy społecznej“ t. j. prywatne usiłowania ludzi dobrej woli, czy to indywidualne, czy w stowarzyszeniach, aby przyjść w pomoc swym więcej upośledzonym bliźnim. Nie masz żadnej wątpliwości, że odrodzenie moralne społeczeństwa nastąpi wtedy, gdy wszystkie klasy rządzić się będą w życiu zdrowymi chrześcijańskimi zasadami. Potrzeba naprawy jest widoczną zarówno wśród klas bogatych i wykształconych, jak wśród ubogich, a dopóki te klasy uprzywilejowane nie nawrócą się szczerze do Ewangelii Chrystusowej nie może być mowy o prawdziwej reformie społecznej. Przyczyną upadku klas biednych jest, w znacznej mierze, samolubstwo, światowość i zmysłowość klas wyższych. Aby nawrócić biedaków, trzeba koniecznie pierwej nawrócić bogatych. Powiedzieliśmy w innym miejscu <sup>1)</sup>, że „głębokiej nędzy moralnej proletaryatu angielskiego nie uleczy się przez najwznioślejsze kazania, głoszone z ambony. Upadek moralny klas ubogich w Anglii, sięga tak głęboko, że wymaga heroicznego lekarstwa“. Potrzeba nam całej armii pracowników, gotowych poświęcić swój czas i trud, by śladem Chrystusowym pracować nad wyzwoleniem tych tłumów nędzarzy, w których zaginął już nietylko duch wiary, ale wszelkie poczucie godności ludzkiej i moralności ży-

<sup>1)</sup> Św. Franciszek, a my.

cia, albo, którzy zaczynają się staczać ku tej przepaści. Inne-  
mi słowy, widzimy cały olbrzymi tłum istot ludzkich, które ni-  
gdy nie podźwigną się własną siłą, ale będą zawsze ciężyły ku  
dołowi, ku coraz gorszym warunkom życia i coraz większemu  
upadkowi obyczajowemu, — nie wspominając już o religii, jeżeli  
nikt im nie poda pomocnej ręki, aby ich wybawić i umocnić.  
Z braku tego wsparcia, tysiące istot zginęło w najgorszym upo-  
dleniu: tysiące giną codziennie. Możeż być obowiązek bardziej  
oczywisty? A jakże go wypełniamy? Od lat kilku episkopat  
katolicki odwołuje się do katolików świeckich, zachęcając ich  
do oddania się całą duszą pracy, nad ratowaniem słabych i  
opuszczonych; w większej części dyciezyi zawiązały się w tym ce-  
lu towarzystwa i związki. Ale te związki i towarzystwa nie są  
w ogóle popierane tak, jakby być powinny, przez tych, którzy  
mają po temu czas i środki. W niektórych miejscowościach kwit-  
ną i wiele dobrego zdziałały; w innych natomiast ledwo dają  
znak życia. Jakaż tego przyczyna?

Pierwszą przyczyną jest, jeśli się nie mylę, nasz narodowy  
temperament: Anglik niechętnie pozwala się krępować organi-  
zacyom i związkom, chyba, że mu one zostawiają wiele swobo-  
dy osobistego działania. Różnimy się w tem zupełnie od Fran-  
cuzów, którzy właśnie z pomocą komitetów i stowarzyszeń naj-  
więcej zdziałać umieją. Anglik jest z natury indywidualistą;  
lubi czuć, że ma wolną rękę, nawet wtedy, gdy pracuje  
wspólnie z drugimi i tylko działając swobodnie umie działać  
skutecznie. Nasze związki muszą się z tem usposobieniem li-  
czyć i nie wytykać jednostkom zanadto ściśle regulaminu, w jakim  
mają pracować; poprzestać na wskazaniu ogólnego kierunku,  
szczegóły zaś pozostawić osobistej pomysłowości. Byle wszyscy  
przejęci byli jednym duchem, na zewnątrz działanie może być  
samodzielne i swobodne. Każde stowarzyszenie musi wpraw-  
dzie mieć pewien regulamin, aby mogło istnieć, ale usposobie-  
nie Anglików wymaga, by ten regulamin ograniczyć do najko-  
nieczniejszej potrzeby. Zwłaszcza praca misyonarska cierpi na  
tem, gdy inicjatywa osobista jest skrępowana zbytkiem prze-  
pisów osobistych.

Jest jednak druga, ważniejsza przyczyna, dla której, tak  
zwana „praca społeczna“ nie rozwija się w tym kraju, jakby  
powinna. Nie zrozumieliśmy jeszcze dosyć, jak nagłącym, ko-

niecznym i ogólnym jest ciężący na nas obowiązek pracowania nad podźwignięciem biedaków i nędzarzy. Nie myślę utrzymywać, że dobroczynność nie kwitnie wśród nas. Widzimy jej dużo; lecz, niestety, nie ze wszystkimi jej objawami możemy się zgodzić. Nie wystarcza wspomagać tych, którzy przypadkowo znajdują się na naszej drodze, lub którzy pukają do naszych drzwi. Trzeba nam wyjść na drogi i ulice i wyszukiwać potrzebujących: to jest owo miłosierdzie Chrystusowe, które powinno być prawidłem naszego życia. Są oczywiście osoby, nie mające czasu, ani możliwości opuszczania swoich najbliższych, rodzinnych obowiązków i muszą poprzestać na wspomaganie tej biedy, którą napotkają; ci wypełniają całkowicie swoją powinność chrześcijańską, czyniąc tyle dobrego, ile mogą w swoim kółku. Ale są tacy, i jest ich wielu, którzy mają czas i środki, by iść śladem Chrystusowym, szukać owiec zaginionych. Dla tych obowiązków jest jasny. Głos Chrystusa nawołuje ich, by porzucili bezmyślne rozmowy, samolubne rozrywki, a szli za Nim — szli tam, gdzie się gnieździ występki, ciemnota i bolesć, aby wybawiać owieczki zbłąkane. To jest droga pracy apostołskiej, oczekująca tych wielu, którzy mają czas i możność na nią wstąpić; a w znacznej mierze, powinno to być apostołstwo ludzi świeckich. Człowiek świecki bowiem, ma często ułatwienia, których brak kapłanowi. Styka się on częściej i bliżej w życiu codziennym ze swymi współobywatelami; ma wiele sposobności, by ich lepiej poznać; przemawia do nich ich własnym językiem, jak równy do równych, i tem łatwiej przekonywa. Stąd wpływ jego działa na innej drodze, jak wpływ kapłański, a w wielu wypadkach, zwłaszcza na przeciętnego człowieka, działa skuteczniej. Dodajmy, że w tej apostołskiej pracy ludzi świeckich, bardzo ważna rola, odrębna od roli ludzi niezależnych i bogatych, spada na robotników i robotnice. Jeżeli nasz angielski robotnik da się kiedy nawrócić do prawdziwego bogobojnego życia i do szczerzej chrześcijańskiej wiary, stanie się to, przede wszystkim, za wpływem ludzi z jego własnej sfery, tych mężczyzn i kobiet, którzy jak on dźwigają ciężar i upalenie dnia, a którzy swoje ciężkie i pracowite życie umieją podnieść i uszlachetnić, opierając je na zdrowych, chrześcijańskich zasadach. Najnaglejszą potrzebą chwili obecnej jest zgromadzić, uszykować tę armię pracowników chrześcijańskich, którzy w pocie czoła zdobywają swój chleb codzienny. Bogaci i możni mogą wie-

le zdziałać na swoim polu, ale robotnik i robotnica dokażą więcej jeszcze. Nie mogę tu obszerniej rozwijać tej myśli, trzeba mi bowiem wprzód przedstawić, jaką wogóle powinna być praca społeczna, aby jej wpływ moralny i religijny na lud był trwały.

W pierwszym rządzie musimy stwierdzić, że daremny byłoby chcieć poprawić warunki życia swych bliźnich, dopóki nasze własne życie nie przystosuje się do zdrowych społecznych zasad. W apostołstwie społecznym, jak w każdym innym, poprawa musi się zaczynać od siebie samego. Na co się zda zakładać dobroczynne związki i starać się życie ubogich mas ludowych uczynić lżejszem, jeżeli w naszym prywatnym życiu kierujemy się samolubną i niesprawiedliwą zasadą? Niebyłoby, np. urągowskiem, gdyby człowiek bogaty fundował szpitale, a równocześnie wyzyskiwał pracę swych robotników i morzył głodem ich rodziny? Tę samą zasadę zastosować można do każdego rodzaju pracy społecznej. Na nic się nie przyda staranie o poprawę doli głodnych biedaków, jeżeli równocześnie nie usuniemy warunków pracy i zarobkowania, które ich w tę przepaść nędzy wtrącają. Zatem, pierwszą jest rzeczą, której mamy prawo żądać od tego, kto chce przyłożyć rękę do pracy społecznej, by w swem prywatnym postępowaniu kierował się zasadą ściślejszej sprawiedliwości i wyrozumiałości chrześcijańskiej; inaczej co jedną ręką zbuduje, to drugą sam zburzy. A ta sprawiedliwość i bratnia miłość nie mają być tylko jakimś nieokreślonym uczuciem, ale podstawą wszystkich jego czynności; na każdym kroku winien badać siebie samego, czy jego postępowanie z drugimi jest słuszne i rozważne i obliczać, jaki wpływ jego działalność wyrzuci na ich życie i ich powodzenie. Obaczmy, na przykład, jak ta filantropka, tak biorąca do serca sprawę społeczną, zachowuje się sama wobec szwaczki, która ją ubiera? Czy nie myśli tylko o tem, by suknia wypadła jak najtaniej, nie licząc się z wartością materyłu i ze sprawiedliwym ocenieniem pracy robotnicy? Jakże często także przynagla się robotnika do niemożliwego pośpiechu? Koniec końców, na dnie każdej krzywdy społecznej znajdziemy interes osobisty, samolubstwo i niepamięć na drugich; a kto uczeiwie chce pracować nad dobrem społecznym, musi najpierw w swoim własnym kółku te usterki usunąć.

Drugim warunkiem rzetelnej społecznej pracy jest, by by-

ła podjęta w duchu miłości i w poczuciu obowiązku. Zbyt często się zdarza, że niektóre osoby zapalają się do zadań społecznych, bez żadnych wyższych pobudek, a jedynie przez niepokojne pragnienie wrażeń i nowości. Odwiedzać ubogich i bawić się w reformatora, jest dla nich nową rozrywką; rzucają się więc z zapalem do działania, a po krótkim czasie, porzucają. Nie dziwnego, że postępowanie takich osób rzuca niekorzystne światło na pracę społeczną wogóle. Obchodzą one mieszkania ubogich, z podobnym uczuciem, jak ci, którzy chodzą do zoologicznego ogrodu, aby częstować zwierzątka biszkoktami i bawić się figlami tych stworzeń niższego gatunku. Gdy im się zabawka sprzykrzy, powracają do siebie, pozostawiając w duszach istot „niższego gatunku“ gorzkie uczucie krzywdy, obok wzdrgadliwego sądu o takich lekkomyślnych filantropach. Potępienie to sprawiedliwe: nie godzi się bowiem nikomu wkraczać w domowe i rodzinne życie bliźnich z innej pobudki, jak szczerze braterskie współczucie. Sumiennym społecznym pracownikiem jest tylko ten, kto się poczuwa do moralnego powinowactwa ze swym więcej upośledzonym bliźnim i do obowiązku, by z nim dzielić jego brzemię. Powinien uznawać, że życie drugich jest niejako częścią jego własnego życia i, że, świadcząc im pomoc, wypełnia jedynie prosty obowiązek miłowania bliźniego „jako siebie samego“. Dumna, łaskawie zniżająca się względność, lub pogardliwa litość byłyby zdrożnemi; tu jest miejsce jedynie na czystą miłość, na wzór Chrystusa, który stał się równy nam wszystkim, aby nas wszystkich zbawić. Jakaż była tajemnica głębokiego wpływu św. Wincentego á Paulo, jeżeli nie ta gorąca miłość, która sprawiała, że wchodził w położenie biednych i nieszczęśliwych, jakby ich los był jego własnym losem? To współczucie dawało mu głębokie zrozumienie ich potrzeb i uczyniło go prawdziwym ich przyjacielem i dobrodziejem. Tam, gdzie działa szczerą miłość bliźniego, dobry skutek jest niezawodny; bez niej, żadne dobre dzieło trwałem nie będzie. Zbawienne owoce zaś, będą obustronne: — zbierze je nietylko wspomagany, lecz i wspomagający. Bo praca, podjęta w miłości, rozszerzy serce, uszlachetni duszę pracownika — i zbogaci się stokrotnie tem, co rozdawał.

Ostatecznie, kto się chce poświęcić pracy społecznej, powinien zrozumieć, że praca skuteczna, owocna, ma źródło w głębi duszy i wymaga dojrzałej cnoty. Kapłan, który chce należycie

spełniać swe posłannictwo, winien rozwijać w sobie kapłańskie powołanie i kapłańskiego ducha; jeżeli tego zaniedba, niczego nie dokáže. Ta sama zasada odnosi się i do świeckich pracowników. Rzeczywistym celem całego społecznego działania jest moralne i religijne odrodzenie społeczeństwa ludzkiego; podniesienie ludzi z trybu życia zmysłowego, a często bydlęcego, do ludzkiego i duchowego. A jakież duchowy wpływ może wywierać człowiek, który o swój własny duchowy rozwój się nie troszczy? Działacz społeczny zatem musi być człowiekiem religijnym, w ścisłym znaczeniu słowa — t. j. dbać o zbawienie swej własnej duszy i uciekać się do Boga w modlitwie. Objawia się dziś niekiedy skłonność do uważania modlitwy za rzecz podrzędną w życiu religijnem. Niekiedy rzucają nam lekkim sercem twierdzenie, że: „praca jest najlepszą modlitwą“. Może to być w pewnej mierze prawdą, jeżeli praca pojęta jest szczerze w duchu bożym i na chwałę Boga. Ale jakże człowiek ma się przeniknąć duchem modlitwy, jeżeli od czasu do czasu nie odrywa się od trosk i kłopotów życia doczesnego, aby wejść w bezpośredni stosunek z Bogiem? Nasz Mistrz, Jezus Chrystus, usuwał się niekiedy od rzeszy, aby w ciszy i samotności modlić się do Ojca Swego. Ten przykład winien naśladować każdy, kto chce, na wzór Chrystusa, pracować dla dobra bliźnich.

Nie zapominajmy, iż wszelka siła do dobrego wyłącznie od Boga płynie, a kto chce być prawdziwym dobrodziejem ludzi, powinien utrzymać swój stosunek z Bogiem. Nawykniecie do modlitwy ustrzeże go też najlepiej od nietolerancyi i obłudy, tych głównych pokus, grożących wszystkim pracownikom w dziele publicznej reformy. „Boże, dziękuję Ci, że nie jestem, jak inni ludzie!“ — jakże często tę myśl faryzejską czytamy odbitą na twarzy rzekomych apostołów i reformatorów. Ale prawdziwy apostoł Chrystusowy jest prostego serca i pokornego ducha, zarówno jak cierpliwy i wytrwały, bo, obcując z ludźmi, ma ciągle Boga na myśli. Sumując w krótkości, co się powiedziało wyżej: każdy katolik winien brać udział w pracy nad szczerzeniem sprawiedliwości i miłości bratniej wśród ludzi, czy to drogą prawodawstwa, czy przez osobiste, dobrowolne wysiłki. Jest to obowiązek ogólny, ciążyący na wszystkich. Ale, poza tem, ci, którzy mają po temu większe środki i czas, są szczególnie powołani do pracy apostołskiej nad wydzwignięciem swych bliźnich, któ-

rzy bądź z własnej, bądź z cudzej winy zatracili w sobie obraz człowieka i chrześcijanina. Głos Chrystusa przywołuje zewsząd pracowników do tego żniwa; lecz kto chce pracować szczerze, musi to czynić w duchu Chrystusowym; musi swem własnem życiem głoszone zasady stwierdzać; musi z serca miłować tych, którym chce dobrze czynić; a przede wszystkim, musi stać ciągle w obliczu Boga i u Niego szukać siły i światła.

---

## Apostolstwo robotnika.

---

### I. Robotnik katolicki — misjonarzem.

---

Słyszemy ciągle, że wiek, w którym żyjemy, jest wiekiem misyjnym. Wątpić jednak można, czy większość ludzi rozumie, jakie obowiązki wiążą się z tem twierdzeniem. Zwolna rozpowszechnia się przekonanie, że wyłączną misją Kościoła katolickiego nie jest utrzymywanie w czystości wiary jego dzieci, lecz, że winien szerzyć ją także wśród tych, którzy nie mają jeszcze szczęścia należeć do jego owczarni. Smutny fakt odpadania od Kościoła tych biedaków, których odmęt życia porywa i usuwa z pod wpływu pasterzy, używany bywa jako argument, aby dowieść, że wszystkie wysiłki skierowane być winny ku ustrzeżeniu wiernych od apostazy. Zdrowszy pogląd na położenie, przekonałby nas, jak sądzę, że najpewniejszym środkiem zapobieżenia temu nieszczęściu byłoby, nawrócić wielką masę akatolików, wśród których nasi parafianie zmuszeni są przebywać. Dopóki garstka katolików rozproszona będzie wśród mnóstwa niewierzących, jak się to dzieje często, zwłaszcza w dzisiejszych czasach gorączkowego ruchu przemysłowego, odstępstwa będą nieuniknione. Bractwa i związki katolickie mogą częściowo tylko złe powstrzymać.

Poza tem, nie wolno nam zapominać, że Jezus Chrystus ustanowił swój Kościół dla wszystkich ludzi, a na nas, swych uczniów, nałożył święty obowiązek iść, opowiadać Jego Ewan-

gelię „wszystkim narodom“, aby wszystkich przywieść do poznania prawdy. Czy to w duchu samozachowawczym zatem, czy w celu spełnienia misji zleconej przez Pana i Mistrza naszego, Kościół nie może pozostać obojętnym na nędzę moralną tych tłumów, które jeszcze nie mają szczęścia do niego należeć. Na każdego z nas spada część tej odpowiedzialności: duchowni, i świeccy, ubodzy i bogaci, uczeni i prostaczkowie, wszyscy mamy swoją część pracy do spełnienia, pod kierunkiem naszych rządców duchownych. Obowiązek ten przypominał nam nader często w ostatnich latach Ojciec święty (Leon XIII), oraz nasz episkopat.

Obecnie zamierzam poruszyć tę sprawę, o tyle tylko, o ile dotyczy mas ludowych klasy ubogiej i robotniczej. Głos Ewangelii ma się odzywać do nich zarówno, jak do klas zamożnych i wykształconych. Dusza robotnika i pracownicy fabrycznej jest równie drogą w obliczu Boga, jak dusza milionera lub profesora uniwersytetu. Sprawa religii jednakże, przedstawia się pierwszym z innej strony, jak drugim<sup>1)</sup>— i na innej drodze robotnik dochodzi do poznania prawdy, niż człowiek wyżej w świat rzucony. Masy ludowe, jak powiedzieliśmy na innem miejscu<sup>1)</sup>, —sądzą o wpływie Kościoła po widocznie dobrych skutkach, jakie wywiera na warunki ich codziennego życia. Zostaną katolikami, jeżeli katolicyzm uszczęśliwi i uszlachetni ich życie; nie usuwając, rozumie się, całkowicie cierpienia i walki, ale łagodząc pierwsze, a walce o byt dając poparcie w zasadach sprawiedliwości i wszechludzkiego braterstwa. Kościół więc pociągnie ku sobie lud więcej przez działanie społeczne, niż przez teologiczne wykłady.

Otwiera się tu zatem nadzwyczaj szerokie pole pracy apostołskiej dla ludzi świeckich, i to pracy, w której każdy szczerzy katolik może brać udział, zarówno biedny jak bogaty; człowiek ciężkiej pracy, jak zawodów wolnych. Powodzenie tego apostołstwa zawisło zaś przedewszystkiem od należytego zrozumienia nauki Chrystusa i jej przepisów, dotyczących naszego życia codziennego, naszego stosunku do bliźnich, a więcej jeszcze do spełnienia tych przepisów w naszym własnem życiu.

Największem może utrudnieniem w nowoczesnem apostoł-

<sup>1)</sup> Obacz rozdział poprzedni: „Praca społeczna ze stanowiska religijnego.“

stwie jest rozpowszechnione pojęcie, że pracę nawracania różnowierców należy rozpocząć od wykładu dogmatów o jednym powszechnym Kościele, w którym wyłącznie można znaleźć zbawienie, albo o nieomylności papieskiej i o siedmiu Sakramentach. Ci, co tak sądzą, zapominają, że znajdują się umysły mało przygotowane, których wykład tych głębokich prawd nie poruszy i do Boga nie pociągnie, ale wyda się im tylko marnym, sekciarskim sporem. W ten sposób do nich przemawiać, byłoby to zaczynać budowę od dachu, zamiast od fundamentów. A jakież jest fundament, na którym rozwinać się może prosta i głęboka wiara, jeżeli nie obraz życia, opartego na chrześcijańskiej moralności? Pracujmy najpierw nad moralną poprawą ludzi, obudźmy w nich szacunek i cześć dla życia cnotliwego, a dusza ich otworzy się dla wiary, która jest cnoty mistrzynią. Umiłowanie chrześcijańskiej moralności, będzie najprostszą drogą do uznania i umiłowania chrześcijańskich dogmatów. Ale rozwijać prawdy wiary przed tymi, których serce nie otworzyło się jeszcze dla moralnych prawideł Kościoła, jest to zaczynać od końca. Najlepszym kluczem do zrozumienia dogmatów Kościoła, o ile je w tem nędznem życiu myślą ogarnąć zdołamy, jest chrześcijańska etyka: skoro ten klucz posiadziemy, całe bogactwo skarbów stanie nam otworem. Przez swoje moralne i społeczne zasady, Kościół najłatwiej znajduje drogę do serc i przekonań ludzkich; w każdym bowiem człowieku, który nie zatracił w sobie jeszcze całkowicie poczucia moralnego, tkwi instynktowne uwielbienie dla pięknych cnot: sprawiedliwości, poświęcenia, czystości duszy, słodyczy i innych przymiotów znamionujących prawego chrześcijanina, choćby sam tych cnot nie posiadał. Póki człowiek nie jest jeszcze do gruntu zdemoralizowany, żyje w nim utajone, wrodzone, chrześcijańskie poczucie—anima naturaliter Christiana—i budzi się w zetknięciu z chrześcijańską cnotą.

Zatem, nim zaczniemy przed prostaczkami rozwijać naukę o siedmiu Sakramentach i o jedności Kościoła, trzeba pierwszej pociągnąć ich obrazem pięknych i wzniosłych zasad moralnych, jakimi się Kościół rządzi w codziennych stosunkach życia, a następnie ukazać im związek między tą moralnością a dogmatami naszej wiary, z których ona czerpie całą swą siłę i żywotne soki. Wtedy, własnym popędem umiłują wiare, która tak podziwu godne rodzi owoce.

Pytam teraz: w jaki sposób moralne i społeczne zasady katolickie najłatwiej uprzytomnić tym szerokim masom robotniczym, którym brak czasu na teorię, bo ich tak straszliwie gniecie praktyczna strona życia? Stanie się to, gdy Kościół wykształci w samejże klasie robotczej zastęp mężów i niewiast wysokiej cnoty, którzy czynami więcej, jak apostołstwem słowa, zbudzą i powiodą do Chrystusa swych współbraci. Ta armia Chrystusowa musi, powtarzam, wyjść z klasy robotczej; po pierwsze dlatego, że Ewangelia zawsze tem skuteczniej przemawia do dusz, im przykład jest bliższy; powtóre, że uposledzony najłatwiej zrozumie uposledzonego, a wreszcie, że wytrwałe apostołskie działanie wymaga ciągłego zetknięcia się z sobą. Filantrop, który niesie biednym oświatę i poczucie piękna, uczyni wiele, aby ulżyć ich ciężkiej doli; ale najsilniejsza podnieta i najbliższa pomoc, żywy przykład, przyjść musi od równych im.

Zdaje mi się, że wśród pracy nad poprawą losu klas uposledzonych, nie dość bierzemy w rachubę zbawienny wpływ apostołstwa biednych wśród biednych. Nie zamierzam bynajmniej lekceważyć bardzo użytecznej i potrzebnej działalności klas wykształconych i zamożnych, działalności, w której nikt inny wyręczyłby ich nie zdołał. Utrzymywanie szkółek, czytelní, różnych kształcących związków, oraz nadzór nad niemi; odwiedzenie chorych, jednym słowem, pomoc wszelkiego rodzaju, jest konieczna. Samo zetknięcie się bogactwa z ubóstwem, przez pośrednictwo tych dobroczynnych działaczy, jest już owocodajnem zarówno dla wspomagającego, jak wspomaganego. Któż zgadnie ile dobrego zdziałać może przelotny nawet promyk światła, oświaty i piękna, padający na biedaka, skazanego na życie nędzne i ciężkie, jeżeli mu towarzyszy szczere współczucie i życzliwość? A z drugiej strony, dla ludzi bogatych, nie jestże zbawiennem zetknięcie się z twardą rzeczywistością życia ciężkiej pracy i ubóstwa? Gdyby było inaczej, wina musiałaby się w nich samych znajdować, w jakiejś moralnej ułomności duszy.

Osobiste świadczenia dla ubogich i nieszczęśliwych za pośrednictwem związków przemysłowych, społecznych, lub towarzyskich, przytułków i burs (tak zwanych w Anglii *settlements*), tudzież przez zapisywanie się na członków różnych dobroczynnych towarzystw, a przedewszystkiem przez odwiedzenie ubogich po domach, względem ich biedniejszych bliźnich, są to

wszystko skuteczne sposoby podniesienia moralnego poziomu ubogiej rzeszy, a w następstwie prowadzą ją do wiary i Boga.

Niemniej prawdą jest, że klasy ubogie i robocze w sobie samych, ostatecznie, znaleźć muszą zbawienie, że im je przyniesie wpływ i działanie biednych, jak oni, i z pracy rąk żyjących współbraci. Ich to przykład przedewszystkiem rozbudzi i podniesie masę ludową. Dlatego jedną z najnaglejszych dzisiaj potrzeb Kościoła jest, aby się znalazł wśród klasy robotniczej zastęp ludzi obu płci, szczerze i głęboko przejętych duchem chrześcijańskim, którzyby odważnie stawali w obronie swej wiary — nie przez religijne rozprawy — choć i takie dowody są potrzebne, w swoim czasie i miejscu — ale przez stwierdzanie swych przekonań całym życiem, opartem na wierze i nadziei, i trzymającym się stale zasad ewangelicznych, w każdej nawet drobnej codziennej czynności, — życiem, któreby było zwierciadłem chrześcijańskiej moralności, przekształcającej duszę człowieka. Taka, czynnie działająca, chrześcijańska armia robotnicza, stałaby się dla demokracji ową ewangeliczną solą, o której mówi Pismo, która jedna przyniesie jej zdoła zbawienie i odrodzenie.

Stworzenie i wyprowadzenie do boju takiej robotniczej armii, ma być zatem jednym z pierwszych zadań reformy społecznej. Rozciąganie opieki nad robotnikami i robotnicami, aby ich ustrzedz od zgubnych wpływów ich otoczenia i łączenie ich w katolicko - społeczne spółki i związki, aby ich odciągnąć od szynku i ulicy, jest dobrodziejstwem nieocenionem, ale jeszcze niewystarczającym. Powinniśmy w usiłowaniach naszych iść dalej i starać się całe życie naszych robotników katolickich podnieść i oprzeć na szerokiej moralnej podstawie, aby byli zdolni i sami nad sobą pracować i oddziaływać na towarzyszków. Jest wśród klasy robotniczej wielu takich, którzy potrzebują ciągłej opieki i czuwania: ale jest także wielu ludzi hartownego ducha i silnej woli, którzy pod umiejętnym i wytrwałym kierunkiem, stać się mogą znakomitą siłą społeczną i podjąć zadanie czynnego szerzenia wśród społeczeństwa nauki i zasad Kościoła.

## II. Konieczne warunki apostołstwa robotniczego.

Pierwszym warunkiem takiej apostołsko-społecznej działalności jest, by pracownicy widzieli i rozumieli dokładnie obecne położenie ekonomiczne ludzi swojej klasy. Bez tego nie może być mowy o skutecznej pracy; bo jakże może zdobyć zaufanie i wpływ na ludzi ten, kto nie zapoznał się gruntownie z warunkami ich bytu i z nimi nie współczuje? Ogólne uczucie politowania i poczuwania się do obowiązków chrześcijańskich jest dobre samo w sobie, ale nie wystarcza, by ująć w ręce kierunek ludowej sprawy. Jeśli zatem działanie nasze ma być prawdziwie dobroczynnem, potrzeba najpierw poznać dobrze obecne położenie klas roboczych, zarówno z ekonomicznego, jak z moralnego stanowiska. Potrzebę tę zrozumiwały dobrze stowarzyszenia katolickie w innych krajach, które też przeciwdziałają agitacyi socyalistycznej, starając się podnieść poziom umysłowy robotników i wykształcić to, cobyśmy nazwali sumieniem społecznem narodu. Na zebraniach urządzanych przez stowarzyszenia, najważniejsze zagadnienia moralne i ekonomiczne chwili obecnej poddawane są pod dyskusyę, wskutek czego członkowie ich zapoznani są dokładnie z teraźniejszym stanem spraw społecznych. We Francyi, nawet tak czysto duchowe stowarzyszenie, jak Trzeci Zakon świętego Franciszka, posiada osobne kółka dla zgłębiania kwestyj społecznych. Faktem jest bowiem, że niepodobna wyleczyć złego, którego objawów nie rozumiemy. Ogólnikowe frazesy o sprawiedliwości i miłosierdziu nie są skuteczną odpowiedzią na socyalistyczne sofizmaty. Tu potrzebne są czynne argumenta. Robotnik katolicki, który w widokach osobistych korzyści, poddaje się systemowi zarobkowemu, uznanemu za szkodliwy dla ogółu robotników, zasługuje na słuszny zarzut samolubstwa. Tak samo, jeżeli się odłącza od ogólnego ruchu, żądającego bardziej sprawiedliwych i ludzkich stosunków między pracodawcą a pracującym, łamie

solidarność i traci prawo do zaufania. Człowiek egoistyczny, gnuśny, lub marzyciel nie stojący na realnym gruncie nie zdobędzie nigdy szerokiego moralnego i religijnego wpływu na masy. Dokładne zapoznanie się z ogólnym położeniem i zarówno praktyczna jak serdeczna pomoc, są koniecznym warunkiem, aby apostołska działalność była skuteczną. Wiele osób religijnych zaś, zapoznaje ważność praktycznej i ekonomicznej strony życia i zapomina, że kwestye moralne są ściśle z ekonomicznymi zespolone. Jan Ruskin dowodzi w jednym ze swych pism, że charakter moralny narodu objawia się nawet w architekturze i, że naród o prawym i szczerym charakterze nie ma upodobania w lichych a błyskotliwych ozdobach. Z tem większą słusznością twierdzić możemy, że gdy w jakim kraju utrzymuje się stale system ekonomiczny krzywdzący i obciążający niesłusznie większość ludności, podczas, gdy niewielka liczba uprzywilejowanych ciągnie z niego wygórowane zyski, — jest to dowodem że w kraju tym przeważają w sprawach handlowych i przemysłowych zasady fałszywe i niesumienne. Aby to zło usunąć, trzeba się najpierw zapoznać ze zdrowymi ekonomicznymi zasadami i zgłębić miejscowe stosunki. Działając na oślep, pogarszalibyśmy tylko moralne zło, które pragniemy uleczyć, a które jest zawsze, mniej lub więcej, wynikiem fałszywych pojęć ekonomicznych i nieobeznania się z oddziaływaniem ich na życie codzienne warstw ludowych. W sprawie wychowania, w sprawach małżeńskich, potrzebna jest również koniecznie bliższa znajomość, zagadnień czekających rozwiązania. Dobrze to powstawać w ogólności na wychowanie bezwyznaniowe, ale jakże często ci, którzy to czynią nie rozumieją sami dobrze następstw takiego systemu wychowawczego i nie mają pojęcia w jaki sposób przezwyciężyć trudności praktyczne, uniemożliwiające poprawę? Czy nie ta nieznajomość jest właśnie przyczyną apatii wielu gorliwych nawet katolików w tej sprawie? A kwestya małżeńska, — najgroźniejsza może z tych, które w bliskim czasie, trzeba nam będzie rozwiązać, — jakże mało jest takich, którzy się zastanawiają nad jej różnymi, trudnymi do rozwikłania, objawami? Rosnąca ciągle liczba rozwodów i dobrowolnych separacyj między małżonkami, dowodzi, że zło zapuściło w społeczeństwie głęboko swe korzenie. Ale jakież są one? i gdzie leżą? Dopóki tych korzeni złego nie zbadamy, nie potrafimy zmniejszyć liczby rozwodów, oraz nieszczęśliwych, rozbitych

ognisk rodzinnych. W każdej więc rzeczy głębsza znajomość stosunków jest nieodzownym warunkiem poprawy.

Nie wynika stąd, żeby każdy robotnik czy robotnica mieli być biegli w ekonomii politycznej i być w możności rozprawiać o krzywdach społecznych wobec gromady słuchaczy; potrzeba tylko, aby w całej rzeszy katolickich robotników zapanowało zdrowe i gruntowne zrozumienie tych kwestyj, aby działanie zbiorowe mogło być zbawienne i skuteczne. Trzeba zatem rozbudzić u robotnika katolickiego szczerę zajęcie się wszystkim co dotyczy dobrobytu masy robotniczej. Nie powinien ustępować swemu współzawodnikowi, socjaliście, w zrozumieniu złych i dobrych stron systemów ekonomicznych, oraz niesprawiedliwości społecznych, jakie z nich mogą wynikać. Tak jest, apostoł Chrystusów musi zarówno, jak agitator socjalistyczny, znać świat, wśród którego żyje, aby mógł pracować z dobrym skutkiem.

Drugim koniecznym warunkiem tego aposolstwa jest, by ludzie, którzy mu się chcą oddać, rozumieli dobrze swoje prawa, zarówno jak swoje obowiązki. Tylko ludzie, którzy mają poczucie swych praw, rozumieją do czego ich obowiązuje ich godność i stanowisko. Poczucie godności osobistej jest nierozłączne z poczuciem odpowiedzialności; ale, aby uznać swą odpowiedzialność trzeba znać swoje prawa. Niewolnik nie poczuwa się do żadnego obowiązku, bo wolności nie posiada. Największą może krzywdą wyrządzoną religii, było szeroko rozpowszechnione pojęcie, że Chrystyanizm, a przynajmniej katolicyzm nakłada na swych wyznawców obowiązki z ujmą ich praw. Twierdzenie to jest fałszywe, już z tej prostej przyczyny, że żaden obowiązek nie może istnieć inaczej, jak w związku z jakimś przyrodzonym prawem. Jeżeli człowiek ma do spełnienia jaki obowiązek, wynika stąd samo z siebie, że ma także prawa, których się może słusznie domagać. Owszem, istnieją prawa, których nam się zrzekać nie wolno. Jak to papież, Leon XIII, stwierdził w swej Encyklice „*Rerum Novarum*“, jest dla człowieka obowiązkiem sumienia dopominać się o te prawa, od których zawisł rozwój władz jego duszy i umysłu. Nie powinien zrzekać się dobrowolnie niczego, co jest konieczne dla otrzymania i rozwoju jego ludzkiej godności. „Nikt — mówi Ojciec św. — nie ma prawa znieważać bezkarnie tej godności ludzkiej, którą sam Bóg szanuje, ani zagrażać ludziom drogi do tego wyższego życia ducho-

wego, które jest przygotowaniem do wiecznego żywota w niebie. Co więcej, żaden człowiek sobą samym w tych rzeczach nie może rozrządzać. Nie wolno mu poddawać się dobrowolnie zarządzeniom, które go odwodzą od celu, dla którego był stworzony; nie wolno mu oddawać w niewolę swej duszy, bo nie ludzkie prawa tu wchodzą w grę, lecz Boskie—najsświętsze i najbardziej nietykalne ze wszystkich praw. Obowiązkiem więc jest rozbudzać w człowieku głębokie poczucie praw, jakie mu przynależą jako człowiekowi i jako chrześcijaninowi, bo, według słów Ojca św. „nie nasze własne prawa tu wchodzą w grę, lecz prawa Boga“, przed którym każdy człowiek winien zdać rachunek z dóbr duchowych, jakie mu były zlecone.

Ale, podczas gdy są tacy, którzy zdają się mniemać, że ludzie ani praw, ani obowiązków żadnych nie mają, jest podobno znacznie większa liczba takich, którzy sądzą, że ludzie mają tylko prawa, nie mają zaś wcale obowiązków. Może ci ostatni byliby mniej skorzy do występowania ze swojemi prawami, gdyby wspomnieli, że każde prawo jest zrównoważone pewną odpowiedzialnością i że godność człowieka więcej zawisła na poważnem poczuciu swej odpowiedzialności, niż na natarczywem upominaniu się o swe prawa. Prawu towarzyszy zawsze obowiązek; gdyby człowiek, np. otrzymał dożywotnią pensję, obowiązanym jest obrócić ją na cel użyteczny i godziwy; na zaspokojenie potrzeb swych blizkich, lub zabezpieczenie się na czarną godzinę. Gdy otrzyma skrócenie godzin pracy, nie powinien wolnych chwil spędzać na próżniactwie, lub co gorzej, na swawoli, ale na zdrowych dla duszy i ciała rozrywkach. Człowiek, który chwile wypoczynku przepędza w szynku lub w innych miejscach rozpusty, traci tem samem do wypoczynku prawo.

W istocie niema dla społeczeństwa demokratycznego więcej groźnego niebezpieczeństwa, jak ogólny brak poczucia obowiązku, bez którego ludzie uczciwie i po chrześcijańsku żyć nie mogą. Nic tak nie demoralizuje ludzi, jak domaganie się praw, bez poczuwania się do obowiązków; w tem jest podstawa samolubstwa, a tem samem źródło wszelkiego złego, jakie nurtuje społeczeństwo ludzkie. Światu potrzeba mężczyzn i niewiast, którzy, rozumiejąc swe prawa, mieliby zarazem żywe poczucie swych powinności, a pamiętając o tem, co społeczeństwo im winno, jeszcze więcej troszczyli się o to, co sami winni drugim.

W pogłębieniu, a częstokroć w rozbudzeniu dopiero tego poczucia odpowiedzialności, spoczywa główne zadanie Kościoła. Praw ludzkich strzedz powinien, szerzyć nawet ich zrozumienie;—ale tych praw ludzie sami chętnie poszukują, a coraz nowe wynajdywać są skłonni,—natomiast mniej skorzy są w uznawaniu swych powinności.

### III. Obowiązki chrześcijańskich robotników w czasach obecnych.

Przystępujemy tedy do jądra kwestyj: jakie w najszerszym pojęciu są obowiązki robotnika i robotnicy, na które w obecnym czasie głównie należy zwrócić uwagę? Odpowiedź na to pytanie będzie zarazem określeniem warunków apostołstwa robotniczego; bo ten tylko może być prawdziwym chrześcijańskim apostołem, którego życie jest wizerunkiem cnotliwego chrześcijańskiego żywota.

Obowiązki te określimy, starym katechizmowym obyczajem, jako: obowiązki względem Boga, bliźniego i siebie samego.

Zaczynając od tego, co człowiek winien sobie samemu, stawiamy na pierwszym miejscu: poszanowanie swej godności. Nikt nie może zasłużyć na szacunek u bliźnich, jeżeli sam siebie nie szanuje i nie daje baczenia na swoje myśli, słowa i uczynki. O ile człowiek czuwa nad własną godnością, o tyle stawia się wyżej w oczach drugich. Człowiek, który w ubraniu, ruchach, lub mowie wykracza przeciw obyczajności, niema prawa żądać, aby go ludzie poważali. Kto się zniża do nizeczemnego podstępu, lub płaskiego figla, daje dowód niskiego umysłu i samowolnie prawo swoje do szacunku traci. Jest zaś pierwszorzędną zasadą moralną, że człowiek grzeszy przeciw samemu sobie, ilekroć, choćby w drobnej rzeczy, poniża swoją godność, która jest znamieniem i przywilejem każdej ludzkiej istoty. Dla tego niechlujstwo np., jest złem samo w sobie, chociaż nikomu

krzywdy nie wyrządza; to samo powiedzieć można o pijaństwie i o wszelkich innych przywarach, które wnoszą zepsucie i skażenie w życie człowieka i poniżają go do rzędu zwierząt. Są wykroczenia więcej rażące, jak np. pijaństwo i nałogowe kłamstwo, ale kto raz stracił szacunek dla siebie samego, łatwo zsuwa się po pochyłości coraz niżej i nigdy nie można ręczyć, że ten, kto dziś jest tylko nieochędożny, gdy się nawinie pokusa, nie zostanie pijakiem. Dla tego człowiek winien strzedz się wszystkiego, co mogłoby naruszyć jego godność ludzką, to pierwszorzędne dobro i nie poddawać się dobrowolnie takim warunkom bytu, które musiałyby go poniżyć. Ochędostwo w ubiorze, świeże powietrze w mieszkaniu, mają nietylko zdrowotną, ale i moralną wartość, jako objawy poszanowania siebie samego; toż samo da się powiedzieć o oszczędności, która nie dopuści nam popaść w poniżającą zależność od drugich.

Idąc dalej, powiemy, że żaden człowiek, nawet w najniższej sferze społecznej, nie powinien nigdy zatracać swej moralnej i duchowej cechy, która jest miarą naszej wartości wobec Boga. Ludzie czasem mówią o „ludzkiej“ i o „duchowej“ stronie rzeczy, w taki sposób, jak gdyby te dwa pojęcia sprzeciwiały się sobie nawzajem, jak gdyby jedno wykluczało drugie; podczas, gdy faktem jest, że właśnie człowiek duchowy jest najdoskonalszym typem człowieka. Przeciwnieństwem duchowego nie jest to, co ludzkie, ale to, co brutalne i zwierzęce; a człowiek, który nie umiał w należytej mierze rozwinąć władz swej duszy, spada niżej poziomu ludzkiego i zbliża się do zwierząt. Zatem kształcenie swych władz duchowych, umysłu i poczucia moralnego, jest jednym z pierwszych obowiązków człowieka względem siebie samego i względem Boga, który go stworzył. Musimy jednak zrobić tu pewne zastrzeżenie: kształcić swój umysł jest wprawdzie obowiązkiem, ale to nie oznacza, żeby człowiek obowiązany był zgłębiać wszystkie gałęzie nauk; bywa uczość bez celu i pożytku, która szkodę tylko przynosi. Miara nauki, jaką człowiek powinien się starać nabyć, jest ograniczona jego powołaniem w życiu. Przypomnieć tu jeszcze trzeba, że o doskonałości człowieka stanowi jego charakter, nie zalety umysłowe; szerszy widnokrąg umysłu wpływa tylko na wyrobienie charakteru. Otóż, charakter kształci się raczej pod wpływem wyższego rozumu, niż nauki. Nauka często może spaczyć umysł, jak się to trafia, zwłaszcza tym, którzy poświęcają się

wyłącznie jednej gałęzi nauk, z wykluczeniem innych; w pewnych razach natomiast, rozwija umysł i przyzwyczajają go wznosić się nad drobiazgowy szczegóły. Wpływ nauki zatem może oddziaływać na charakter bądź dodatnio, bądź ujemnie; stąd obowiązek kształcenia umysłu jest ograniczony, nie tylko przez powołanie lub zawód, ale także przez wymagania charakteru danego osobnika. Są ludzie, których władze duchowe potrzebują być wzmocnione przez pewien zasób wiadomości naukowych; podczas, gdy inni mają z natury tak zdrowy i jasny pogląd na życie, że specjalne badania mniej im są potrzebne. Jedyną ogólną zasadą zatem, jaką postawić możemy, jest, że nie-uctwo, poniżające człowieka, krępujące działanie jego władz moralnych, nie dopuszcza rozwoju samodzielnego charakteru, jest zawsze złem, które przez pracę i właściwe ćwiczenie umysłu należy usunąć; oraz, że człowiek obowiązany jest w sumieniu starać się o nabycie tych specjalnych wiadomości, które mu są potrzebne do wypełnienia powołania, jakie mu w życiu przypadło w udziale.

Praca nad rozwinięciem naszego zmysłu moralnego jest jeszcze ważniejszą i potrzebniejszą. W stosunkach społecznych, wśród jakich znajdować się musimy, zmysł moralny łatwo się traci. Zamęt, niepokój i nerwowe naprężenie, w jakim żyjemy, prowadzą za sobą wyczerpanie moralne, wstępną do wszelkich krępujących reguł i swawolę zmysłów, co wszystko działa zabójczo na zdrowie duszy. W ciężkiej walce o byt, wpośród krzyżujących się egoizmów, trudno utrzymać ducha bezinteresowności; w świecie, gdzie każdy musi się bronić przeciw wszystkim, trzeba mocy nad sobą, żeby się zdobyć na samą chęć postępowania z drugimi tak, jakbyśmy pragnęli, żeby oni postępowali z nami. Daleko łatwiej jest odwrócić zasadę i czynić bliźniemu to, co on nam czyni. Trzeba się z trudem przepychać przez tłum, aby nie zostać wypchniętym — a zatem: każdy dla siebie! A zasady moralne puszcza się na wiatr. Tłum z natury jest brutalny; w stosunkach zaś, w jakich dziś żyjemy, coraz trudniej usunąć się od tłumu. Dlatego przedewszystkiem potrzeba nam utrwalić dobrze w swem sumieniu te główne zasady postępowania, któremi każdy prawy chrześcijanin rządzić się winien w życiu, zasady których krótkie streszczenie mamy w „Ośmiu Błogosławieństwach“: „Błogosławieni ubodzy duchem“ ci nad którymi nie panuje żądza dóbr i rozkoszy ziemskich.—

„Błogosławieni czystego serca“ — „Błogosławieni cisi“, „Błogosławieni, którzy cierpią prześladowanie dla sprawiedliwości“ i tak dalej; — reguła życia, którą trudno bardzo utrzymać wśród naciskającego nas zewsząd tłumu, ale która jest prawem zostawionem nam przez naszego Mistrza i Pana. Wyznanie wiary zbyt często czynione bywa lekkim sercem.

Czy wielu znajdziemy między tymi, co się przyznają wogóle do ducha Ewangelii, którzy chcieliby wyżej przytoczone słowa Boskie wziąć szczerze i poważnie za prawo swego codziennego postępowania? Jest ogólne przekonanie, jakoby te wzniosłe słowa z praktyką życia pogodzić się nie dały; jakoby „ubóstwo ducha“ dobre było przy pacierzu, ale całkiem nie na swoim miejscu wpośród trudu i walki życia. Nie dosyć, że ludzie nie umieją się trzymać wytrwale nauki Chrystusa, ale co więcej, nie biorą tej sprawy wcale poważnie do serca, chociaż poczytywaliby sobie za zniewagę, gdyby im kto zaprzeczał prawa zwać się „chrześcijaninami“. Uspodobienie takie dowodzi braku szczerych i silnych przekonań, co jest znamieniem głębokiego upadku charakterów. Podstawą prawego charakteru jest, by człowiek był szczery wobec siebie samego. Człowiek wierny w głębi serca prawdziwie uznanej za taką, człowiek niezdolny do fałszywej uległości dla nauki o prawdzie, której nie jest przekonany, a który równocześnie bacznie prawdy szuka, aby się nie dać obłąkać, — taki tylko człowiek zdolny jest wznieść się do wyżyn bohaterskiej cnoty. Ale człowiek, któremu brak szczerości, jest zawsze w głębi serca, mniej lub więcej, niemoralnym. Nawet jego cnoty są bądź obłudą, bądź prostą przyzwoitością dla oka ludzkiego. Szczerość i prawosć duszy jest więc cnotą, o którą przedewszystkiem starać się należy; tylko na gruncie szczerości może się z czasem wyrobić doskonały moralny charakter, bo szczerość jest podstawą wszelkiej doskonałości. Stąd, doskonały chrześcijanin powinien posiadać wszystkie przymioty, które są znamieniem prawej duszy: powinien być prawdomówny, otwarty, uczciwy, wierny w słowie i budujący bliźnich swym przykładem. W swem dążeniu w górę na drodze cnoty może się czasem zachwiać, może się potknąć, ale będzie to upadek Piotra, nie zdrada Judasza. Gdy zapagniemy wychować religijne pokolenie ludzi, nie zapominajmy, że da się to wykonać tylko na podstawie szczerości i prawdy. A jeśli ta zasada odnosi się do wszystkich ludzi, w jakiejbądź klasie społecznej, szczególniejszo-

sować ją wypada do klasy robotniczej, którą warunki jej bytu narażają na częstsze pokusy fałszu i nieuczciwości, pociągające za sobą obniżenie moralnej wartości człowieka.

Niepodobna zakończyć tych uwag o obowiązkach człowieka względem siebie samego, nie wspominając o tej zakale klasy robotniczej, jaką jest pijaństwo. Nie dla tego, żeby pijaństwo było grzechem obciążającym wyłącznie robotnika, — lecz, że jest ono, więcej niż każde inne nadużycie, źródłem jego nędzy. Są tacy, którzy jedyne lekarstwo na to zło widzą w całkowitem powstrzymaniu się od gorących trunków. Niewątpliwie bywają okoliczności, gdy zupełna abstynencya jest obowiązkiem nie tylko dla pijaka, ale obowiązkiem miłości chrześcijańskiej dla jego sąsiadów, chcących go ustrzedz przed pokusą. Jest to jednak lekarstwo heroiczne, którego niemożna postawić jako ogólne prawidło. Ale ścisła wstrzemięźliwość, umiarkowana istotną potrzebą używania podniecających napojów i strzeżenie się zamięłowania trunku dla trunku, jest prostym prawem moralnym, obowiązującym każdego szanującego się człowieka. Kwestya wstrzemięźliwości jest koniec końców, tylko kwestyą ustrzeżenia słabszych natur od pokusy; może być zaś rozwiązana ostatecznie tylko wtedy, gdy cały ogół, przez miłość bliźniego, podda się prawu wstrzemięźliwości. Najskuteczniejszym lekarstwem jest ścisłe umiarkowanie zachowywane dla przykładu, przez człowieka nie będącego pijakiem. Przestrzeganie tej reguły ma być jednym z najważniejszych warunków apostołstwa robotniczego.

Jeżeli teraz przejdziemy do rozważania obowiązków robotnika względem bliźnich, stają od razu przed nami dwie ważne i naglące sprawy: — sprawa stosunków rodzinnych i sprawa stosunków ze współrobotnikami. Poszanowanie związków małżeńskich i życia rodzinnego jest najlepszą miarą moralnego zdrowia danego narodu. Naród, który węzeł małżeński uważa za świętość nienaruszalną i takimże urokiem świętości otacza cały stosunek małżonków do siebie wzajem, oraz do swych dzieci, — posiada niezaprzeczenie silne moralne podstawy. Najmniejsze rozluźnienie tych stosunków, jest już znamieniem moralnego upadku. To też, gdy spoglądamy dokoła siebie, na świat, który nas otacza, trudno nam się oprzeć uczuciu troski, spostrzegając, jak poważanie małżeństwa coraz bardziej zanika, jak gdyby ono było tylko umową cywilną, zawartą dla korzyści doczesnych i chwilowego interesu. Dowód tego znajdujemy nie tylko w mno-

żących się rozwodach, ale w braku tego poczucia rodzinnego, które dom małżeński czyni skarbnicą zacnej i prawej miłości, oraz ostoją wysokiego moralnego ducha. W istocie, dom w którym mąż i żona, rodzice i dzieci znajdują wspólne ognisko swych myśli i uczuć, jest świętem gniazdem z jakiego wyrasta całe życie społeczne. Nasze życie dzisiejsze, ruchliwe, niespokojne, zamętem rozlicznych interesów rozrywane, musi niekorzystnie oddziaływać na ciszę domowego ogniska; rodzina częściej niż dawniej znajduje się w rozłące; w miastach handlowych i przemysłowych, wspólne życie domowe trudniej jest utrzymać niż w chatkach wiejskich. Często i łatwa sposobność do rozrywek i uciech światowych wnosi również rozstrój w życie rodzinne. A silniej niż wszystkie te wpływy działa wybujałość indywidualnych charakterów, skłonności i upodobań, które w terażniejszych stosunkach społecznych coraz mniej się kępują. Łatwo to narzekać na okoliczności, w których żyjemy i ludzie aż nadto są skłonni przeważną część swej winy na nie zwałać; lecz najpewniejszym dowodem męźkości charakteru jest właśnie opierać się okolicznościom, które nam stają w drodze. Nie możemy powstrzymać rozwoju welkich handlowych środowisk, ani kępować skłonności ludzi do szukania szerszego życia poza domem; a te rzeczy nie są nawet same w sobie bezwarunkowo złe. Zbytne domatorstwo osłabia często męźkość charakteru. Ale, co każdy człowiek może i powinien uczynić, to przejąć się mocno swymi obowiązkami względem tych, z którymi jego życie jest najściślej związane. W chrześcijańskim pojęciu małżeństwa, mąż i żona powinni się wspierać wzajemnie na drodze życia — a to zarówno w duchowym i moralnym, jak w materyalnym pojęciu. Obowiązkiem męża jest nie tylko pamiętać o utrzymaniu i wyżywieniu żony, ale strzedz ją od szkody na duszy. A żony najpierwszą powinnością jest starać się wywierać na męża wpływ zbawienny i umoralniający. Wobec Boga, te dwa życia są nierozłącznie z sobą zespolone i żadnemu z nich nie wolno szukać korzyści lub uciechy osobistej oddzielnie od drugiego. Nierozzerwalność małżeństwa sięga głębiej, niż stosunek prawny; oznacza ona ścisły i trwały związek moralny i duchowy dwóch dusz na całe życie, jak węzeł łączący Chrystusa z Kościołem.

Uznanie tej świętej prawdy jest jedynym lekarstwem na rozstrój, jaki zakradł się wogóle w stosunki małżeńskie. Stąd

najpierwszym dziś społecznym obowiązkiem robotnika jest, nie pozwolić naruszyć w swej własnej rodzinie tej wzniosłej chrześcijańskiej zasady małżeństwa, aby jego ognisko domowe mogło być otoczone taką czcią, jaka się należy Kościołowi. Chlubą jego zarówno, jak powinnością ma być, aby jego domek, aczkolwiek skromny, nosił i zewnętrzne piętno zacnego w obliczu Boga, życia jego mieszkańców. Dom brudny, niechlujny, nie jest właściwym otoczeniem dla uczciwego małżeńskiego stadła, ale raczej zniewagą tak świętego związku. Każdy dom chrześcijański samą swą czystością i porządkiem powinien świadczyć o wzajemnym małżonków dla siebie szacunku i troskliwości. A jednakże, jak często widzimy, że domownicy i dzieci są zaniedbywani, głodzeni i niezaopatrzeni, podczas gdy jedno lub drugie z małżonków trwoni pieniądze na stroje i osobiste zbytki. Jest to jaskrawy przykład samolubstwa, będącego w gruncie najpierwszą przyczyną domowej niezgody i niedoli. Zamiast myśleć jedno o drugim, mąż i żona zajmują się każde swoją własną osobą; a tak połączeni prawnie, są moralnie rozłączeni i żyją każde oddzielnie swoim własnym życiem.

Co się powiedziało o wzajemnym stosunku męża z żoną, może być w wielkiej mierze zastosowane do węzłów łączących rodziców z dziećmi. To pokrewieństwo również nie ma być prostym, zwierzęcym pociągami zwierzęcia, ku swemu potomstwu, ale ma znaczenie moralne i duchowe. Rodzice wobec dziecka mają spełniać niejako kapłański obowiązek kształcenia jego duszy i serca, a gdy tego zaniedbują, uchylają najświętszym swym rodzicielskim obowiązkom. Z drugiej strony, dzieciom najprostsze prawo natury przykazuje dawać rodzicom wszelką pomoc, na jaką ich stać, gdyby się okazała tego potrzeba; a zawsze i wszędzie okazywać im tę miłość, która jest dla rodziców największą życia radością. A jednak dzieci nazbyt są skłonne zrzucić z siebie brzemień ciężących nań obowiązków, gdy już same do walki życiowej dorosły, i pozostawić rodziców ich własnemu losowi, jak gdyby wszelki węzeł był zerwany z chwilą, gdy dziecko stanie o własnych siłach. A tak, już w pierwszym zaraniu młodości, gdy charakter zaczyna się dopiero kształcić i wyrabiać w zetknięciu ze światem i ludźmi, zatracą się to poczucie wierności obowiązkom i należnego ludziom szacunku i poważania, bez których żaden człowiek swego powołania w życiu doskonale nie spełni. Wielką to jest prawdą, że

podstawą społeczeństwa jest rodzina, a ognisko domowe sercem narodu. Gdy godność i świętość tych najpierwszych węzłów ludzkich zdepczemy, społeczeństwo i moralnie i materyalnie się rozpadnie.

Drugą osią, około której obracają się obowiązki robotnika względem bliźnich, są stosunki ze współtowarzyszami. W dzisiejszym robotniku zacierą się nader rychło jego osobista indywidualność, a staje się tylko członkiem jednej wielkiej społeczności; siła okoliczności zmusza go przystosowywać się do ludzi swej klasy i swego rzemiosła. Pracodawcy nie zawierają już umów z osobnikami, ale ze związkami robotniczymi. A nawet gdy robotnik do żadnego związku nie należy, czuje się niejako pod przymusem moralnym popierania tych, którzy na równi z nim zarabiają na życie. Instynkt zachowawczy zmusił ludzi skupiać się, aby bronić skutecznie swych praw.

Otóż, poza obowiązkami życia rodzinnego, nie tak gruntownie nie wpływa na ukształcenie charakteru robotnika, jak świadomość, że jest członkiem wielkiego zjednoczenia robotniczego. Wyrobiło to w nim niezaprzeczenie większą niezależność charakteru i większe poczucie godności osobistej; uczyniło życie jego lżejszem i znośniejszem; przyniosło wyzwolenie wielkiej liczbie, słuszenie tak nazwanych, białych niewolników. Żadne gorsze nieszczęście nie mogłoby spaść na klasę robotniczą, jak gdyby miała wrócić do tego stanu rozproszenia i bezsilności, z jakiego ją związki robotnicze wyzwoliły. Ale równocześnie coraz bardziej się uwidocznia, że to prawo łączenia się w związki, jak każde inne prawo, może się stać jawnem bezprawiem, jeżeli nie będzie poddane pewnym słusznym ograniczeniom i jeżeli obowiązki z niem związane, nie będą przestrzegane. Żadna klasa ludzi nie ma prawa zmawiać się w celu popełnienia niesprawiedliwości; a skoro ludzie dopominają się o swe prawa, muszą równocześnie przyjąć obowiązki, jakie z tych praw wypływają. Sprawiedliwym celem związków robotniczych jest zabezpieczenie słusznej zapłaty i niezbyt obciążających godzin pracy, oraz innych warunków, łagodzących dolę pracowników. Nie wolno im nigdy używać swej siły przeciw słusznym prawom pracodawcy i względom jemu należnym; a gdy taka napaść jest zamierzona, sumienny członek związku powinien się od niej usunąć. Co więcej, jak każdy poszczególny człowiek obowiązany jest, ile w jego mocy, utrzymywać uprzejme i przyjazne stosunki z pra-

codawcą, tak i związek odpowiedzialny jest za wszelkie, z jego winy, naruszenie tych dobrych stosunków. Godziwym celem każdego zjednoczenia jest w pierwszym rzędzie, wymódz dla swych członków, co się im sprawiedliwie należy; ale te bliższe obowiązki dla zjednoczonych w stowarzyszeniu, nie uwalniają nikogo od ogólnego obowiązku powszechnej miłości bliźniego. Robotnik katolicki zatem ma dwustronny obowiązek. Z jednej strony winien wiernie popierać swych współtowarzyszów w żądaniu ludzkich warunków pracy, opierając się stale wspólnie z nimi każdej niesprawiedliwości, połączonej z ich krzywdą i poniżeniem. Nie wolno mu więc zgodzić się dobrowolnie na niesłusznie niską zapłatę, gdy stąd mogłaby w następstwie wyniknąć taka sama krzywda dla drugich. I wogóle mówiąc, powinien popierać solidarnie działanie swego związku, czy cechu, ile ma na celu dobro powszechne wszystkich robotników. Inne postępowanie byłoby brzydkim samolubstwem, niegodnym prawego chrześcijanina. Trzeba jednak mieć tę cywilną odwagę, by się odsunąć od każdej akcji, pociągającej za sobą niesprawiedliwość względem innych klas; trzeba owszem wykorzystać wpływ, jaki kto może posiadać, aby popierać uczciwe i życzliwe postępowanie wobec każdego. Jednym z moralnych niebezpieczeństw przywiązanych do wszystkich związków robotniczych jest, że jednostki, czując jaką siłę dają im wspólne działanie, wiedząc, że w razie sporu z pracodawcą, mają pewność poparcia od swoich, łatwo opuszczają się w pracy i w dopełnianiu zobowiązań, oddając lichą robotę za dobrą płacę. Niestety, związki musiały nieraz już dźwigać nie małą część odpowiedzialności, za zarzuty, dosięgające nieuczciwych robotników. Było to słuszne: bo jeżeli związki robotnicze przyznają sobie władzę strzeżenia praw swych członków, prosta uczciwość wymaga, by przestrzegały również, aby ich członkowie dopełniali swoich powinności. Każdy związek, który tego nie czyni, jest w zasadzie niemoralny: bo zawsze jest niemoralnem odłączać prawa od obowiązków. Stąd katolik, będący członkiem jakiego zjednoczenia, jest w sumieniu swem obowiązany wpływać na to, by związek, do którego należy, żądał zawsze uczciwego wypełniania obowiązków od robotników, którzy się pod jego opiekę garną. Prawy katolik nie powinien nawet wcale należeć do związku, który stale tę powinność zaniedbuje. Sumienna zapłata pociąga za sobą warunek sumiennej pracy, i nikt ani osobiście, ani zbiorowo, nie ma pra-

wa domagać się zapłaty, nie będąc gotowym oddać za nią odpowiedniej wartości pracę. Inne postępowanie byłoby oczywistą i prostą nieuczciwością.

A teraz rozważmy obowiązki robotnika względem Boga. Zbyteczne przypominać, że każdy obowiązek ma swe pierwotne źródło w woli Bożej, którą Bóg człowiekowi objawia bądź na drodze przyrodzonej, bądź na nadprzyrodzonej. Jeżeli człowiek winien sobie samemu poszanowanie swej godności, to dla tego, że tak chce Pan Bóg. Człowiek nie jest w niczem panem siebie samego; życie otrzymał od Stwórcy i przed Nim z tego życia ma zdać rachunek; nie wolno mu sobą rozrządzać inaczej, jak pod wolą Bożą. A tak każdy obowiązek człowieka jest ostatecznie, choćby pośrednio, obowiązkiem względem Boga. Więc jeżeli mówimy o obowiązkach wprost względem Boga, oddzielnie od obowiązków względem bliźnich i względem siebie samych, rozumiemy przez to obowiązki, jakie wypływają z osobistego stosunku człowieka z Bogiem, które stanowią to, co się oznacza właściwem mianem: religii. Nie możemy służyć Bogu nie szanując siebie samych i nie miłując bliźniego; ale pod służbą Bożą rozumieją się obowiązki sięgające dalej niż to, co winniśmy bliźnim i sobie samym. Władza Boża nad nami jest bezpośrednia, całkiem niezawisła od żadnych stosunków ludzkich, czy to osobiście, czy zbiorowo uważanych, a opiera się wyłącznie na prawie, jakie ma Bóg do świata, który On sam stworzył i sam odkupił. Świat cały z prawa najwyższego do Niego należy i toż samo da się powiedzieć o każdym z osobna stworzeniu.

A jeśli życie człowieka ogarnia wszystkie stosunki, wiążące go z innymi stworzeniami, życie to byłoby dziwnie niezupełnem, gdyby mu brakło najwyższego i najświętszego ze wszystkich węzłów, tego, który go łączyć powinien z samymże Dawcą życia. A jednak jest to właśnie stosunek, który przeważna większość ludzi w dzisiejszych czasach zupełnie pomija. Nawet między tymi, którzy uznają, że obowiązki ich dla bliźnich i dla siebie samych opierają się na prawie boskiem, — panuje ogólna niewiedomość, co więcej, zaprzeczenie wszelkich obowiązków, odnoszących się wprost do Boga. „Służyć ludziom, jest to służyć Bogu:“ niebezpieczna to zasada, bardzo nadużywana przez wielu współczesnych filantropów. Jest ona sprawiedliwą jeżeli ma oznaczać, że nie służymy dobrze Bogu, gdy zaniedbujemy obowiązki dla bliźnich; ale jest zgubną i fałszywą, gdy chcemy

twierdzić, że Bóg bezpośredniego prawa do naszych hołdów nie posiada. Ma On nad nami władzę osobistą, dla tego samego, że jest Bogiem i ma też władzę nad każdą jednostką wprost i niezależnie od stosunku jej do społeczeństwa. Każdy więc człowiek musi uznać, że stoi sam w obliczu Boga — Jemu samemu cześć winien.

Wielkiem złem i wielką klęską, dla klasy robotczej jest niewątpliwie tak ogólnie rozpowszechniona nieznajomość i nieuznanie tego stosunku człowieka wprost do jego Stwórcy — czyli po prostu mówiąc, brak wiary. Jest to faktem oczywistym, na który nie potrzeba dowodów, że klasa robotnicza w przeważnej części straciła zasady religijne. Jakże mała liczba robotników w wielkich miastach uczęszcza do kościołów, czy na jakiegobądź nabożeństwa, albo choćby w cichości klęknie do modlitwy! Mimo to wszystko jednak, śmiem twierdzić, że uczucia religijnego jest więcej w masach, niż się wogóle przypuszcza. Zrozumienia rzeczy wiary brak; ale w sercach ludu żyje jakieś tajemne poczucie, jakiś ogień tlejący, który trzeba dopiero rozżarzyć w płomień żywej i szczerzej wiary. Z tego to względu apostołstwo katolickiego robotnika jest tak poważną potrzebą. Jego powołaniem i zaszczytem zarazem będzie rozświetlić życie swych współbraci iskrą Bożej prawdy i obudzić w nich pragnienie tej boskiej nauki, bez której ono zostanie zawsze marnem i pozbawionem duchowej podstawy. Ale jak tego dokáže? W pierwszym rzędzie niewątpliwie przykładem własnym. Całe jego życie powinno być takim, aby ludzie, patrząc na nie, poczuli cześć dla wiary, która jest jego mistrzynią. Wtedy tylko będzie mógł śmiało rozwijać przed nimi swoje zasady; bo ludzie sądzą o religii człowieka nie z jego słów lecz z jego czynów. Gdy wiara człowieka jaśnieje w jego czynkach, jest on widocznie mężem silnych przekonań, dla których sprawy religii są najważniejszym w życiu zadaniem, a główną troską znać Boga i miłować Go. Powiedzmy teraz, czy wielu jest robotników katolickich, o których możnaby sumiennie twierdzić, że są do tego wzoru podobni? Czy nie jest więcej rozpowszechnione przekonanie, że religia jest rzeczą podrzędną; jakimś układem między Bogiem a światem, między wiekiustym celem człowieka, a chwilowemi jego zacheiankami? I czy tacy ludzie połowiczni mogą się stać tym światem jaśniejącym, który ludzkość pociągnie do wiary? Słusznie powiedziano, że naj-

większym kamieniem obraży na drodze duszy, szukającej szczerze prawdy, jest widok oziębłych i światowych katolików. „Jeżeli takie są owoce katolickiej nauki — mówią — Boga chyba tam nie znajdzie“. Rozumowanie to nie jest w gruncie logiczne, ale ma za sobą wszystkie pozory słuszności.

Zrobił ktoś trafną uwagę, że ludzie religijni w dzisiejszych czasach, skłaniają się więcej ku dziełom filantropijnym i społecznym, mniej się troszcząc o znajomość Boga i o życie duchowe. Uwaga ta dotyczy słabej strony działalności wielu zapalonych pracowników społecznych, którzy mimowiednie trzymają się źle zrozumianej zasady, że: „służyć bliźnim, jest to służyć Bogu“. Jest to błąd, którego prawy katolik winien się bacznie wystrzegać. Podczas gdy zajmuje się pilnie dobrem całego społeczeństwa i zastanawia się nad swymi obowiązkami względem bliźnich, nie powinien zapominać, że religia żąda od niego więcej; — żąda pielęgnowania życia, wiary i wyrabiania w sobie tego ducha modlitwy, który jest łącznikiem między obecnym życiem człowieka a jego wiecznymi przeznaczeniami i daje mu to jasnowidzenie i zrozumienie rzeczy boskich, bez którego prawdziwej religii być nie może. Więc człowiek, który chce naprawdę żyć, jak katolik i jak apostoł Chrystusów powinien częstą część dnia poświęcać na szczerą i żarliwą modlitwę, powinien się przejąć niezgłębianą tajemnicą Ofiary ołtarza, powinien poważać św. sakramenty Kościoła, a na wszystkie wypadki życia spoglądać okiem wiary, z ufnością w Opatrzność Boską. Jezus Chrystus ma być ciągle żywy i obecny w jego duszy, a do świętych Pańskich będzie się z dziecięcą prostotą udawał po przykład i wstawiennictwo. Tylko taki prosty i szczerzy chrześcijanin może być prawdziwym pracownikiem Chrystusowym. — Więc, podczas gdy kładziemy wielki nacisk na obowiązki człowieka dla bliźnich i siebie samego, nie możemy dopuścić myśli, że na tem wszystko się kończy: bliższe jeszcze są obowiązki względem Boga. Tylko człowiek, który tych potrójnych obowiązków jest dobrze świadom, może być godnym współpracownikiem w wielkiem dziele odkupienia ludzkości.

Gdybyśmy takich ludzi w pośród siebie mieli, — ludzi cichych i pokornych, po większej części, których życie więcej aniołom, niż ich bliźnim jest znajome — jakąż potężną siłą staliby się oni w Boskiem dziele nawracania świata do nauki Chrystusowej! A byłoby takich mężów więcej, niż ich dziś widzimy,

gdybyśmy szczerze pracowali nad tem, aby ich wykształcić. Jedną z przyczyn naszej bezsilności jest, że swe usiłowania rozdajemy; pracujemy w jednym kierunku, zaniedbując drugi. Stąd charaktery nie wyrabiają się dość silnie i praca musi być mniej skuteczną. Zbyt często widzimy ludzi, którzy swe obowiązki ograniczają do tego, co się zowie, w ścisłym sensie, powinnością religijną; albo znowu pielęgnują wyłącznie pojęcie swych obowiązków społecznych, z krzywdą poczucia religijnego. Są także tacy, których nauczono wypełniać sumiennie obowiązki zarówno religijne, jak społeczne, nie zwracając ich uwagi na utrzymanie swej godności wobec ludzi. Następstwem tego są pojęcia ciasne, charaktery niedoskonale wyrobione; a takie nie dorosły do misyjnej pracy.

Staraliśmy się przedstawić, jakie przymioty osobiste winien posiadać robotnik, aby mógł skutecznie apostołować wśród swych współtowarzyszów. Teraz obaczmy, jakie po temu posiada środki. Wpływ jego musi z konieczności opierać się przede wszystkim na jego charakterze; podnieść moralny poziom swych towarzyszy przez milczący przykład swych wzniosłych zasad; obudzić w nich uszanowanie dla chrześcijańskiej wiary, ukazując im w swem postępowaniu jej wpływ uszlachetniający; pociągnie ich do tej wiary, gdy uznają, że ona to uczyniła go najwyższym i najlepszym między nimi. Ale, chociaż tajemnica jego zbawionego wpływu spoczywa w jego codziennem postępowaniu i w wartości jego charakteru, chociaż oddziaływa na drugich głównie przez cichy przykład swych cnót, — są jednak okoliczności, gdy miłość bliźniego zmusza go wyjść z tej biernej roli i nieść ludziom pociechę wiary. Dla apostoła Chrystusowego bowiem, nie dość jest zbawić swoją duszę; on musi zbawiać dusze drugich i szerzyć królestwo Chrystusowe w sercach ludzkich. A sposobność najlepszą do tego znajdzie, gdy widzi bliźniego w smutku lub w zwątpieniu. Gdy nasz boski Zbawiciel rozpoczynał swe życie apostołskie, mówił, że jest posłany, aby opowiadał Ewangelię ubogim; aby uzdrowił skruszone na sercu; aby opowiadał więźniom wypuszczenie i ślepym przejrzenie; żeby wypuścił na wolność znęzione<sup>1)</sup>. Oznacza to, że Słowo Boże znajduje zawsze grunt najpodatniejszy tam, gdzie się rozsiadło cierpienie, nędza lub smutek; czyli, jak to sam Zbawiciel w innej okoliczności

<sup>1)</sup> Luk. IV, 18 19.

powiedział: „nie przyszedł szukać zdrowych, lecz źle się mających“—chorych na duszy lub na ciele. W pośród takich też, leży najbardziej owocodajne pole pracy apostołskiej. Kiedy św. Franciszek z Assyżu ustanowił swój Trzeci Zakon pokutniczy, to cudowne bractwo, które takie dziwy zdziałało w trzynastym stuleciu, nałożył na członków jego szczególniejszy obowiązek poświęcenia się na dobrowolną posługę około trędowatych i najbiedniejszych nędzarzy. Jednym słowem, zadaniem ich być miało, szerzyć dokoła siebie miłość Chrystusową, i tym to szczególniejszym sposobem ożywili na nowo przygasający duch Chrystyanizmu. Ta sama zasada wystarczy i dzisiaj. Świadcząc ludziom miłosierdzie w imię Chrystusa, pociągniemy świat do Niego. Otóż, to dzieło miłosierdzia robotnik może spełnić wobec robotnika, tysiącnymi sposobami niedostępnymi dla ludzi z innej klasy. Może pomódz tym, którzyby odepchnęli pomoc bogacza. Rozumie, jak tylko równy zrozumieć może, pokusy i słabości, zagrażające ludziom będącym w temże, co on położeniu; wie, gdzie niebezpieczeństwo najpodstępniej czyha. Zna także, czego ogół zazwyczaj nie widzi, dobre przymioty tych dusz, które z pozoru zdają się całkiem nieczułe na szlachetniejsze strony życia. Ta blizka znajomość ludzi swojej sfery, daje robotnikowi tysiączne sposobności i wielką siłę do działania. Ona mu ułatwia skuteczną pomoc i tę bratnią posługę, która jest samą treścią chrześcijańskiej miłości bliźniego. A zważmy dobrze, że poza osobistą zacnością życia, drugim najistotniejszym warunkiem apostołskiego wpływu, jest chętna gotowość niesienia pomocy materialnej, czy duchowej, każdemu potrzebującemu. Działanie apostołskie, rozpoczynające się pracą nad własnym udoskonaleniem, musi się w dalszym ciągu opierać na dobrych uczynkach świadczonych bliźnim. Jakże często biedny chłopiec, osierocony, lub gorzej jak osierocony, mógłby być uratowany opieką udzieloną mu we właściwej chwili przez człowieka starszego, który sam na sobie podobnych niebezpieczeństw zaznał, lub z blizka na nie patrzył! Ale pomocy brak i chłopak idzie na zgubę. Często także człowiek słabego charakteru, kuszony do złego, mógłby być obroniony przed własnym niedołęstwem, gdyby go wziął za rękę silniejszy, niż on, i ciąglem czuwaniem utrzymywał go na dobrej drodze; gdy tej pomocy do dobrego nie stanie, złe wpływy biorą górę. Ludzie patrzą, nazywają go może niedołęgą i szaleńcem, ale nikt nie pomyśli o tem, żeby

go wziąć za nieodstępного towarzysza i w ten sposób ocalić go przed skutkami jego własnej niemocy. Są znowu tacy, którzy żyją bez religii, nie wskutek jakiegobądź niechęci do wiary, ale przez prostą obojętność: potrzebaby im od czasu do czasu przyjaznego słowa zachęty i dobrej rady; ale nikt o tem nie pomyśli. W taki to, spokojny, nie narzucający się sposób działać powinno apostołstwo robotnicze: praca cicha a wytrwała, której świat nie widzi; za którą z tej strony grobu nie spotka ich uznanie, ale którą Bóg zapisze na ich rachunek w księdze wiecznych przeznaczeń. O tysiącnych sposobach świadczenia uczynków miłosierdzia co do ciała, zbytecznie mówić. Nikt tak wspomagać nie potrafi cierpiących niedostatek, jak ten, kto sam jest biednym. Natomiast, w świadczeniu miłosierdzia dla duszy, w ratowaniu swych braci od moralnej i duchowej zguby, chrześcijański robotnik często się zaniedbuje. Nie czyni wszystkiego, co może, aby powstrzymać dusze ginące w upadku, które byłoby w jego mocy ocalić. Zdaje się, jakby sądził, że troszczyć się o dusze ludzkie, to rzecz księży. Zapomniał, lub nigdy jeszcze nie pojął, że ludzie oddziaływają nieustannie jedni na drugich i nieświadomie pociągają ich do zbawienia lub do zguby i że powinnością uczciwego człowieka jest ratować kogo tylko może.

Jedną z najbardziej naglących potrzeb obecnej chwili jest niewątpliwie, pouczyć naszą roboczą ludność katolicką o obowiązku szerzenia dookoła siebie zdrowych katolicko - społecznych zasad. W chwili najcięższej próby, gdy Kościół stanie twarzą w twarz, do walki z bezwyznaniowością — a chwila ta nie jest daleka — wielką dla niego pomocą byłby liczny zastęp katolickich robotników i robotnic, takich jak wyżej opisałem. Oni to przedewszystkiem ocalić potrafią wielką rzeszę pracującego ludu dla Chrześcijaństwa i Kościoła.

# Święty Franciszek, a my:

Odezwa do Tercyarzy Franciszkańskich.

---

## I. Powołanie zakonów Franciszkańskich.

---

**Z**akon Franciszkański od samych swoich zawiązków uważał się za szczególnie powołany od Boga do zwalczania samolubstwa i zbytków. Każdy zakon ma swoją właściwą, specjalną misję, która usprawiedliwia zawiązanie się tej odrębnej społeczności wewnątrz wielkiej społeczności Kościoła. Jedne Zakony mają sobie zleconą tę czynność, drugie inną. Każdy Zakon ma swoją właściwą cechę i swoje pole działania, chociaż wszystkie ożywione są jednym Duchem Bożym; po energii i gorliwości, z jaką dany Zakon spełnia zlecenie, które otrzymał, mierzy się jego doskonałość, jego siła lub upadek. Z chwilą, gdy Zakon przestaje spełniać pracę, dla której został stworzony, traci swoje prawo do bytu. Napróżno członkowie jego przypominają dawną jego świetność, lub opowiadają o wielkich dziełach spełnionych przez ich poprzedników w ubiegłych wiekach. Jedyną odpowiedzią na to wysławianie przeszłości może być tylko upomnienie: „Idź! i czyn takóž!” Przeszłość swoją zapłatę już wzięła; dzień dzisiejszy sądzony będzie według tego, coś dziś działał.

Ale są w dziejach świata czasy i chwile, gdy życie bije żywszem tętnem; gdy w duszach budzi się jakieś nieokreślone oczekiwanie, lub drga jakaś tajemna obawa. Są to znamiona

rozpoczęcia się nowej epoki w historii ludzkości: chwile przełomu i próby tak dla jednostek, jak dla zgromadzeń i całych narodów, w których prawdziwa ich wartość wychodzi na jaw. Dzisiaj jesteśmy niewątpliwie świadkami jednej z tych ważnych chwil dziejowych. Stoimy na progu nowego wieku, którego ideały i cele różnią się do gruntu od tych, jakie dotąd światem rządziły. Duch nowy przeniknął świat i opanował go i przekształca narody, rządy, zarówno jak stosunki prywatne. Faktów takich ogólnego znaczenia zapoznawać nie wolno, byłoby to bluźnieniem przeciw Opatrzności, która rządy świata dzierży; a nowy prąd, który owładnął życiem ludzkości, jest niewątpliwie faktem wszechświatowego znaczenia.

Otóż, każdy ważny wypadek w życiu ludzkości, musi się odbić w życiu Kościoła. Każdy krok naprzód w historii świeckiej pociąga za sobą potrzebę odpowiedniego postępu w działaniu Kościoła. Kościół nie może się wyosobnić od świata: obowiązkiem jego jest każde dążenie naprzód, każdą nową ewolucję ludzkości kierować ku Bogu i służbie Chrystusowej. Kościół nie spełniałby swej misji, gdyby się trzymał biernie stałych form, podczas, gdy życie ludzkości toczy się w ciągłym biegu. Nie może stać w miejscu, gdy świat idzie naprzód, nie sprzeniewierzając się swemu powołaniu. Historyczny rozwój powszechnego Kościoła musi iść równoległe z każdą nową przemianą w dziejach świata. Dziś więc katolikom potrzeba więcej jak kiedybądź silnego ducha, doskonałej cnoty, ofiarności ochotnej, gotowej poświęcić swoje wygody, interesy, swoje nawyki i osobiste cele—dla wielkiego dzieła pociągnięcia świata nowoczesnego do Chrystusa i Jego Kościoła; trzeba, by nie cofali się przed walką, ani się lękali trudu i pracy. Są to czasy, gdy Kościół potrzebuje apostołów, aby nawracać ludzi myśli i czynu, których nowa epoka zbudziła i powołuje swe dzieci, by każde, w miarę swych zdolności i środków, przyjęło udział w pracy, jaka leży przed nami.

Na członkach Zakonów Franciszkańskich ciąży szczególniejszy obowiązek, by w tych trudnych chwilach okazali się walecznymi i dzielnymi żołnierzami Chrystusowymi, idąc śladem swych dawnych braci, którzy w krytycznej chwili dziejów, z wielu względów zbliżonej do dni dzisiejszych, działali tak cudowną przemianę w duszach i w życiu ludu.

Bóg wzbudził św. Franciszka „aby podtrzymał walącą się

budowę Jego Kościoła“. Społeczeństwo średniowieczne popadło było w zepsucie, a wśród ogólnego rozprzężenia porządku społecznego, zdawało się, jak gdyby Kościół utracił wszelki wpływ na wiernych. Herezya podkopywała wiarę w samych jej podwalinach, a Kościół był bezwładny, bo rozpusta i zbytki światowe wyczerpały jego siły. Wielki rozłam, który nastąpił trzy-sta lat później, byłby się rozpoczął już wtedy, gdyby Bóg nie był zesłał dwóch wielkich świętych: Franciszka i Dominika, z których jeden miał bronić prawdziwej wiary przeciw herezyi, a drugi odradzać samo społeczeństwo chrześcijańskie. Podczas, gdy św. Dominik pracował nad wykorzenieniem herezyi, św. Franciszek zakładał podwaliny nowego porządku społecznego w Kościele. Pracą zleconą szczególnie jemu i jego Zakonowi było, by Chrześcijan nauczył żyć według prawideł Chrystusowych, — wyznawać Chrystusa sercem i czynem, nie tylko ustami. A jakże się zabrał do tego wielkiego dzieła? Przeciw zwyrodniałej społeczności feudalnej swych czasów, wyprowadził do walki armię swych tercjarzy, którzy wszyscy, zarówno mężowie jak niewiasty, ślubowali strzedz sprawiedliwości, unikać wojen domowych, wyrzec się wyuzdanych zbytków i szerzyć powszechną miłość i pokój. Była to prawdziwa krucjata i w ten sposób spełnił św. Franciszek marzenie swej młodości, gdy chciał podjąć krzyż i ruszyć wraz z innymi na wojnę świętą. Lecz nie przeciw Saracenom i niewiernym, nie mieczem i włócznią miał toczyć walkę. On miał zwalczać zło w samym łonie Kościoła i wyzwolić Chrześcijaństwo od niebezpieczeństw, jakie mu groziły w obrębie jego własnych murów. To była owa wielka wojna, której miał być hetmanem i przodownikiem.

Ruch, wzbudzony przez św. Franciszka, stał się wielką reformą społeczną: prowadził ludzi do nieba, prostując ich drogi na ziemi. Nie zaprzętał się ogólnymi, oderwanymi zasadami, ale tem, co życie codzienne z sobą niosło. Nie głosił górnych przepisów ewangelicznych z poza murów klasztornych, lub z wysokości kazalnicy, lecz szedł między lud, aby zwalczać zło, które go gnębiło: nienawiści i walki wewnętrzne, wyuzdane samolubstwo, rozwiązłość i zniewieściałość, jakie się szerzyły w trzynastym stuleciu. To były występki, które ścierały ze społeczności średniowiecznej cechę chrześcijańską, a religię zamieniały na martwy obrządek. Pod wysokimi nawami katedr rozlegały się codzień głosy psalterzystów śpiewających psalm: „Pańska jest zie-

nia i napełnienie jej: okrąg ziemi i wszyscy, którzy mieszkają na nim“... „Któż wstąpi na górę Pańską? albo kto będzie stał na świętem miejscu Jego? Niewinnych rąk a czystego serca, który nie wziął na marność dusze swojej, ani przysięgał na zdradzie bliźniemu swemu“.

Tak śpiewali chórzyści: lecz, sądzony podług tej miary świat ówczesny, nie miał chyba prawa stać na miejscu świętem. Św. Franciszek tedy, stwarzając swój zakon, otworzył schronienie dla dusz, które nie mogły się pogodzić z zepsuciem i grzechami swych czasów; a gdy rozszerzył ten Zakon, przygarniając doń mężów i niewiasty, żyjących wśród świata, wtedy w samym środku nieprzyjacielskiego obozu stwarzał placówkę, która miała najskuteczniej zwalczać głęboką niemoralność upadłego społeczeństwa. Zawisłom, gwałtom i zbytkom współczesnym przeciwstawiał zgromadzenie ludzi obojga płci, ożywionych duchem Chrystusowego braterstwa i chrześcijańskiej prostoty. Takie było prawdziwe znaczenie i rola Tercyarstwa; było ono wielką reformą społeczną, poczętą od rozbudzenia sumienia ludzi i otwarcia im oczu na zło, nurtujące świat, wśród którego żyli. Ksiądz Le Monnier w swej „Historji św. Franciszka“ słuszną robi uwagę, że „Trzeci Zakon Franciszkański był jednym z najdzielniejszych wysiłków, jakie kiedykolwiek podjęto, aby wprowadzić sprawiedliwość w stosunki wzajemne ludzi między sobą“... „Tercyarze—mówi dalej—przekształcili ówczesny ustrój społeczny na pożytek słabych i maluczkich“. Ks. Le Monnier zastanawia się w dalszym ciągu nad środkami, jakich dla przeprowadzenia tego dzieła użyto. Głównem narzędziem władzy w ręku ówczesnej feudalnej szlachty było żądanie przysięgi lennej, oraz służby wojskowej od tych, którzy szukali u niej opieki, lub z jakiegobądź powodu dostali się pod jej zależność. W ten sposób większa część ludności podpadała pod samowolę szlachty i łatwo sobie wyobrazić, jakie się tu otwierało pole dla tyranii i krzyczącej niesprawiedliwości. Magnat mógł wciągnąć swego lennika w najniesprawiedliwszą wojnę osobistą, a według praw ówczesnych, poddany nie mógł odmówić swego współdziałania. Św. Franciszek, zabraniając swym Tercyarzom składania przysięgi, wyjąwszy w niektórych, ściśle oznaczonych wypadkach, i zabraniając im podnosić broń, wyjąwszy w obronie Kościoła, ugodził w samo jądro całej budowy feudalnej. Ks. Le Monnier wymownie opowiada, jakimi środkami małe ksiązątka włoskie usi-

łowały przeszkodzić szerzeniu się Trzeciego Zakonu, a gdy to się nie powiodło, niweczyć owoce jego działalności. Wysiłki ich okazały się daremnymi bo sumienie ludów zwróciło się przeciw nim. Kwestya z politycznej, zamieniła się na religijną.

Reguła Trzeciego Zakonu, wszakże, zwracała się nie tylko przeciw ówczesnym wojnom domowym i osobistym ambicyom, ale także przeciw niesłychanym zbytkom, którym początek dało wzmoczenie się klasy kupieckiej, poprzedniczki naszego nowoczesnego rozwoju przemysłowego. Tereyarze żywili się skromnie, a w ubraniu trzymali się tego, czego wymagało ich stanowisko społeczne; pieniądze zaś oszczędzone na zbytkach, szły na wspieranie ubóstwa. Trudno sobie wystawić, jaki głęboki przewrót w społeczeństwie ówczesnem spowodziło szerokie rozgąłżenie się Zakonu, opartego na takich zasadach; nie dziwi nas też uwaga jednego z ówczesnych pisarzów, że często się wydało, jak gdyby odżyły czasy pierwotnego Kościoła.

Reguła Trzeciego Zakonu jednak, zwłaszcza w formie zatwierdzonej przez papieża Mikołaja IV, zwraca się wprost przeciw występkom nurtującym społeczność ostatnich czasów średniowiecza; to też z wielu względów do złego, które w dzisiejszych czasach lekarstwa oczekuje, przystosować się nie da. I tak, przepis zabraniający noszenia broni nie ma żadnego zastosowania dzisiaj, gdy noszenie przy sobie broni, czy to w celu napadści, czy obrony, wyszło zupełnie z obyczaju. Reguły odnoszące się do stroju, nie mają dziś również znaczenia. Świat pod wielu względami się zmienił i gdyby Trzeci Zakon nie miał innych zadań, istnienie jego byłoby dziś dla Kościoła bezcelowem. Ale te szczegółowe przepisy były tylko skierowaniem zasad, tworzących podstawę reguły św. Franciszka, ku potrzebom ówczesnego społeczeństwa. Przepisy te są dziś bez znaczenia; ale zasada, na której się opiera reguła św. Franciszka, utrzymuje się i jest zawsze na czasie dziś, zarówno jak ongi. Zasadą tą jest: wprowadzać w stosunki ludzkie ducha chrześcijańskiego braterstwa, oraz zwalczać zmysłowość i samolubstwo, które ducha Chrystusowego niweczą w życiu jednostki, zarówno jak całego społeczeństwa. To był cel, który św. Franciszek miał na myśli, ustanawiając swój Zakon; a któż będzie śmiał twierdzić, że dzisiaj cel taki znaczenia już nie ma? Trzeba tylko zastosować go do potrzeb dzisiejszej chwili, aby się stał równie żywotnym, jak

był w epoce wielkiego Założyciela. Mowa, w jakiej św. Franciszek głosił swoje poselstwo pokoju i miłości ludziom trzy nastego stulecia dziś już wyszła z używania; ale jakim to poselstwo było, wiemy—i wystarczy nam przetłumaczyć je na mowę zrozumiałą dla dzisiejszego pokolenia.

Czy Franciszkanie przejęci są tą prawdą tak, jak być powinni? Uczciwość zmusza nas wyznać, że nie bez powodu rzucają nam często to wyzywające pytanie: „Gdzie są ci Tercyarze?“ „Słyszeliśmy—wówią—o tem, co Franciszkanie zdziałali w przeszłości; ale dzisiaj gdzie są i co czynią?“

Tercyarze mogliby odpowiedzieć, że jak Kościół katolicki wogóle, tak i oni nie mieli dotąd sposobności wykazać się swą społeczną działalnością wśród nowoczesnego przemysłowego społeczeństwa; a skoro nie mieli czasu dobrze się wkorzenić, nie zasługują na przyganę za to, że jeszcze nie wydali kwiatów i owoców. Za bezpośrednią przeszłość więc, nie jesteśmy odpowiedzialni: ale przyszłość stoi otworem przed nami, brzemienna wielkiem, dziejowem znaczeniem i o nią troszczyć się nam sumiennie potrzeba. Gdy wiara raz jeszcze tryumf odniesie, gdy świat nowoczesny padnie do stóp Chrystusa, cóż powie potomność o roli, jaką w tem dziele odegrały Zakony Franciszkańskie? Czy powiedzą, żeśmy godnie spełnili część pracy, jaka na nas w udziale przypadła? Sądz, jaki na nas wyda potomność wolnoby nam ostatecznie sobie lekceważyć; ale w tamtym świecie spotkamy się oko w oko z naszym Ojcem i Jego wyrok przyjdzie nam także usłyszeć. Nie możemy się tłumaczyć, że brak nam oznak wskazujących, jaka jest nasza powinność. Głos Najwyższego Pasterza odezwał się już, wzywając Tercyarzy, by „ratowali społeczeństwo“. Nawet ludzie nie należący do Kościoła, przywołują św. Franciszka, jakby to imię dziś jeszcze czarowny wpływ dokoła siebie szerzyło. „Oby Bóg pozwolił św. Franciszkowi powrócić na ziemię! Jakże go nam potrzeba! Trudno wyrazić, jaki przewrót może sprowadzić jeden święty człowiek wśród zepsutego świata. On sam wart jest więcej, niż cała gromada marnych jak my, zbłąkanych, za uciechami goniących, próżnością upojonych grzeszników! Jakiżby był z niego przywódca ludu! A jakże chętnie ja sam zaciągnąłbym się, jako ostatni z pachołków do „Armii Zbawienia“, prowadzonej przez takiego wodza!“ Ten, który pisał te słowa, wypowiadał tylko myśl, tkwiącą w wielu duszach, jak on zwątpiałych i pytających tak,

jak on: „Czy Chrystyanizm jest prawdą?“. A skoro nawet ci, którzy nie uznają Boskiego pierwiastku w religii Chrystusowej, szukają kierunku i oparcia u św. Franciszka, czyż to nie jest wskazówką, jak szerokie pole działania leży dziś otworem przed nami, jego synami?

Trzeba przyznać, że Zakon Franciszkański już uczynił pierwsze kroki, by odpowiedzieć na to wezwanie. Od kilku lat, każdy rok przynosi nowy dowód, że się ocknął z odrętwienia, w które popadł z przyczyn, w znacznej mierze od niego niezależnych. W różnych krajach urządzano kongresy i zjazdy franciszkańskie, z widocznym celem, by przywrócić Trzeciemu Zakonowi jego pierwotne, szerokie społeczne znaczenie. Na pierwszym z tych narodowych kongresów, zwołanym do Limoges w r. 1894, Tercyarze obecni zobowiązali się „walczyć o tryumf sprawiedliwości społecznej“. Powzięto wiele uchwał, mających na celu przystosowanie przepisów Trzeciego Zakonu do rzeczywistych potrzeb chwili obecnej. Uznano, że dziś krzywdy i niesprawiedliwości, jakie panowały w epoce feudalnej, nie potrzebują już być zwalczane przez Tercyarzy. Natomiast nasz dzisiejszy ustrój przemysłowy otwiera pole krzywdom i niesprawiedliwościom innego rodzaju i przeciwko tymże dzisiejsi Tercyarze walczyć winni, jeżeli mają się stać użytecznymi sługami Kościoła w chwili obecnej. Winni przywdziać płaszcz błogosławionego Lucezuya, pierwszego z Tercyarzy i jak on, przykładem swoim uczyć ludzi braterstwa chrześcijańskiego i oderwania od świata. Tę to myśl rozwijał w przekonywający sposób na kongresie w Limoges, dobrze znany świecki tercyraryz p. Leon Harmel, który od lat już stawia przed oczy francuskiemu światu przemysłowemu żywy wzór stosunków, jakie powinny istnieć między pracodawcą a robotnikiem. Szczegółowe uchwały powzięte na kongresie w Limoges były, jak łatwo zrozumieć, zastosowane specjalnie do stosunków istniejących we Francyi; ale, dla ogółu Tercyrarystwa całego świata, kongres ów ma wielkie znaczenie, bo wskazał mu drogę, na której jego wpływ może się stać znowu czynnym i żywotnym; przypominając mu cel i zadanie, dla którego pierwotnie było ustanowione, nauczył je zarazem, jak w dzisiejszych okolicznościach to zadanie dalej prowadzić.

Na innych zjazdach podnoszono również potrzebę działania praktycznego, w kierunku zgodnym z pierwotnem założeniem

Zakonu. Przypominano Tercyarzom raz po raz, że ich powołaniem jest apostołstwo czynne; przekształcenie społecznego życia ludu na modłę Chrystusową. Mielizbyśmy na te wezwania, zwrócone do nas, nie dać odpowiedzi, jakiej po nas oczekują? Skutek zależeć będzie w największej mierze od tego, jak przyjmie to wezwanie każdy z osobna, kto się do członków Zakonu Franciszkańskiego zalicza.

Naszym obowiązkiem jest więc, wpajać światu nowoczesnemu naukę, którą głosił św. Franciszek: uczyć go braterstwa, miłości, wzdarcia świata i umartwienia.

Nie dopuścimy jednak ani na chwilę myśli, abysmy to dzieło mieli rozpocząć w usposobieniu pesymistycznym. Świat nigdy nie jest całkowicie złym; dobre ze złem nieustannie się tu ściera. O ile jest dobrym, zawdzięcza to tradycji Objawienia Boga, swego Stwórcy, a wśród nieprzerwanego postępu i ciągłych przemian, odzwierciadla swój boski pierwowzór coraz to z nowej strony. Trzymajmy się więc zdaleka od herezy, która we wszystkich przemianach, jakim świat w biegu dziejów ulega, chce widzieć dzieło ducha złego. Prawdziwi Franciszkanie, za wzorem swego Ojca, radują się szczerze pełnią życia, tryskającego dokoła i unoszącego świat bez wytechnienia ku ostatecznej doskonałości <sup>1)</sup>. Pamiętają, że św. Franciszek, który otrzymał piętna na górze Alwernii, był tym samym Franciszkiem, który się lubował w pieśniach prowansalskich, który się cieszył z nowo zdobytej wolności swego rodzinnego miasta, dla którego wytworne rycerskie obyczaje owego czasu pełne były uroku. Byli święci, którzy się zupełnie odosobnili i zamarli dla otaczającego ich świata. Duch Bóży działa w rozmaitych kierunkach i rozmaite są rodzaje apostołstwa. My winniśmy żyć w duchu św. Franciszka: duch zaś ten nakazuje nam cenić wszystko, co jest dobrem i pięknem w otaczającym nas świecie.

Radujemy się z ducha wolności, który przewodzi cywilnym i politycznym instytucjom naszego kraju (Anglii p. t.); szcycimy się mężką dzielnością, stanowczością i inicjatywą, które mi się przeważnie odznaczają nasi rodacy. Ale jeśli miłujemy swój kraj i swoją epokę, tem żywiej odczuwamy niebezpieczeń-

---

<sup>1)</sup> „Rzadko — pisze ks. Le Monnier — widzieć można, aby który święty żył tak na wskroś wedle ducha swej epoki. Franciszek stał się najdoskonalszym jej przedstawicielem“. (Wstęp do życia św. Franciszka).

stwa jakie nam grożą, oraz odpowiedzialność, która wobec tych groźnych niebezpieczeństw na nas ciąży.

W czasach jak dzisiejsze, gdy Kościół nasz stanął do walki, aby zdobyć napowrót dla siebie północne narody, katolicy więcej jak kiedy bądź są obowiązani dawać przykład szczytnego zrozumienia swych powinności społecznych; a co jest obowiązkiem katolików w ogólności, jest, z tytułu ich wyjątkowego powołania, tem osobliwszym obowiązkiem Franciszkańskich Tercyarzy.

---

## II. Trojakię zło dzisiejszych czasów.

---

W dzisiejszym naszym społecznym ustroju, tkwi trojakię źródło złego, przeciw któremu Kościół musi walczyć swoim wpływem, jeżeli społeczeństwo nie ma samo siebie wtrącić w zgubę.

Pierwszem jest bezwzględność i samolubstwo nowoczesnego przemysłu w gonieniu za jaknajwiększym zyskiem. Oparty na swobodnem i jawnem współzawodnictwie, ruch przemysłowy wyrobił w narodzie śmiałość i przedsiębiorczość, z których słusznie możemy być dumni; ale równocześnie stał się zbyt często narzędziem ucisku żywiołów słabszych i mniej inteligentnych. Naród wzmógł się w zamożność i potęgę; bogactwo jednostek wzrosło do bajecznych granic, a wymagania dobrobytu stanęły wyżej, niż kiedy bądź w dawniejszych wiekach. Ale to bogactwo i dobrobyt kupione zostały krwawym kosztem, kosztem tysięcy egzystencyi wydziedziczonych z wszelkich uciech, przeciążonych pracą, oraz wypływającej stąd nienawiści klasowej. Rozwinął się system wyzysku, t. zw. monopolów, i kartelów, w skutek czego uboga ludność pędzi życie w nędzy, niepokoju i niepewności jutra, zmuszona zadowalać się lichym zarobkiem. Drobnym przemysłowcem jest na łasce wielkiego kapitalisty i nie zawsze doznaje od niego względności. Gdy podaż pracy jest znaczna, okoliczność ta bywa wykorzystana, aby obniżyć zapłatę już i tak niezmiernie niską. Współzawodnictwo rywalizują-

cych z sobą przebiegłości odbija się na zarobku brzedsiębiorst, który musi cierpieć, aby jego chlebodawca mógł, bez straty dla siebie, przeciwnika pognać. Właściciel nieruchomości w mieście przedludnionem chwytą skwapliwie sposobność podwyższenia czynszów, gdy liczba ludności idzie w górę. Ludzie muszą, bądź co bądź, mieć jakiś dach nad głową, a ta konieczność sprzysięga się w okrutny sposób z chciwością gospodarza, który ściąga wygórowaną zapłatę za najlichszą wynajętą izdebkę. Gra na zwykłą i spekulacya tego czy innego rodzaju jest najpospolitszem źródłem dochodu. Za zasługę sobie prawie poczytuje, komu się udało zgrabnie podejść bliźniego.

W takich stosunkach społecznych słabszy, ciemny, niemiejtny i ubogi skazany jest bez ratunku na upośledzenie i cierpienie. Prawda, jałmużna rzucona od czasu do czasu przez szczególnego gracza wyrównywa cokolwiek szalę; ale taki dar z łaski nie jest zadośćuczynieniem za systematyczną krzywdę i życie nędzy, w którą wtrąca biedaka chciwość i przebiegłość ludzka.

Jednakże niesprawiedliwem byłoby rzucić potępienie wyłącznie na tych, którzy drogą szczęśliwych handlowych obrotów dobili się fortuny. Któż jest winien temu, że praca robotników i robotnic jest wyzyskiwana do ostatnich granic za lichą zapłatę? Nie sami tylko słuźbodawcy, chociaż ich wina jest wielką; wszyscy którzy choć ubocznie popierają taki wyzysk są współwinnymi. Nienasycona żądza kupowania tanio, bez względu na to czy taniość nie pokrywa czyjej krzywdy, — jest pokusą do ubiegania się o jak najtańszego robotnika i krzywdzenia go w zapłacie. Nie byłoby takiego wyzysku, takiego gorączkowego współzawodnictwa, gdyby ogół nie był jego współnikiem. Odpowiedzialność rozkłada się na tych wszystkich, którzy chętnie patrzą przez szpary na cudze nadużycia, gdy sami ciągną z nich korzyść. Byle publiczność płaciła kilka groszy taniej za funt cukru, lub centnar węgla, co ją to obchodzi, że górnik, lub chłopiec sklepowy są źle wynagradzani za swą pracę? Przyczyną tego ubiegania się za taniością bywa zwykle chęć zaoszczędzenia pieniędzy na rzeczy niepotrzebne i zbytkowne, na stroje, drogie cygara i t. p. Ta to rosnąca coraz bardziej żądza używania chce się zadowolić, a byle towar był tani, pobłaża wyzyskiwaczom i przyklaskuje szczęśliwym spekulantom.

Najgroźniejszą trwogą na przyszłość wszakże, przejmuje

ten smutny fakt, że ogół nie czuje wcale zdrożności takiego postępowania, a zdanie: „każdy dla siebie: a kto się obronić nie umie — niech ginie“ — nie wydaje mu się bynajmniej niemożliwym. Ludziom nie przychodzi nawet na myśl, że zasada, na której się opiera ten system krzywdzący jest anty-chrześcijańską. Ten sam, który poczytywałby sobie za występek spłodować czyjąś kieszeń, uważa za rzecz całkiem naturalną podkupić swego współzawodnika i doprowadzić go do bankructwa, aby otworzyć wolną drogę dla własnego monopolu. Ci, którzy oddają pod sąd człowieka za to, że dziecka lub obłąkanego nie ustrzegł od niebezpieczeństwa, sami wciągają podstępnie znajomego w zgubny dla niego interes. Wszystko co się dotyczy handlowych stosunków i spekulacji zdaje się być poza pospolitem prawem chrześcijańskim; gdzie się rozchodzi o kupno, i sprzedaż, czy najem, zasady zwykłej sprawiedliwości i miłości bliźniego idą w ką. „Nie możemy prowadzić interesów według przepisów ewangelicznych“, mówią niektórzy.

Na tem to właśnie polu ustrój społeczny dzisiejszy domaga się najgwałtowniej poprawy; interesa i układy pieniężne muszą się opierać na chrześcijańskiej zasadzie, tak samo, jak wszystkie inne czynności życia. Zdrowe współzawodnictwo oparte na pracowitości, znajomości rzeczy i energii, godzi się doskonale ze sprawiedliwością i obowiązkami wobec bliźnich, biorąc zawsze w rachubę tę wzajemną względność jednych dla drugich, którą zaleca prawo Chrystusowe. Ale nadużywanie swej siły i biegłości w usługach własnej chciwości i samolubstwa, musi być potępione. Gdyby do spraw handlowych i pieniężnych przeniknął duch ewangeliczny, byłoby prawdopodobnie mniej olbrzymich fortun, ale byłoby więcej ogólnego dobrobytu i różnice w położeniu bogatych i biednych załagodziłyby się; byłoby mniej zbytków, ale i mniej nędzy. Próźniak byłby wykluczony ze społeczeństwa, ale nieszczęśliwi i osamotnieni starcy, kalecy i chorzy nie ginęliby z głodu na nędznych poddaszach.

Czyż doprawdy miałyby to być niepodobieństwem, żeby ludzie dzisiejsi w swoich stosunkach handlowych i pieniężnych trzymali się tych zasad słuszności i miłości bliźniego, które powinny rządzić społeczeństwem szczerze chrześcijańskim? Jeżeli św. Franciszek za swoich czasów potrafił w miejsce szerczących się wówczas mściwych rywalizacyj i waśni domowych, postawić chrześcijańskie bratnie współdziałanie, czemużby dzisiejsza sa-

molubna chciwość w stosunkach pieniężnych nie mogła ustąpić miejsca takiemuż duchowi braterstwa chrześcijańskiego? Czy byłoby to za wielkiem wymaganiem żądać, aby nasi Tercyarze zobowiązali się przestrzegać sprawiedliwości we wszystkich stosunkach z bliźnimi? Nigdy nie szukać swej korzyści w wyzyskiwaniu słabości lub trudnego położenia bliźniego; zważać czy taniość towaru nie jest połączona ze stratą robotnika lub rolnika, płacić „po ludzku“<sup>1)</sup> swych najemników, a z drugiej strony za otrzymaną zapłatę oddawać pracę godziwą i sumienną. Takie zobowiązanie byłoby dziś równoznaczne z tymi ślubami, których św. Franciszek żądał od pierwszych Tercyarzy. Wówczas źródło złego leżało w nadużywaniu siły zbrojnej; dziś leży w samolubnem nadużywaniu wolnego współzawodnictwa w handlu i przemyśle.

Gdyby dzisiejsi Tercyarze chcieli przykładem własnym i postępowaniem swoim zwalczać tę bezwzględną chciwość, która jest grzechem głównym naszych czasów, staliby się zaprawdę przodownikami tego bohaterstwa ludów, które było marzeniem św. Franciszka, przyzywanem przez niego nieustanną modlitwą.

Możnaby nam jednak uczynić zarzut, że ktoby chciał w swych pieniężnych interesach działać wbrew ogólnemu dążeniu, naraziłby się tylko na straty i niepowodzenia; że dopóty nie się zrobić nie da, póki wszyscy się nie zgodzą trzymać się w interesach zasad chrześcijańskich. Odpowiedź na ten zarzut znajdujemy w postępowaniu pierwszych uczniów Pańskich: gdyby byli czekali, aż cały świat przyjmie naukę Chrystusa Pana, nim jawnie wyznawali się chrześcijanami, nie byłoby nigdy Kościoła Chrystusowego. Gdyby pierwsi Tercyarze byli czekali, aż całe społeczeństwo średniowieczne podda się pod regułę św. Franciszka, Trzeci Zakon nie byłby nigdy powstał i Tercyarze nie byliby nigdy dokonali tak wielkiej społecznej przemiany. Żadne dobre dzieło nie może być spełnione bez jakiejś osobistej ofiary i cierpienia: świat odkupiony był na Kalwaryi... Czyż godłem Zakonu Franciszkańskiego nie są piętna Chrystusowe, które nosił św. Franciszek, a które nam przywodzą na pamięć świętego zakonodawcę, nakazującego nam „iść śladem Chrystusa i Tego Ukrzyżowanego...“<sup>2)</sup> Kto nie jest gotów na straty i cier-

<sup>1)</sup> Papież Leon XIII uznaje za „ludzka“ taką zapłatę, która pozwala robotnikowi żyć wraz z rodziną w rozsądnym dobrobycie.

pienia dla sprawy Bożej, ten zaiste nie ma prawa zwać się chrześcijaninem.

Wyzysk pieniężny wszakże jest tylko pierwszym ze współczesnych grzechów głównych. Za nim idą dwa, równie groźne, którym Tercyarze Franciszkańscy niemniej gorliwie przeciwdziałać winni. Jednym jest niewstrzemięźliwość czyli pijaństwo, drugim rosnące lekceważenie świętości węzłów rodzinnych.

Pijaństwo jest złem dla wszystkich jawnem; słusznie nazwane zostało najjaskrawszem złem współczesnem. Coraz bardziej rozpowszechniająca się demoralizacya, której początkiem jest chciwość grosza, potęguje jeszcze bardziej nadużycie trunku. Co krok widzimy ludzi, których życie jest zmarnowane i złamane; widzimy ogniska rozbite; a co najgorsze, że pijaństwo jest narowem, który przechodzi z ojca na syna, a dziecko, dotknięte tą dziedziczną przywarą, skazane jest z góry na nędzę i upadek. Możemyż się dziwić, że tylu ludzi już w pierwszej młodości porzuca beznadziejną walkę ze złą skłonnością, którą z sobą na świat przyniosło? Między ubogą klasą pijaństwo najgorsze szerzy spustoszenie, bo ludzie źle odżywiani łatwiej ulegają pokusie; a na każdym kroku, w miastach, miasteczkach i po wsiach czyhają na nich niezliczone szynki i karczmy, wabiąc ich i ciągnąc nieuchronnie do zguby. Kardynał Vaughan dobrze to wyraził na konferencyi katolickiej w Stockport w roku 1899: „Szynkownie tłoczą się w najnędzniejszych i najuboższych dzielnicach i jak tyleż upiórów, wysysają krew biedaków... Są to pułapki nastawione na nieszczęsne ofiary; dla nich obojętnem jest kto wejdzie: czy robotnik ze świeżo otrzymaną tygodniową zapłatą, czy stroskana żona lub matka, czy wesoły chłopaczek, czy znędzona dziewczę, czy nawet małe dziecko—każdy jest witany skwapliwie, byle przyniósł parę groszy. Grosze zbijają się w srebrniki, srebrniki w złoto i fortuna szynkarza rośnie szybko. Bogacz staje się coraz i coraz bogatszym, karmiąc się ciałem biedaka, ssąc jego krew i nie troszcząc się o zgubę jego duszy. Choroba, występki, nędza utrwalają się beznadziejnie: sześćdziesiąt tysięcy ludzi co rok ginie u nas marnie z pijaństwa“. Inny mówca na tejże konferencyi, powiedział: „Cała przyszłość chrześcijańskiego ludu w naszej współczesnej Anglii, zawisła od tego, czy się da wciągnąć i przywiązać nałogowo do szynku, czy też będzie się od niego trzymał zdaleka“.

Dzięki naciskowi opinii publicznej kraju, rząd angielski

zdecydował się nareszcie ogłosić daleko sięgające ustawy, ograniczające udzielanie konsensów na szynki, które niewątpliwie przyczynią się wielce do zmniejszenia złego. Ograniczona liczba konsensów i ścisłe przepisy, nakładające kary za rozpajanie młodzieży i nałogowych pijaków, powinny w znacznej mierze naprawić szkodę, którą sprowadziła nieograniczona wolność handlowania gorącymi trunkami.

Jednocześnie, mimo, że prawo takie samo się przyczyni do ustrzeżenia słabszych od pokusy, powinniśmy pamiętać, że jedynem, prawdziwie skutecznym lekarstwem, jest osobista wstrzeźliwość i dobrowolnie przyjęte umiarkowanie. W tym kierunku zawdzięcza Anglia wiele towarzystwom trzeźwości, które jeszcze od czasów pierwszego ich propagatora, franciszkańskiego kaznodziei Ojca Mathew, tak dzielnie się przyczyniły do zatamowania złego. Nie można dosyć pochwał oddać tym przodownikom, którzy się nie cofnęli wówczas przed heroicznym lekarstwem, jakim była przysięga zupełnej wstrzeźliwości, aby pewnie i skutecznie pokonać zło, które się zdawało niezwalcownem. Ich to poświęcenie przede wszystkim, wstrząsnęło sumieniem publicznem i otworzyło mu oczy na cały ogrom złego. Ale tak heroicznego środka każdemu narzucać niepodobna.

Jednakże ci, którzy nie są w stanie zdobyć się na całkowitą wstrzeźliwość, powinni przynajmniej wystrzegać się używania napojów wysokokowych dla samej przyjemności. Tutaj, postawić można tę samą regułę jakiej każdy szanujący się człowiek przestrzega przy pożywianiu się wogóle: jeść tyle, ile wymaga istotna potrzeba i zawsze zachowywać umiarkowanie. Przy używaniu gorących trunków takiej samej zasady należy się trzymać. Nieszczęsnego nałogu pijaństwa nabywa się bardzo często wskutek rozpowszechnionego ogólnie zwyczaju picia dla przyjemności, czyli „częstowania się“ przy spotkaniu ze znajomym, lub w zebraniach towarzyskich. Gdyby ten zwyczaj dał się wykorzenić, byłoby to wielkim krokiem naprzód w sprawie szerzenia trzeźwości <sup>1)</sup>.

Na takiej podstawie biskupi angielscy starali się oprzeć,

<sup>1)</sup> Od czasu, jak te słowa były napisane, Liga przeciw „częstowaniu“ (Anti-Treating League) rozpowszechniła się bardzo w Irlandyi i szerzy się w innych stronach a sprawa wstrzeźliwości dużo na tem zyskuje.

związujące się towarzystwo wstrzemięźliwości. Kto mógł, od tego żądali zupełnego powściągnięcia się od trunków; kto się nie czuł po temu na siłach, musiał złożyć przynajmniej warunkowe przyrzeczenie, np. używać napojów tylko w godzinie obiadowej i wystrzegać się pić w publicznych miejscach.

Dla Tercyarzy sprawa trzeźwości jest kwestyą najgłębszej wagi. Znaczna ich liczba należy do klasy robotczej; ci, zarówno jak inni robotnicy i robotnice wystawieni są na straszną pokusę, jaką dla ludzi tej klasy stanowi szynkownia. Czyżby to było za wiele żądać od nich, żeby swym bliźnim stawiali dobry przykład, unikając bacznie szynku, jako najgorszego wroga robotnika? Jeżeli potrzebują się napić piwa, niech je piją umiarkowanie w domu, ale niech nigdy, choćby stąd miała wyniknąć jaka niedogodność, nie przestępują progu szynkowni i niech innych od niej odciągają. Od ścisłego przestrzegania tej zasady zawisło zbawienie większej części klasy robotczej. Czasem trudno jest odmówić zaproszeniu na poczęstunek; wielu obawia się pozoru nieuprzejmości i nieżyczliwości w takiej odmowie. Ale jak nadmieniliśmy wyżej, każdy dobry uczynek połączony jest z jakimiś trudnościami; w tym zaś wypadku, zarzut sam z siebie upadnie, gdy ludzie się spostrzegą, że odmowa pochodzi ze szczerego i głębokiego przekonania, bez domieszki zarozumiałości ani lekceważenia.

Błędem byłoby jednak sądzić, że tylko biedni podlegają pokusie pijaństwa. Jest to zło, które nurtuje wszystkie klasy społeczne i apostołstwo dobrego przykładu potrzebne jest wszędzie. Reguła Trzeciego Zakonu żąda od Tercyarzy umiarkowania w jedzeniu i picciu. W dzisiejszych czasach stosuje się to szczególnie do „picia“, a nawet zwykle umiarkowanie tu niewystarczy; — potrzebna jest pewna ofiara, aby wesprzeć słabszych naszych bliźnich w walce z jedną z najnieszczęśliwszych przywar współczesnych. Nakaz Boży mówi: „Jeden drugiego brzemiona noście“ — a jeśli trzeźwy nie poniesie części brzemienia niewstrzemięźliwego, jakże go zbawić potrafi?

Przechodzimy teraz do drugiego wielkiego niebezpieczeństwa, które grozi społeczeństwu dzisiejszemu, którem jest: skalanie ognisk rodzinnych. Kółko rodzinne jest kolebką narodu: jeżeli pierwsze się rozpadnie i drugi niebawem pograży się w przepaść. Przy ognisku rodzinnem urabia się życie dziecka; najgłębsze, najświętsze strony charakteru męża tu się rozwijają. Zni-

weczmy dom rodzinny, a odbierzemy przeciętnemu człowiekowi najsilniejszą pobudkę do poświęcenia, do wytrwałości i energii: w kole to rodzinnem bowiem, człowiek uczy się zapominać o sobie dla ukochanych, otwiera skarby szczeroci i szlachetności, jakie nosi w duszy. Dla większości ludzi nieskalane i szczęśliwe ognisko rodzinne jest przedsionkiem nieba, bo jest tarczą przeciw wszelkim pokuszeniom złego. Ale trzeba, by było czyste i szczęśliwe; inaczej będzie to piekło na ziemi. *Corruptio optimi pessima est.*

Szczęście rodzinne zaś, zawisło w pierwszym rzędzie od wierności małżeńskiej, w drugim od szacunku i miłości dzieci dla rodziców. Pod obu tymi względami społeczność dzisiejsza budzi w nas poważne obawy. Węzeł małżeński coraz bardziej się rozluźnia; nić wiążąca dzieci i rodziców coraz jest słabsza. Poważanie dzieci dla rodziców obniżyło się i nic dziwnego, gdy poważanie związku małżeńskiego osłabło również. Zdeptanie wiary małżeńskiej czyni życie rodzinne niepodobnem. To też z każdym rokiem widzimy nieszczęśliwie się mnożące rozwody i seperacye sądowe. Dobrowolne, za obopólną zgodą rozłączenie się męża z żoną, jeszcze częściej się trafia. Dla wielu małżeństwo stało się prostą igraszką; a przez to zagrożone są sameż podwaliny społeczeństwa chrześcijańskiego.

Przyczyn tego stanu rzeczy szukać daleko nie trzeba. Jest nią w pierwszym rzędzie, nie krępująca się niczem w zadowoleniu swych pożądań samowola, następstwo panującej ogólnie w tych czasach żądzy używania, zarówno fizycznego, jak umysłowego. Nie powściągane zasadami religii indywidualne popędy człowieka, nie chcą znać żadnych węzłów, a wolność wyraża się w swawolę. Według prawa Bożego, małżeństwo nie jest używaniem, lecz obowiązkiem i odpowiedzialnością. Ogranicza ono swobodę człowieka, nakłada na niego nowe powinności. Nie ma służyć za pokrywkę dla występku, ani upoważnia do lekceważenia czystości obyczajów. Jest to święty Sakrament, symbol węzła, łączącego duszę z Bogiem, a świat z Chrystusem; — węzeł religijny, który należy poważać i surowo strzedz jego czystości. Ale nie z takiego stanowiska zapatruje się na sprawę małżeństwa znaczna część ludzi w chwili obecnej. -- Wchodzą w związki małżeńskie pospiesznie, nie troszcząc się o świętość i ważność zaciągniętych zobowiązań; idą za popędem chwili; czasem widzą w małżeństwie tylko korzystny pieniężny interes; czasem pocią-

ga ich żądza nowych wrażeń i hazard, lub też idzie im o stanowisko w świecie; przy tych wszystkich pobudkach zaś nie biorą wcale poważnie pod uwagę, czy we wspólnem pożyciu z wybraną osobą obowiązki małżeńskiego stanu należycie wypełnić potrafią. Kiedyż ludzie rozumieją, że na małżeństwo zapatrywać się powinni, jako na akt religijny, — na akt ważny, do którego przystępować należy z przeszłością czystą i z uczciwymi zamiarami na przyszłość? Kiedyż pojmą, że wchodząc w stan małżeński zaciągają jedno z najpoważniejszych zobowiązań, jakie mogą ciężać na człowieku. Dopóki mężczyźni, zarówno jak kobiety zawierają małżeństwa lekkomyślnie, następstwem tego będzie zbyt często życie spędzone w niedoli i w grzechu.

Nawet, gdy ludzie łączą się węzłem małżeńskim z całkowitem zrozumieniem jego ważności i świętości, potrzebna im jest jeszcze nieustanna czujność, panowanie nad sobą i nieograniczone oddanie się powinnościom, jeżeli trudne zadanie swego życia mają wiernie i doskonale spełnić. Zaparcie się siebie jest samą treścią miłości małżeńskiej. Od chwili, gdy złożyli swe śluby — mąż i żona winni jedno drugiemu poświęcenie się zupełne i miłość wyłączną, której nie wolno dzielić z żadnem stworzeniem. Ująć cokolwiek mężowi lub żonie z tego zupełnego oddania się, jest to naruszyć ślub świątę. — Każdy z małżonków może mieć serdecznych przyjaciół i liczne koło znajomych: ale tamte stosunki nie mają tej cechy świętości i w razie potrzeby, winny ustąpić miejsca najświętszemu ze związków.

Co więcej, małżonkowie winni sobie wzajem najwyższy szacunek, jako pracujący wspólnie nad wielkiem religijnem i społecznym zadaniem. Objawem tego szacunku ma być, u każdego z nich, delikatny wzgląd na indywidualny charakter i usposobienie drugiego. W Księgach świętych czytamy, że „mąż i żona są to dwie dusze w jednym ciele“; winni więc poważać wzajem swoją duchową stronę, za którą każde przed Bogiem wyłącznie jest odpowiedzialne. Sumienie żony nie jest pod władzą męża, ani sumienie męża pod zależnością żony; prócz tego nie można sobie wyobrazić, żeby najidealniej zjednoczeni małżonkowie mogli mieć zupełnie też same skłonności umysłu i te same przymioty charakteru. To też najpiękniejszą stronę małżeńskiego węzła stanowi harmonia dwóch charakterów różniących się z sobą, a zjednoczonych w dążeniu do tego samego szczytnego celu, nad którego osiągnięciem wspólnie pracują.

Lecz harmonia taka tam tylko jest możliwą, gdzie jest zapomnienie o sobie i poświęcenie. Małżeństwo, jak każdą inną drogę życia, tylko krzyż uświęca.

Rozszerzyć w społeczeństwie nowoczesnem zrozumienie świętości małżeństwa jest dziś jednym z najważniejszych zadań Kościoła. Młodzieńcy i dziewice powinni być pouczeni, że małżeństwo jest obowiązkiem poważnym i aktem religijnym. Powinni zrozumieć, że aby się usposobić do tego sakramentalnego związku, należy od młodych lat strzedz czystości swej duszy; że nie godzi się puszczać nierozważnie na tę drogę, dopóki się nie upewnią, że nowym obowiązkom należycie odpowiedzieć potrafią. Niemniej poważnie winni się upewnić nad swą odpowiedzialnością rodzice, układający związek małżeński dla córki lub syna. Ileż matek dla stanowiska w świecie, zaprzedało córkę w dozgonną niedolę? I czyż dziwno, że po krótkim czasie, córka zrywa węzeł, którego znieść nie może? W tym wypadku wina główna jest po stronie matki i to wina podwójna: bo przeciw świętości Sakramentu i przeciw szczęściu córki.

W klasie ubogiej wypadki takie jak powyższy, rzadko tylko się trafiają. Ubodzy nie zaprzędają się dla wpływu i stanowiska, ale natomiast zaprzędają się często po prostu dla kawałka chleba: jest to zło, które łatwiej wybaczyć, nad którym jednak ubolewać także trzeba. Pod innymi względami jednakowoż, ubodzy aż nadto łatwo przejmują lekkość obyczajów klas bogatych: przywary klas wyższych przesiąkają do niższych. Aby jednych i drugich zbawić, Kościół musi dzisiaj goręcej i energiczniej, jak kiedybądź, stawać w obronie sakramentalnej godności małżeństwa. Było to zawsze jego chlubą, że świętości tego związku nigdy strzedz nie przestał. Ale czy katolicy sami wstępują w związki małżeńskie z tem poczuciem odpowiedzialności, jakie mieć powinni? Czy nasza katolicka młodzież obojej płci przyuczona jest uważać śluby małżeńskie za godne uwieńczenie uczciwie spędzonej młodości? To jest jedyny sposób, aby świętość małżeństwa była ocalona, a jego godność utrzymana. Czy nasza katolicka młodzież,—pytamy dalej,—pojmuje, że powinności małżonków nie ograniczają się na dochowaniu jedno drugiemu wierności zastrzeżonej prawem, lecz wymagają ciągłych dowodów szacunku i oddania się zupełnego a wyłącznego? Katolickie małżeństwa winny być przykładem dla świata: cnota winna tu być tak jawną i nad wszystkie zarzuty wyż-

szą, aby nikt nie śmiał cienia na nią rzucić. Wtedy dopiero niekatolicy zmuszeni będą uznać, że prawdziwy ślub małżeński jest świętym i zerwanym być nie może. Małżeństwo jest nierozzerwalne dla tego, że jest Sakramentem, a Sakrament jest świętością, do której przystępować wolno tylko z myślą zacną, a cześć ją trzeba zacnymi czynami.

W tej krucyacie przeciw gwałceniu Sakramentu małżeństwa, któż ma stać w pierwszym rzędzie, jak nie franciszkańscy Tercyarze? Małżonkowie, którzy mają szczęście do nich się liczyć, powinni mieć przed oczyma najwyższy ideał obowiązków małżeńskich. Przypominamy im, że wielki patron Trzeciego Zakonu, święty król francuski Ludwik IX, wymieniał jako trzy skarby, którym życie swe poświęcił: „Boga, Francję i Małgorzatę!“ Obok Boga i ojezyny, której królował, stało imię ukochanej przez niego żony; ono jedno tylko. A któż z nas nie słyszał o pięknej, romantycznej niemal miłości wzajemnej między patronką Sióstr Trzeciego Zakonu, św. Elżbietą węgierską a jej mężem? W istocie, zarówno św. Ludwik, jak św. Elżbieta urzeczywistnili w swem pożyciu małżeńskim ów ideał, który nam przedstawia jeden z największych angielskich moralistów, gdy żąda, aby ten sam szczerzy, a pełny serdecznej uprzejmości i wdzięku stosunek, który łączy parę młodych oblubieńców, przetrwał cały bieg ich małżeńskiego pożycia, nie słabnąc: owszem, rosnąc i pogłębiając się z latami<sup>1)</sup>. Możemy słusznie wymagać od naszych Tercyarzy, aby mając takie wzory swych śś. Patronów przed oczami, starali się godność swego stanu małżeńskiego utrzymać, dając światu bardzo potrzebny wzór miłości i wierności małżeńskiej, a synów i córki wychowując na wzorowych mężów i żony. Dzisiejsze dzieci jutro będą same rodzicami; w nich spoczywa nadzieja lub zguba przyszłości. Dzieci

1) Oto jeden ustęp: „Wielu sądzi, że winni pełne szacunku i delikatności obejście osobie, której przywiązania bynajmniej jeszcze nie są pewni, a której charakter powierzchownie dopiero znają; a że tych objawów szacunku i względów wolno im zaniechać, gdy jej miłość już całkowicie i nieograniczenie posiadają, a charakter wypróbowali tak dobrze, iż całe szczęście swego życia bez obawy mogli złożyć w jej ręce. Któż nie czuje, jak niegodnem i niedorzecznem jest podobne rozumowanie? Któż nie uzna, że małżeństwo takie, jakim być powinno — zaznacza tylko przejście od pociągu chwilowego, do stałych i wiernych ślubów, a od przelotnego uczucia do miłości wiecznotrwalej“. (Sesame and Lilies).

trzeba zawczasu do małżeńskiego stanu przysposobić; a czy wiele rodziców ten obowiązek rozumie? Gdy rodzice sami mają o świętości i odpowiedzialności stanu małżeńskiego pojęcia ciasne i płytkie, czyż potrafią swym dzieciom dać wznioślejsze wyobrażenia?

Jednym z nowych a wybitnych rysów obecnych stosunków społecznych, który sprawia, że wpajanie młodym ludziom i młodym pannom poważnych pojęć o małżeństwie, jest dziś konieczniejszym niż kiedybądź,— jest coraz większa niezależność kobiety. Kobieta, która ma stale określone zajęcie i która jest w stanie zapracować sama na swoje utrzymanie, nie tak łatwo odda swą rękę mężczyźnie: będzie żądała, aby jej był godnym, — aby jej okazywał to poważanie i cześć, które mąż chrześcijański winien chrześcijańskiej niewieście. Ta niezależność kobiety ma nawet swoje niebezpieczeństwa; aby teraz wymódl na niej uszanowanie, mężczyzna musi jej przeciwstawić wysoką męską cnotę. Gdy kobieta zdobyła swą niezależność i jest sama panią swego losu, wymagania jej rosną, a odpowiednio do tego i ideał małżeństwa staje się wyższym. Niezależność dziewcząt zwiększa też odpowiedzialność wychowawczą rodziców: trzeba je włożyć do używania swej niezależności roztropnie i uczciwie; trzeba, by się nauczyły poważać wysoko te związki małżeńskie, w które większa część z nich kiedyś wstąpi. Trzeba już od dzieciństwa i więcej, niż poprzednio, przyzwyczajając je do powściągnięcia naturalnych popędów samolubstwa, do rozwagi w działaniu; do zastanawiania się nad odpowiedzialnością, jaką ich nowe prawa i przywileje za sobą prowadzą, aby ich używały roztropnie i uczciwie. Trzeba, by były głęboko przejęte myślą, że jest Bóg, któremu z każdego kroku na drodze życia winny zdać rachunek. Tak wychowane młode kobiety będą tem lepszymi żonami, że z całą swobodą wybiorą swych mężów; młodzieniec zaś, który poślubił kobietę szlachetną i swobodną, tem lepszym będzie małżonkiem.

Przyszłość jest w ręku dzisiejszych dzieci; ale los dzieci jest w wielkiej mierze w ręku rodziców. Jeżeli przyszłe małżeństwa mają być świętym, chrześcijańskim węzłem, trzeba, żeby dzieci ze słów i przykładów swych rodziców pojęcie chrześcijańskiego małżeństwa zawczasu czerpały.

Te są więc trzy głębokie rany, które podkopują dziś organizm społeczny: wyzysk pieniężny, niewstrzemięźliwość i gwał

cenie świętych ślubów małżeńskich. Do walki z tem złem chcielibyśmy szeregować wszystkich Tercyarzy, którzy cześć świętego Franciszka w sercu noszą, ze sztandarem, na którym widnieć powinny słowa: „Braterstwo, wstrzemięźliwość, czystość“; przeciw trzem głównym przywarom świata, trzy, dziś najpotrzebniejsze przepisy ewangeliczne.

Powtarzamy: od tych, którzy mieli odwagę wziąć na siebie imię serafickiego Franciszka, należy się światu przykład najwyższych cnót chrześcijańskich. W duszy św. Franciszka pragnienie chwały Jezusa Chrystusa nierozłączne było z pragnieniem moralnego dobra ludzkości. Ten, który Chrystusa nosił w sercu, tak jak blizny Jego nosił na swem ciele, ogarniał tem wielkiem sercem cały rodzaj ludzki, jego radości i bóle, słoneczne promienie i burze. Ukochał świat wzorem Mistrza swego, Chrystusa. W myśli św. Franciszka wcielenie słowa Bożego było najważniejszym w dziejach świata wypadkiem, którego łagodne światło ziemię całą opromieniło. Sądził, że gdy myśl Boża wcieli się doskonale w życie ludzkości, wtedy dopiero chwała Chrystusa będzie zupełną; gdy Królestwo Jego obejmie świat cały, wtedy radość Chrystusowa będzie doskonałą. Dla naszego świętego założyciela więc, sprawa ludzkości była sprawą Chrystusową, a sprawa Chrystusa sprawą ludzkości. Najgorętszem jego pragnieniem było, by duch Ewangelii przeniknął całe życie człowieka i w ten sposób dzieło Odkupienia stało się zupełnem. Dnie i noce spędzał na modlitwie, łzami zalany, zebrząc miłosierdzia dla grzesznego świata. A gdy ukończył modlitwę szedł, wędrując od miasta do miasta, nauczać ludzi miłości Chrystusa i miłości bratniej ku bliźnim, aby ich oderwać od miłości siebie samych, miłości grosza i miłości świata. Tysiące szły za jego głosem—miłość Boga i bliźniego wzrastała w sercach, i tak się spełniło w społeczeństwie średniowiecznem to cudowne odrodzenie, które przywodzi na myśl ustępy Pisma św., opisujące dzieje pierwotnego Kościoła. To jest przykład dla nas: jeżeli chcemy być uznani prawdziwymi jego uczniami, musimy według miary naszych sił, czynić to, co on: — musimy przepisy Ewangelii przypominać światu i pokazywać mu w czem dzisiaj od nich odstąpił.

Wiek obecny, ze swem życiem ruchliwym, gorączkowym, niespokojnym, wymaga również czynnego, ruchliwego, nieznuzonego apostołowania. Żadnemu katolikowi, a tem mniej powołanemu do służby w Zakonie św. Franciszka, nie wolno dziś spo-

czywać. Wszyscy powinniśmy być na posterunku i przy pracy w miarę sił i sposobności. Co najgłówniejsza — wszyscy mogą i powinni życie własne do zasad Ewangelii stosować i opierać się światu, gdy im głosi naukę z nauką Chrystusa niezgodną. Samolubstwu świata musimy przeciwstawiać sprawiedliwość, ludzkość i braterstwo, które Chrystus zawsze i wszędzie głosił, pijaństwu, rozpuście — wstrzemięźliwość; lekceważeniu obowiązków małżeńskich — poważanie dla świętości i nierozzerwalności małżeńskiego ślubu. Sama siła przekonania i nieporuszona wytrwałość w dobrem już wiele zdziałać mogą. Ciągłe i wytrwałe usiłowania rozbudzą w końcu sumienia i przeciągną je ku dobrej sprawie. Ale przykład przedewszystkiem: — on jest i zawsze będzie tą dźwignią, która ludzkość bądź w przepaść strąca, bądź unosi w górę i zbawia!

„Braterstwo! Wstrzemięźliwość! Czystość!“ to są więc te trzy hasła, które powinny dziś przyświecać naszym braciom, zarówno w ich własnym życiu, jak w naukach głoszonych światu

### III. Konieczność usług osobistych.

Omówiliśmy trzy wielkie winy, które ciążą na społeczności dzisiejszej. Teraz trzeba nam zwrócić myśl ku złemu, które nie jest winą naszą, lecz smutną spuścizną całych stuleci srogiej krzywdy i bezwzględного ucisku. Głębokiej nędzy ludu angielskiego najpiękniejsze nauki moralne głoszone światu, nie uleczą. Materyalny i duchowy upadek ubogich klas ludności w miastach i okolicach przemysłowych, jest tak głęboki, że tylko nadludzkimi wysiłkami zaradzić mu można. Nigdy w krajach chrześcijańskich, od czasów pogańskiego Rzymu, nie widziano tak bolesnego widoku. „Ani pociechy w tem życiu, ani nadziei w przyszłem“ — tak tylko określić można los tysięcy naszych biedaków; a co najgorsze, — jak już ktoś zauważył, — że wielu z nich straciło nawet poczucie swej nędzy; nie mają wcale pojęcia zdrowszego i szczęśliwszego bytu. Wydziedziczeni ze wszystkiego, coby

mogło człowieka kulturalnie i cywilizacyjnie podnieść, ścigani widmem głodu i niepewni jutrzejszego zarobku, natłoczeni w niezdrowych i przepełnionych mieszkaniach, czyż dziwno, że młodzi robotnicy po krótkim czasie, przestają nawet myśleć o poprawie swego losu, przypuściwszy, że ta myśl kiedykolwiek w ich głowie powstała. I tak corocznie nowe zastępy niewolników pracy powstają bądź z dzieci starszego pokolenia, które mogłyby być czegóż lepszego, gdyby im nastęczono sposobność; bądź z biedaków, którzy zaczynają życie na wyższym stanowisku, ale spadają niżej niekiedy przez własną winę, ale częściej dla tego, że nikt im pomocnej nie poda ręki. A nic łatwiejszego, jak z wyższego szczebla klasy pracującej zsunąć się na samo dno. Brak ciągłego zarobku (a o zarobek trudno czasem chętnemu i pracowitemu człowiekowi, nawet w dzisiejszych czasach ożywionego przemysłu, co mogą potwierdzić ci, którzy się wśród ubóstwa obracali) — choroba, lub nieszczęście domowe, — te powody nawet najuczciwszego robotnika stawiają często u wrót nędzy. A jeśli kto zarzuci, że nieraz przyczynia się do tego także pijaństwo, — nie bądźmy zbyt skorzy w potępianiu i pomnijmy na siłę pokusy. Kardynał Vaughan stwierdził już w przemówieniu swoim na konferencji katolickiej, o którym wyżej była mowa, że wina w równej, a nawet w większej mierze spada na tych, którzy kuszą robotnika stawiając, gdzie tylko mogą, szynkownie na jego drodze. Nędza ludu jest zaprawdę dziełem samolubstwa klas możnych i posiadających, które rządziły społeczeństwem angielskim przez paręset lat; stworzyły one bogactwo i świetność narodu wogóle, ale wpędziły ubogą ludność w niewolę moralną.

Sądzę, że nie mogę zrobić nic lepszego, jak streścić tutaj słowa wypowiedziane przez kardynała Vaughan'a w tej sprawie. Mówiąc o „opłakanym stanie ubogich mas ludowych“, dostojnik Kościoła wytyka, że „jest on wprost naturalnem następstwem teoryj utylitarnych, oraz niezem niepowściąganego wzrostu wpływów przemożnych a własnej tylko korzyści szukających, które w wieku XVI stanęły na miejscu dawnego katolickiego systemu rządów... Zniesienie klasztorów i starych korporacyj, przeniesienie własności dóbr zakonów i bogatych gmin angielskich na prywatnych bogaczy, wytworzyło masę ludności bezrolnej i zbiedniałej... Gdy już nic nie wiązało go z ziemią, lud w coraz większej liczbie — osobliwie w ostatnich latach, — zaczął na-

pływać do miast. Tutaj tłoczył się zdala od klas zamożnych, tworząc atmosferę osobną i osobne społeczeństwo, usunięte od uszlachetniających wpływów dobrobytu, oświaty i ogłady, a natomiast gnębione beznadziejnie ubóstwem, niechlujstwem i ciemnotą. Ci biedacy nie są właścicielami ani tego kawałeczka gruntu, na którym mieszkają, ani budynków, które im wynajmują, wysysając ich bez sumienia, pełnomocnicy zawsze nieobecnych właścicieli; ci ostatni zaś, nie znają ich nawet tyle, ile znał ewangeliczny bogacz leżącego u drzwi jego Łazarza“. W tem miejscu mówca dotknął palcem tego, co było najzgubniejszym objawem tak długo trwającego systemu wyzysku, to jest zupełnego odosobnienia bogatych od biednych. Jak już Izraeli wykazał temu lat pięćdziesiąt, wtedy, gdy oczy narodu nie otwarły się jeszcze na zło, jakie się szerzyło, doszło do tego, że ubodzy i bogaci, oświeceni i nieoświeceni tworzyli jakby dwie odrębne narodowości, które wzajem jedna o trybie życia drugiej nie wiedziały. Ten całkowity rozdział między dwoma klasami jednego narodu był w wielkiej mierze przyczyną nędzy uboższych; gdyby bogaci byli znali opłakane położenie biedaków, mogłoby być zgodne z prawdą następujące oskarżenie: „Miliony ludzkich istot pomieszczone są gerzej, niż bydło i konie jednego lorda lub właściciela ziemskiego. W samym Londynie blisko milion biedaków potrzebuje lepszych mieszkań, władze sanitarne uznały za niemożliwe 141,000 domów, w których ciśnie się ludność uboga w liczbie wahającej się od czterech do dwunastu i więcej osób na jedną izbę. Jakichże obyczajów; jakiej skromności i przyzwoitości oczekiwać można od mężczyzn i kobiet tak bezwstydnie razem stłoczonych?“ A kiedy tak upodlony na duszy i ciele biedak, nie jest w możności zapracować nawet na nędzny, zwykły kawałek chleba, czeka go schronienie w przytułku, gdzie z resztek poczucia godności ludzkiej go obędą. W istocie—jak zauważył kardynał Vaughan—ubodzy mają sobie „za hańbę“ przestąpić próg angielskiego rządowego przytułku (workhouse), gdzie są zamknięci niemal, jak zbrodniarze i odcięci od zamożniejszych współobywateli. Ostracyzm bogatych uczynił ubóstwo hańbiącym. Ale na tem nie kończy się ich wina: narażając bezustannie biednego na pokusę, „utrwalają chorobę, zbrodnię i nędzę“. Szczególniej nacisk kładzie kardynał Vaughan na handel gorącymi trunkami i nadużycia, jakie

mu towarzyszą, przez co ubodzy są wciągani nieustannie w pijaństwo i występki. Lecz oskarżenie sięga dalej jeszcze: „Najcięższym zarzutem—mówi na ostatku, jaki biedni uczynić mogą klasom możnym w przyszłości, jest, że odarli lud z wiary, która mu wskazywała prostą drogę życia, niosła mu siłę i pociechę w ciężkich jego próbach, dawała mu wzór boski w życiu Chrystusa i Jego Najświętszej Matki i pewną nadzieję szczęścia za grobem“.

Taki jest dziś jeszcze stan rzeczy. Jakież znajdziemy nań lekarstwo? Bo lekarstwo znalezione i zastosowane być musi, jeżeli wielka klęska nie ma spaść na kraj. Grzech narodowy zawsze prowadzi za sobą zasłużoną karę; wina ojców musi być zmazana dobrowolną ofiarnością dzieci. Jakaż więc jest ta nagroda? Przedewszystkiem będzie nią: służba osobista; trzeba oddawać potrzebującym swoje współczucie i siebie samego. Ani na chwilę nie mam zamiaru twierdzić, że prawa biorące w obronę najuboższych są zbyt liczne. Są one koniecznie potrzebne a obowiązkiem każdego obywatela jest popierać prawodawstwo, mające na celu poprawę bytu i ochronę zdrowia klas biedniejszych, podniesienie ich pod względem moralnym i umysłowym i ustrzeżenie od najjawniejszych przynajmniej pokus. Nie może być obojętnem dla chrześcijanina, czy prawa jego kraju utrzymują system najszerszej swobody osobistej i pozostawiania każdego jego własnemu losowi, czy też bardziej katolicką zasadę brania w opiekę słabszego. Niepojętem jest, żeby człowiek rozumiejący swą odpowiedzialność, mógł tolerować prawodawstwo, które osłania kusiciela dla własnego zysku, ciągnącego biednych i ciemnych do zguby. Najprostszy chrześcijański obowiązek nakazuje domagać się praw chrześcijańskich, praw biorących w opiekę słabszego przeciw nadużyciom siły; zapewniających uczniemu robotnikowi pomoc w starości i chorobie, aby nie dopuścić upadku jego aż do żebraczego kija; prawa broniącego chrześcijańską ludność od tłoczenia się nakształt bydła we wspólnych izbach.

Ale najmędrze prawo każdej niedoli nie dosięgnie i nie uleczy. Prawo nie wprowadzi mieszkańców wilgotnych nor i piwnic w ludzkie i braterskie stosunki z lepiej uposażonymi współobywatelami, jeżeli ci ostatni sami nie podadzą im ręki. Rozpanoszony egoizm odtrącił biedaków od wszystkiego, co uszlachetnia i uprzyjemnia życie; chrześcijańskie miłosierdzie

powinno ich do ich praw przywrócić. Ale miłosierdzie nie zasada się na rozdawaniu pieniędzy, czy to wprost od ręki, czy za pośrednictwem stowarzyszeń lub dobroczynnych instytucyj. Rozdawanie pieniędzy jest tylko małą, owszem najmniejszą częścią miłosierdzia. Miłość chrześcijańska, to oddanie siebie samego. Jałmużna wtedy tylko jest miłosierdziem, kiedy jej towarzyszy współczucie dla tych, których wspomagamy i przynajmniej chęć szczerą przyniesienia im bratniej pociechy i podpory. Miłość chrześcijańska jest miłością bratnią i objawiać się winna bratnią posługą; tej niczem nie zastąpi. Wspomaganie pieniędzmi dobroczynnych stowarzyszeń jest rzeczą samą w sobie chwalebną; ale jeżeli chcemy w ten sposób uchylić się od osobistych usług, które winniśmy ubogim bliźnim, wtedy jest to pokusa, środek na oszukanie swego sumienia i własnowolne zasłanianie oczu na obowiązek dużo ważniejszy. Wiele osób dopuszcza się tej winy. Zapisują się chętnie na każdą składkę, byle tylko uwolnić się od osobistego nagabywania przez biednych i sądzą, że w ten sposób usunąć się potrafią od czynnego posługiwania im; dają ochotnie jałmużnę każdemu spotkanemu żebrakowi, byle nie żądano od nich niczego więcej. Nie chcą wiedzieć, że ludziom często w życiu potrzeba uścisku dłoni, dobrego słowa, przyjaznego oparcia. Pieniędzmi można nasycić głód fizyczny; ale jest głód moralny, są potrzeby duszy, których pieniędzmi nie da się zaspokoić. Wieluż ludzi potrzebuje umocnienia w dobrych zamiarach, rozweselenia w smutnej jednostajności życia, pociechy w głębokiej trosce; to jest jałmużna godna prawdziwego chrześcijanina, którą i ubodzy cenić umieją, nawet w dzisiejszym, zmateryalizowanym wieku. A jednak jest to rodzaj jałmużny najskąpiej udzielanej, może dla tego, że wymaga poświęcenia swojej osoby, ducha ofiary. Aby nakarmić głodnych rzetelnie w duchu Chrystusowym, trzeba ich karmić własnymi rękami; aby pocieszać smutnych, trzeba ich przytulić do swego serca; aby podźwignąć upadłych, trzeba ich podeprzeć bratniem ramieniem. Taka jest miłość chrześcijańska, która świat ma zbawić, której ludzkość tak dawno oczekuje.

Tego świadczenia osobistych usług któż pierwszy ma dawać przykład, jeżeli nie ci, co noszą suknię św. Franciszka, pierwszego opiekuna trędowatych i najędźniejszych wyrzutków społeczeństwa, który chciał zostać ich przyjacielem i towarzyszem dlatego właśnie, że byli najbardziej opuszczeni i najnieszczęśliwi

z całej wielkiej chrześcijańskiej rodziny? To postanowienie służeńia osobiście ubogim i nędzaczom skłoniło naszego św. Ojca, do zamieszkania wpośród nich. Ci, od których wszyscy stronili, mieli być pielęgnowani jego rękami; ci, do których tylko zdaleka dolatywały słowa pociechy, mieli znaleźć w nim blizkiego przyjaciela. Serce jego opływało radością, gdy widział którego ze swych braciszków pielęgującego trędowatych; a dziedzictwem pozostawił swym uczniom zlecenie, by byli na usługach najbiedniejszych. Sami ubodzy mieli być w szczególniejszy sposób apostołami i sługami ubogich. To też jednym z następstw ruchu franciszkańskiego, w wieku XIII, było rozniecenie na nowo ognia chrześcijańskiej miłości ku opuszczonym i nieszczęśliwym. Tercyarze i bracia odwiedzali najuboższe dzielnice miast, siedliska występku i nędzy, ze słowami przyjaźni; za obrębem miast szukali przytułków trędowatych, niosąc pociechę duchową i cielesną ich nieszczęśliwym mieszkańcom; lub też obchodzili więzienia, aby zbrodniarzy nawracać na drogę uczciwości i cnoty. Co św. Franciszek i jego uczniowie czynili za swoich czasów, to, sądzę, winniśmy czynić obecnie. Jak on, tak każdy z nas powinienby „rozdawać siebie swym braciom“: być przyjacielem opuszczonych, podporą słabych, zbawieniem upadłych. Pięknie to wyraził mąż, który zaiste, miał prawo zabrać głos w tej sprawie: „Trzeba, niosąc Boga w sercu obchodzić ulice i zakątki miasta, aby ratować upadłych, z których wielu nie byłoby nigdy zgrzeszyło, gdyby w chwili pokusy była ich wsparła przyjazna ręka. Tego żądałby od nas św. Franciszek, gdyby stanął między nami!“<sup>1)</sup> I zaprawdę słyhać tu głos Serafickiego świętego. Tak, gdyby św. Franciszek stanął wpośród nas, niewątpliwie zwróciłby najpierw oczy na ubogie dzielnice naszych miast i nie spocząłby, pókiiby swych Tercyarzy na ich ratunek nie wysłał.

Spytają nas może: jakże się zabrać do dzieła? W jaki sposób ofiarować nasze usługi? Mamyż uszykować armię i iść na pomoc przy odgłosie trąb i bębnow, albo też zawiązywać komitety i otwierać biura wsparcia? Wiele osób nie rozumie osobistej pracy bez głośnych nawoływań i okazałych obchodów; tak jednak być nie powinno. Owszem, im bardziej ciche i ukry-

<sup>1)</sup> Słowa j. em. biskupa Nugent, na konferencyi franciszkańskiej w Liverpool 1898 r.

te będzie nasze działanie, tem będzie skuteczniejsze. W wielu miejscach można się też obejść bez zawiązywania komitetów ani urządzania biur. Mamy już stowarzyszenia, które choć pracują, nie mogą sprostać wielkiej potrzebie; często wloką nędzny żywot dla braku chętnych współpracowników. Jest związek katolicko - społeczny i towarzystwo św. Wincentego á Paulo i różne inne o zbliżonym celu; jest Towarzystwo opieki szpitalnej i Towarzystwo dla wspomagania więźniów i wiele podobnych, które trudno wyliczyć, a z których każde ma jakąś specjalną potrzebę na oku. Sposobności więc do osobistej posługi nie brak: ale czy ta sposobność jest należycie wykorzystana?

Woła też o pomoc nasza młodzież — zarówno chłopcy jak dziewczęta, — którzy za ledwie szkołę opuszczają, porwani są w wir życia miejskiego. Wpływ zbawienny, jaki ich otaczał w szkole, usuwa się od nich teraz; kapłani, już i tak przeciążeni pracą, nie mają sposobności skutecznie nad nimi czuwać; w krótkim czasie młodzież ta traci wiarę i dobre obyczaje i tonie w ciemnej masie robotniczej, dla której niema ani pociechy w życiu, ani nadziei na przyszłość. Aby tych chłopców i dziewczęta uratować od zguby, potrzebne jest, jak już nieraz wspominaliśmy, apostołstwo świeckie. Filantropi świeccy winni popierać pracę duchowieństwa w czuwaniu nad wiarą i moralnością młodzieży po opuszczeniu szkoły. Trzeba zakładać kółka i towarzystwa, w których młodzież mogłaby się zbierać pod czujnym nadzorem starszych i znaleźć opiekę tak potrzebną przy pierwszym wstępie w świat, aby się ustrzedz od złych wpływów i znaleźć uczciwy zarobek. Tu jest pole pracy osobistej, którego wartości przeceniać niepodobna, a którego świeccy pracownicy nigdzie odłogiem zostawiać nie powinni. Nie trzeba też ograniczać swych starań wyłącznie do ubogich katolickiego wyznania, chociaż im należy się od nas pierwszeństwo. Miłosierdzie nasze musi sięgać poza granice naszego Kościoła i ogarniać tych, którzy żyją bez wiary, a może nawet bez żadnych religijnych pojęć. Przyciągniemy naszych rozproszonych braci do jedności Kościoła, dając im przykład chrześcijańskich cnót i wyciągając ku nim dłoń pomocną, dużo prędzej, niż byśmy tego dokazali przez głoszone dla nich nauki, chociaż te są także na swoim miejscu. Słowem powinniśmy, ile tylko jest w naszej mocy, popierać każdą pracę, mającą na celu uszczęśliwienie i podniesienie tych, którzy ulegli w walce z nowoczesnym wyzykiem.

Mówiliśmy wyżej o organizacyi służby dobroczynnej: jest bo wiele zagadnień dobroczynnych, których bez zorganizowanej pomocy rozwiązać się nie da. Nikt np. nie potrafi sam jeden prowadzić filantropijnego stowarzyszenia; współpracownictwo jest tu konieczne, a im więcej liczy współpracowników, tem lepiej. Kto może więc, powinien popierać organizacje dobroczynne w jednej czy drugiej formie: tylko w ten sposób mogą przeróżne dzisiejsze potrzeby społeczne znaleźć zaspokojenie. Nie każdy jednak ma po temu czas i możność, a wreszcie są potrzeby, które się pod żadną stowarzyszoną pomoc podciągnąć nie dadzą. Są więc tacy, którzy muszą pracować pojedynczo i ci znajdują także szerokie pole pracy, która na nich wyłącznie czeka. Gdzie żadne organizacje nie istnieją, tam i jeden człowiek dobrej woli może dużo zdziałać; a nawet ten, kto do stowarzyszeń należy, znajdzie niejedną sposobność do osobistego dobrego czynu, byle miał oczy otwarte. Ubodzy, chorzy, opuszczeni, niedołężni są wszędzie i wszędzie jest potrzebna pomoc. Opuszczony potrzebuje życzliwości, ubogi wsparcia, grzesznik brata w Chrystusie. Wszystkim, których świat w swym biegu obalił i pognąbił należy się ratunek: czy to będzie dobroczynność osobista czy stowarzyszona, prywatna czy publiczna, — każdy ma względem swych bliźnich obowiązki do spełnienia dla miłości Chrystusa.

A teraz jeszcze jedna uwaga, jedna rada: Trzeci Zakon obejmuje mężczyzn i niewiasty wszystkich sfer społecznych: łączą się tutaj ludzie niezależni z ludźmi pracy; oświeceni z mniej oświeconymi; zamożni z biednymi. Bogatym, niezależnym i wykształconym przypada w udziale największa część zadania w ratowaniu nędzarzy; to zaiste, ich obowiązek wobec Boga i wobec bliźnich; obowiązek zadośćuczynienia za zło spełnione przez ich poprzedników w ubiegłych wiekach, pracowania wszystkimi możliwymi sposobami nad jego naprawą. Do obowiązku tego w najważniejszej części poczuwają się już oni; nie mamy więc potrzeby szerzej się nad tem rozwodzić. — Ale wydzwignięciu z ubóstwa klasy zamożne same nigdy nie podołają; mogą zrobić wiele, wszystkiego nie dokażą.

Odrodzenie klas ubogich musi być dziełem tych, którzy im są najbliżsi; których życie upływa w podobnych warunkach; musi przyjść od robotników i robotnic naszych wielkich miast, którzy

wiedzą z własnego doświadczenia czem jest ubóstwo; którzy sami dźwigali jego ciężar, walczyli z jego pokusami. Koniec końców, ludzi podnosi i uszlachetnia samo zetknięcie z tem co dobre. Wszystko co piękne i zacne szerzy dokoła siebie wpływ umoralniający, owłada duszami, przenika serca i rozpala je szlachetną ambycją zbliżenia się także do tego ideału. Widziano już jak obecność jednego czystego i niewinnego dziewczęcia w publicznej pralni zmieniła ducha i usposobienie jej towarzyszek; uczciwy, poważny i zący robotnik niejednokrotnie już stał się dobrym duchem całego warsztatu czy fabryki. Ubogi ubożego rozumie, a wzajemne zrozumienie się jest pierwszym warunkiem skutecznego apostołstwa. Aby rozjaśnić ponure życie i dusze nędzarzy potrzebne jest więc apostołstwo robotnicze, na równi z apostołstwem ludzi niezależnych i bogatych.

Otóż Trzeci Zakon, łączący bogatych i ubogich jednym bratnim węzłem, jest pod tym względem w najkorzystniejszym położeniu. Tercyarze, przystępując do pracy, przynoszą z sobą oświatę, niezależność i majątek klas wyższych, zarówno jak znajomość położenia, szczere współczucie i żywy przykład dla klasy robotczej. Wszyscy mogą przyłożyć rękę do dzieła; wszyscy mogą wspólnie apostołować. Ale nie waham się twierdzić, że robotnicy i robotnice więcej jeszcze działają niż ich bogatsi współbracia; a jeśli Kościół ma wyrwać z toni ginących, potrzebny mu będzie cały zastęp pracowników wybranych z pomiędzy samychże ubogich. Zwracamy się więc do naszych Tercyarzy robotników, zarówno jak do tych, którzy mają niezależność i środki, wzywając ich do niesienia wspólnie ratunku biedakom, których szalony rozpęd samolubnej cywilizacyi wyrzucił z prostej kolei życia, do naprowadzenia na dobrą drogę zbłąkanych i dźwigania upadłych, a przede wszystkim do osłaniania młodszego pokolenia wszelkimi sposobami, przed zabójczym prądem <sup>1)</sup>. A tu raz jeszcze muszą położyć nacisk na konieczność ratowania dzieci upadłych rodziców. Trzeba ich wziąć w rękę nim jeszcze utracili nadzieję i dążność ku dobremu i wprowadzić ich na drogę wiodącą do zdrowej i uczciwej egzystencyi. Nie powinniśmy zwle-

<sup>1)</sup> „Trudno wypowiedzieć jak ważną jest rzeczą rozciągać pieczę nad młodzieżą po opuszczeniu szkoły. Cała przyszłość, może zbawienie tych dzieci, zawisło od wrażeń jakie w tym czasie odbiorą. Kobieta czy mężczyzna dają się wrobić w dzieciństwo, ale nie dają się prawie nigdy przerobic w późniejszych latach“. — Kardynał Vaughan.

kać aż do czasu, gdy już będą tonęli, porwani wirem w który ich od chwili urodzenia wtrąciła ich dola nieszczęsna. Najwłaściwszą chwilą do dania im lepszego kierunku jest pobyt w szkole, lub pierwsze lata po jej opuszczeniu. Wtedy jest pora, by rozbudzić w nich zamiłowanie do życia uczciwego, pracowitego, oszczędnego, trzeźwego i bogoboju; wtedy trzeba się starać wprowadzić ich w zetknięcie z mężczyznami lub kobietami, a także z chłopcami albo dziewczętami,—którzy przykładem własnym więcej niż słowy, nauczą ich jak ubóstwo może być uszlachetniające przez chrześcijańską słodycz i cierpliwość, poczucie swej godności ludzkiej i godziwą dumę; którzy im praktycznie pokażą jak się Boga czcić i chwalić winno, (głosząc im w ten sposób najskuteczniejsze z kazań) — a biorąc ich z prostotą za rękę rzekną do nich: — „Idźmy razem w bój życia! — Wszak wszyscy jesteśmy dziećmi jednego Ojca — Boga! — wszyscy do jednego dążymy celu — do nieba!“ Tylko na tej drodze da się uleczyć wielkie zło i nagrodzić najcięższa krzywda naszych czasów.

Słyszemy Głos Boży, wzywający wszystkich katolików, a przedewszystkiem Tercyarzy Franciszkańskich, do pracy w Jego winnicy. Jakiem ma być bliższe nasze powołanie, jakim rodzaj i kierunek naszej pracy, to nam wskazują warunki czasów, w których żyjemy. Niech ci, którzy się garną pod płaszcz św. Franciszka okażą się godnymi swego Serafickiego założyciela, a wszyscy okażmy się godnymi uczniami naszego Boskiego Zbawcy, który zstąpił na ziemię, aby między ludźmi szerzyć pokój — ten, którego źródłem najwyższem Mądrość i Miłość Boża.

30.  
789 32/10116





36496 |

2